

Joanna
Szarańska

Kłopoty mnie kochają

Kronika
pechowych
wypadków



Joanna Szarańska

*Kłopoty
mnie
kochają*



Copyright © by Joanna Szarańska, 2018

Copyright © by Wydawnictwo Poznańskie Sp. z o.o., 2018

Redaktor prowadząca: Adriana Biernacka

Redakcja: Kinga Gaska

Korekta: Magdalena Owczarzak

Pro-jekt okład-ki: Design Partners (www.designpartners.pl)

Fotografia na okładce: Svitlana Sokolova / Shutterstock.com

Konwersja: Grzegorz Kalisiak

ISBN 978-83-7976-830-1

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

Świnia pozostanie świnią i żadna dyrektywa tego nie zmieni.

Nawet unijna.

W tym konkretnym przypadku świnia okazała się świnią w znaczeniu podwójnym. Nie dość, że zaliczała się w rząd parzystokopytnych rodziny świniowatych, to jeszcze ośmieliła się świnie podłożyć i tym samym sprowadziła na Boga ducha winną młodą kobietę kabałę większą niż dziura budżetowa trzeciej RP.

Choć w rzeczywistości trudno było stwierdzić, czy za tarapaty Zojki bardziej odpowiadała świnia, babcia Zofia czy ona sama. Dość powiedzieć, że od świni się zaczęło i bynajmniej na świni skończyć się nie chciało.

• Rozdział pierwszy •

Pomiędzy ostatnim pociągnięciem szczoteczki do zębów a pierwszym łykiem porannej kawy Zojka uświadomiła sobie, że poniedziałkowy poranek to idealny moment, aby przestać się nad sobą użalać i na poważnie zabrać się za poszukiwanie pracy. By nie stracić świeżo nabytego zapału, rozsiadła się przy kuchennym stole, obkładając się prasą z całego minionego tygodnia, paczką kolorowych flamastrów i ciastkami z kawałkami czekolady. Była gotowa do podjęcia misji pod tytułem: *Jestem idealnym pracownikiem, tylko jeszcze o tym nie wiecie.*

Na początek schrupała jedno (nieco zwietrzałe) ciasteczko, następnie popiła je łykiem szybko stygnącej kawy, a na koniec westchnęła głęboko, opierając brodę na zaciśniętej pięści.

Od chwili, kiedy opuściła mury wymarzonej uczelni z tytułem magistra dziennikarstwa i komunikacji w kieszeni oraz z milionem ambitnych planów w głowie, minęło już kilka miesięcy. Od tamtej pory usilnie poszukiwała zatrudnienia, stopniowo obniżając poprzeczkę. Po tak długim czasie sama przed sobą musiała przyznać, że poprzeczka znajduje się już na tyle nisko, że nie precyzyjnie się pod nią nawet mrówka.

Na wspomnienie chwili, kiedy pewnym siebie krokiem wkroczyła do siedziby największego krakowskiego dziennika i zapowiedziała, że jest zainteresowana podjęciem kariery zawodowej, nadal skręcała się ze wstydu. Równie spektakularnym sukcesem zakończyły się wizyty w rozgłośni radiowej, osiedlowej telewizji i redakcji pisemka o hodowli świnek morskich. W tym ostatnim przypadku wszystko wskazywało na powodzenie, jednak siadając na wskazanej przez redaktora-hodowcę kanapie, poczuła pod pośladkami coś miękkiego. Co prawda świnka nie ucierpiała, ale widząc jej przerażone, rozbiegane spojrzeń, Zojka stwierdziła, że lepiej będzie się ewakuować.

Tak, Zojka marzyła o karierze dziennikarskiej, ale coraz częściej towarzyszyła jej myśl, że na marzeniach się skończy.

Kawa zrobiła się zimna. Na dnie pudełka po ciasteczkach pozostały dwa malutkie okruszki i jeden pieg z czekolady. Zojka złapała go opuszką palca i łakomie oblizwała, tłumacząc samą siebie, że kiedy nie ma się perspektyw na znalezienie wymarzonej pracy, a półki lodówki lśnią nie tylko śnieżną bielą, ale także pustkami, nie można marnować jedzenia. Nawet jeśli jedzenie stanowią okropnie kaloryczne ciasteczka, których data przydatności do spożycia pamięta pierwsze podrygi kapitalizmu.

Teraz, kiedy jej uwagi nie rozpraszały już nawet pozostałości po słodyczach, mogła skoncentrować się na poszukiwaniu pracy. Dzielnie przebrnęła przez stertę

gazet, a nie znalazłszy nic spełniającego choć odrobinę jej i tak już niewielkie oczekiwania, uruchomiła nieco sfatygowanego laptopa i zalogowała się do serwisu dla poszukujących zatrudnienia.

W pierwszej kolejności ustaliła kryteria wyszukiwania, skupiając się na ofertach pracy w mediach i social mediach. Przejrzenie wszystkich dostępnych ogłoszeń zajęło jej pięć sekund i prawdopodobnie zepsuło humor na resztę dnia. Podobnych ogłoszeń było jak na lekarstwo, a jeśli już szczęśliwym zbiegiem okoliczności jakieś się nawinęło, zazwyczaj poszukiwano młodej osoby, z wieloletnim doświadczeniem i idealną aparycją. Na początku swoich zmagania z poszukiwaniem posady Zojka sądziła, że tak naprawdę chodzi o trzech różnych pracowników, ale liczne rozmowy kwalifikacyjne pozbawiły ją złudzeń. Na osłodę pozostała jej świadomość, że spełnia co najmniej jedno z wymagań. Była młoda. Jeszcze.

Po przejrzaniu ogłoszeń w kategorii *media* Zojka odhaczyła w okienku ptaszka, który miał za zadanie wyśledzić dla niej pracę marzeń, i rozwinęła długą listę najnowszych ofert zatrudnienia w różnych branżach. AAA dziewczyny przyjmę, ulotki od sztuki, sprzątanie po godzinach, kurier z własnym samochodem, dyrektor handlowy z doświadczeniem, przedstawiciel handlowy, przedstawiciel medyczny, przedstawiciel ubezpieczeniowy... Do wyboru do koloru. Dziewczyna skrzywiła się boleśnie, uchyliła drzwiczki lodówki dla motywacji (i dla ochłodzenia, bo upał już jej doskwierał), po czym zajęła się przesiewaniem dostępnych ofert zatrudnienia i notowaniem niezbędnych namiarów.

Po półgodzinie trzymała w ręku wyszarpaną z notesu kartkę, na której zapisała numer firmy oferującej pracę przy redagowaniu publikacji kulinarnych i z zadowoloną miną sięgała po komórkę, by umówić się na spotkanie. Zanim zdążyła wykonać połączenie, telefon w jej ręku zawibrował, a do uszu Zojki dotarła znajoma melodyjka. Dziewczyna skrzywiła się, w duchu nakazując swojej komórce, aby natychmiast się rozłączyła. Widząc, że wcale się na to nie zanosz, dotknęła palcem zielonej słuchawki na wyświetlaczu i z lekkim wahaniem podniosła telefon do ucha.

– Pakuj się i wracaj do domu! – usłyszała.

– Nie ma mowy! Nigdzie się nie wybieram! – prychnęła. Przywykła do podobnych rozmów. Od kilku tygodni odbierała regularne telefony od rodziców, którzy zaniepokojeni sytuacją, usiłowali namówić ją na powrót do domu. Zojka nie zamierzała ich posłuchać. Choć wiedziała, że znalezienie w Krakowie wymarzonej pracy w zawodzie będzie graniczyło z cudem, miała świadomość, że wracając do rodzinnej miejscowości, o takim cudzie będzie mogła jedynie pomarzyć. Powoli nabierała doświadczenia w odpieraniu ataków matki.

– Ale ja się nie pytam, czy się wybierasz! – dobiegło ze słuchawki. – Ja się domyślam, że się nie wybierasz. Jednak tym razem nie masz wyboru! Zostaw

wielkowiejską karierę, pakuj torbę i tyłek do pociągu z łaski swojej i jazda. Jesteś nam potrzebna!

– Co się dzieje? – zainteresowała się.

– Co się dzieje, co się dzieje... babuni się dzieje. Zwariowała na stare lata.

Mówi, że bić będzie.

– Kogo?

– Tego nie powiedziała. A kiedy ojciec chciał ją odwiedzić i podpytać, wiesz, tak delikatnie, wyskoczyła z siekierą i go pogoniła.

– To rzeczywiście z nią niewesoło... – Zojka przełknęła ślinę.

– A żebyś wiedziała. Musisz przyjechać i się nią zająć.

– Ja?

– A ja? – obruszyła się matka. – Chciałam ci przypomnieć, że praktycznie to nie rozmawia ze mną od dwunastu lat. Tak naprawdę jedyną osobą z rodziny, którą chętnie wpuszcza do swojego domu, jesteś ty. Sama widzisz, że nie ma wyjścia, musisz przyjechać i zaopiekować się nią. Albo chociaż namówić na wizytę u psychiatry.

– Jeszcze mi życie miłe... – mruknęła Zojka, podchodząc do okna i skubiąc obeschnięte listki paprotki. – Mamo, ja nie kwestionuję tego, że babcia potrzebuje pomocy, ale nie mogę ot tak wyjechać i wszystko zostawić. – Jeden listek był wyjątkowo oporny. Zojka pociągnęła mocniej i z przerażeniem odkryła, że trzyma w powietrzu zbitkę wysuszonych korzeni. Doniczka uderzyła z trzaskiem o podłogę i potoczyła się pod kuchenny taboret. – Mam kwiaty do podlewania – dodała z wahaniem.

– Teraz można kupić takie specjalne dozowniki na wodę – odrzekła matka. Zojka skinęła głową. Odłożyła pozostałości paprotki na parapet i szarpnęła drzwiczki lodówki. – No, przyjeźdź, co ci szkodzi? – kusila tymczasem matka. – Córcia, i tak nie masz pracy, a jak cię znam, to ty tam wegetujesz, a nie żyjesz, w tym Krakowie! Ile można?

– Daję sobie radę! – mruknęła Zojka, spoglądając smętnie na pęczek zwiędniętego koperku, dwa jajka i marchewkę z obgryzionym czubkiem. Sięgnęła po warzywo i schrupała kolejny kawałek. – Żyję oszczędnie, nie szastam pieniędzmi, a nawet trzymam dietę. Poza tym dzisiaj wybieram się na rozmowę kwalifikacyjną w sprawie pracy przy redakcji gazetki kulinarnej.

– Naprawdę? Bardzo mnie to cieszy, ale...

– Mamo, babcia da sobie radę. Przyjadę na weekend i porozmawiam z nią. Obiecuję. Nikogo nie ubije. Przynajmniej do soboty.

Na moment zapadła cisza przerywana jedynie odgłosem chrupania marchewki. Zojka oczekiwała kolejnych argumentów, ale matka najwyraźniej skapitulowała.

– Dobrze, córcia. Do zobaczenia. I powodzenia na rozmowie. Jestem pewna,

że zrobisz furorę.

– Ja też – mruknęła Zojka, wypluwając do zlewu kawałek nadpsutej marchewki. – I lepiej żeby tak było, bo na kolację menu przewiduje kanapkę z koperkiem.

Kilka godzin później silnie zmotywowana Zojka jechała autobusem miejskim na ulicę Romanowicza, gdzie mieściła się siedziba firmy oferującej zajęcia przy redagowaniu gazetek kulinarnych. Wpatrując się w zakurzone okno pojazdu, dumiała nad tym, jakim szczęśliwym zbiegiem okoliczności ta jedna oferta zapodziała się pomiędzy etatem ekspedientki na stoisku mięsnym i stażem dla fryzjerki. Może dzięki temu mało kto na nią trafi i konkurencja będzie niewielka?

Troszkę martwiło ją mizerne doświadczenie w kwestiach kulinarnych. Zojka nie przejawiała większych zainteresowań w tym kierunku. Zazwyczaj zjadała, co było pod ręką, rzadko gotowała i nigdy nie eksperymentowała z przyrządzaniem wykwinnych potraw jak trzustka cielęca z truflami czy chowder z przegrzebkami. Nie potrafiłaby nawet powiedzieć, czym jest chowder, czym przegrzebek i czy cielęcina ma trzustkę, choć nazwa wyrafinowanej potrawy zdawała się wskazywać, że owszem. Na pewnym etapie, oczywiście. Cóż, można śmiało rzec, że Zojka rzadko zaglądała do lodówki. Z tej prostej przyczyny, że ta przeważnie była pusta.

Kiedy dotarła na podany adres, poczuła się niewyraźnie. Kilka razy sprawdziła zapiski na poszarpanej kartce, a dla pewności odwróciła ją nawet do góry nogami. Wszystko wskazywało na to, że trafiła w dobre miejsce, choć zdrowy rozsądek podpowiadał jej, że powinna raz-dwa wziąć nogi za pas i ewakuować się w kierunku przystanku autobusowego. Z ponurą miną wpatrywała się w zardzewiałe pręty szerokiej bramy i niskie baraki za nią. W końcu ruszyła w kierunku wejścia, równocześnie zaciskając palce na trzymanym w kieszeni dezodorancie do stóp. Lepszej bronii nie miała, więc żywiła nadzieję, że w razie niebezpieczeństwa sprej o zapachu lawendy pozbawi napastnika wzroku. Albo chociaż powali go aromatem.

Zapukała energicznie do czerwonych, mocno podniszczonych drzwi. Te otworzyły się po kilku długich minutach, ukazując w progu młodą dziewczynę z wytatuowanymi ramionami i nastroszoną, krótką blond fryzurą. Zojka przełknęła ślinę i szybko przyoblekła swój zawodowy uśmiech, ten zatytułowany: *Mam nadzieję, że jeszcze nie zakończyliście rekrutacji, bo właśnie przybyłam.*

– Do pracy? – obojętnie zapytała blondynka, przesuwając gumę do żucia z jednego kącika ust w drugi. – Tędy, proszszszę...

Kultura, pomyślała z ironią Zojka, zamykając za sobą drzwi i podążając za blondynką w głąb ponurego i niekoniecznie pięknie pachnącego korytarza. W pewnej chwili zahaczyła czubkiem buta o plastikową skrzynkę. Przerażona zauważyła, że cały korytarz usiany jest podobnymi pakunkami, z których wysypują się dojrzałe pomidory, przywędnięte pory, obklejone grudkami błota ziemniaki.

Pomyślała, że wie, skąd bierze się ten słodkawy, nieco mdlący zapach, ale szybko wyparła to inna myśl i zaniepokoiła się nie na żarty. Czy oni naprawdę każą mi coś ugotować? Tutaj?

– Kiedy zacznie się rozmowa? – zagadnęła idącą przodem kobietę.

– Rozmowa? – Blondynka parsknęła śmiechem. – A po co?

– No, żeby wyłonić... – Zojka machnęła ręką, nie wierząc we własne szczęście. – Nieważne. Czyli nikt się nie zgłosił? – wołała się upewnić.

– To nie jest praca marzeń – skwitowała kobieta i wzruszyła ramionami.

Mów za siebie, ponuro pomyślała Zojka, nie ty masz w perspektywie chleb z koperkiem na kolację i opiekę nad sfiksowaną babunią!

Nawet urodzona optymistka, jaką niezaprzeczalnie była Zojka, musiała przyznać, że lokalizacja redakcji mogła odstraszać najbardziej zdesperowanych ludzi pióra. Kulinaria nie były szczytem jej marzeń, ale teraz musiała złapać cokolwiek, by nie paść z głodu i mieć szansę dalej prowadzić poszukiwania swojej wymarzonej posady. Będzie pisać o zabieleniu pomidorowej, smażeniu kotletów i uprawie ziół doniczkowych. Może przy okazji sama nauczy się co nieco i ocali kolejną kupioną paprotkę?

– Proszysz... – Blondynka szarpnęła za klamkę drzwi u wylotu korytarza i zaprosiła Zojkę do środka. – Zapraszam na stanowisko pracy.

– Tak od razu? – Stropiła się świeżo mianowana redaktorka publikacji kulinarnych. – Dzisiaj? Po południu? Nie od ósmej do szesnastej jak przywoici ludzie?

– W godzinach popołudniowych biorą mniej za wynajem studio.

– Jakiego studio, przepraszam?

– Zdjęciowego. – Blondynka spojrzała na Zojkę spod zmarszczonych brwi, równocześnie sięgając do stojącego nieopodal koszyka i wpychając jej w objęcia długą ogórka. Zojka chwyciła warzywo oburącz i ze zgrozą podniosła na wysokość oczu. Potem potoczyła spojrzeniem po wnętrzu, rejestrując rozstawiony sprzęt fotograficzny i... czy to naprawdę kamera? A tam w kącie, czy to łóżko?

– Rany boskie! – Ścisnęła ogórka desperacko i wykonała zwrot w tył, ale napotkała zamknięte drzwi.

Blondynka ruszyła w kierunku statywu z aparatem i zaczęła coś ustawiać. Spojrzała z wyczekiwaniem na Zojkę. Z sąsiedniego pomieszczenia wyłonił się brodaty mężczyzna w koszulce z napisem *Lubię Dżem*. Pogryzał korniszona i zaintrygowany zerkał na przytulającą ogórka młodą kobietę.

Blondynka wskazała miejsce przed obiektywem.

– Wskocz z ciuchów i bierzemy się do roboty! Mamy półtorej godziny! Potem wjeżdża Hipokryta.

– Hipokryta? – Zojka poczuła, że zaschło jej w ustach.

– Raper taki. Nagrywa kawałek promujący Nową Hutę. Idziesz czy nie?

Przez telefon mówiłaś, że żadna praca nie hańbi...

– No, ale nie sądziłam, że to taka praca – wydukała Zojka, zerkając niespokojnie to na aparat, to na nakryte koronkową narzutą łóżko. – Nie zrozum mnie źle, ja nawet lubię ogórki, ale sądziłam, że będę o nich pisać.

– Do pisania akurat nie potrzebujemy. To co? Reflektujesz na zdjęcia?

– Nie. – Zojka powoli pokręciła głową, zaciskając wilgotne dłonie na ogórku. – Ja się do tego nie nadaję. Nigdy czegoś takiego nie robiłam i szczerze mówiąc, to nie wyobrażam sobie siebie w takiej roli. To trochę takie, no takie dziwne trochę i wydaje mi się, że tutaj potrzeba osoby doświadczonej w takich ekscesach.

– Tak myślisz? – Stropiona blondynka odsunęła się od aparatu i zamyślona spojrzała na Zojkę. – Nigdy na to nie patrzyłam pod tym kątem. Do tej pory wydawało mi się, że nie trzeba wielkiej filozofii do ułożenia kilku ogórków na półmisku.

– Na półmisku? – zdziwiła się Zojka.

– No, a na czym? Przecież wyraźnie napisałam w ogłoszeniu: „Potrzebna pomoc przy robieniu gazetki. Artykuły spożywcze”.

– Chodzi o...? – Zojka wolała się upewnić.

– No, przecież, że o gazetkę promocyjną do supermarketu!

– A nie o...? – Zojka przewróciła oczami, wskazując stojące w kącie pomieszczenia łóżko. Blondynka zapowietrzyła się z wrażenia.

– No co też ci chodzi po głowie! – wykrzyknęła. – To łóżko nie ma nic wspólnego z naszymi zdjęciami! Stoi tutaj, bo... stoi. Różni artyści rezerwują studio, co myślisz.

– Ja już nic nie myślę – mruknęła pod nosem Zojka, przytulając ogórka do piersi. – Pytanie, po co kazałaś mi z ciuchów wyskakiwać...

– Żebyś sobie tej szykownej bluzeczki nie zaplamiła. Ogórek to pół biedy, ale w planach mamy też truskawki, czereśnie i rybę po grecku. Można się upaprać.

– Blondynka powróciła do aparatu.

Amator korniszonów podszedł do Zojki i ruchem głowy wskazał niedużą szafkę kuchenną, na której stały kolorowe naczynia, skrzynka z zieloną sałatą, deski do krojenia i noże. Zojka westchnęła i podkasła rękawy. Obawiała się, że każą jej pisać o skomplikowanych potrawach i składnikach spożywczych, których nie tylko nigdy nie próbowała, ale nawet nie widziała na oczy, a tymczasem okazuje się, że z piórem będzie miała do czynienia tylko w sytuacji, kiedy w jej ręce trafi kiepsko obskubana kura...

Głośne burczenie dobywające się z brzucha przypomniało Zojce, że żadna praca nie hańbi. No, prawie żadna, pomyślała, zerkając niespokojnie w stronę ustawionego nieopodal łóżka. Sięgnęła po ostry nóż i sprawnie pociachała ogórka, zastanawiając się w duchu, kto potem zjada wykorzystane do robienia zdjęć

produkty spożywcze.

• Rozdział drugi •

– Wiesz, mamó. Przyjadę do domu jednak ciut przed weekendem – mruknęła do telefonu, równocześnie sięgając do foliowego woreczka i pakując do ust kilka rodzynek sułtanek, które po sesji zdjęciowej miały wylądować w koszu.

– Naprawdę? Córcia! Bardzo się cieszę! A kiedy?

– We wtorek.

– Ale wtorek jest dzisiaj.

– Wiem, wiem. Od razu zajmę się sprawą babuni. Bardzo mnie zaniepokoiło to, co powiedziałaś.

Na krótką chwilę zapadło milczenie.

– A co z twoimi zobowiązaniami? Miałaś iść na rozmowę kwalifikacyjną? Nie udało się?

– Udało! Przyjęli mnie z marszu! – zapewniła Zojka, sięgając do drugiej kieszeni po orzechy nerkowca. A może brazylijskie? Trochę się jej myliły te wszystkie nazwy. – Z otwartymi ramionami wręcz. Ale muszę jeszcze przemyśleć, czy warunki mi odpowiadają...

– Słabo płacą? – domyślnie jęknęła matka.

– Nie o to chodzi. – Zojka wsunęła woreczek do kieszeni i wydobyła dwie pięcioletowe monety, które otrzymała po sesji. Przynajmniej nie musiała uszczuplać resztki oszczędności w słoiku po kawie rozpuszczalnej, by kupić bilet do Lipówki. – Teraz ciężko o dobrze płatną pracę. Może zahaczę się na chwilę, by zdobyć doświadczenie, ale będę cały czas szukać czegoś innego...

– Zupełnie nie rozumiem, dlaczego tak się upierasz przy Krakowie, zamiast wrócić do domu!

– Cóż, ta praca nie jest idealna, ale ma swoje plusy – broniła się Zojka. Ponownie sięgnęła do woreczka z rodzynekami. – Nieregulowane godziny pracy, dużo swobody i takie tam różne bonusy. Już wczoraj otrzymałam pierwszy...

– Poważnie? W gotówce czy w bonie?

– Hmm, uznajmy że w naturze. – Zojka przygryzła orzeszka i z błogą miną opadła na pluszowe siedzenie. – Porozmawiamy w domu, dobrze? Właśnie wsiadłam do pociągu w Płaszowie, więc powinnam dotrzeć za jakieś półtorej godziny.

Zakończyła połączenie i rozluźniona oparła głowę o obitą drewnopodobną okładziną ścianę pociągu. Na przemian przeżuwała orzeszki i rodzyнки, delektując się ich smakiem i wspominając dwie godziny spędzone w studio zdjęciowym. Chociaż początkowo poczuła rozczarowanie, że oferowana praca nie polega na redagowaniu pisemka kulinarnego i daje jedynie możliwość układania niezliczonych kompozycji z ogórków, pomidorów i plasterków żółtego sera,

musiała przyznać, że zajęcie okazało się zadziwiająco przyjemne. Prawdziwe rozczarowanie przyszło, kiedy odebrała zarobione pieniądze i przykaz, by w drodze na przystanek wyrzucić worek z wykorzystanymi produktami spożywczymi.

– Spisałaś się na medal – zapewniła ją Jowita, blondynka z nastroszonymi włosami. – Odezwij się za tydzień, będziemy robić gazetkę dla marketu budowlanego!

Zojka przyoblekła dzielny uśmiech, choć na usta cisnęły się jej wszystkie przekleństwa poznane od czasów pierwszej klasy szkoły podstawowej. Wcisnęła dwie piątki do kieszonki torebki, zawiązała worek na porządną supeł i noga za nogą powlokła się na autobus. Wieczorem wyrzuciła resztkę koperku i przygotowała kanapki z gulaszem angielskim, a na deser spałaszowała herbatniki maślane i świeżo wyciskany sok. Popijając smaczny napój, pomyślała, że tak naprawdę ma dość szarpaniny z szukaniem pracy i przekonywaniem samej siebie, że kiedyś zrobi karierę niczym Carrie Bradshaw z *Seksu w wielkim mieście*. Zaraz z rana wysłała jeszcze kilka CV, wiedząc doskonale, że pozostaną bez odpowiedzi, potem podlała wysuszoną paprotkę i weszła na stronę internetową PKP, by sprawdzić, o której odchodzi pociąg relacji Kraków Płaszów – Bielsko-Biała. Zdecydowała, że spędzi kilka dni w rodzinnym domu i nabierze dystansu do pisania, pracy i swojego mieszkania w Krakowie. Przy okazji zorientuje się, co tym razem wymyśliła babunia i spróbuje przekonać matkę, że staruszka nie stanowi żadnego zagrożenia.

Choć znając babunię, co do tego ostatniego nie miała pewności.

Rozanielona Zojka wcisnęła w usta garść rodzynek i zaczęła je wolno przeżuwać. Słodka przekąska była tak pyszna, że zadowolona przymknęła oczy, oparła głowę o miękkie siedzenie i delektowała się smakiem, cichutko pomrukując. Nagle do jej uszu dobiegło lekkie chrząknięcie. Zaskoczona otworzyła oczy i spostrzegła, że w przejściu pomiędzy siedzeniami stoi wysoki, młody mężczyzna i przygląda jej się z wyrazem niesmaku na twarzy. Szybko przyjęła wyprostowaną pozycję i odwróciła się w stronę okna. Czuła, jak palą ją policzki. Kątem oka dostrzegła, że nieznajomy mija jej siedzenie, kręcąc głową. Zojka rozluźniła się dopiero, kiedy usłyszała trzask zasuwanych drzwi. Co za gbur, pomyślała zirytowana. Czy już naprawdę nie można sobie pomlaskać w spokoju? Albo pozwalać swojej mimice na pełną swobodę? Czy tak trudno zrozumieć, że nie jadła zdatnych do spożycia rodzynek sułtanek od czasu, kiedy dopadł ją ośli upór i obsesja zostania słynną dziennikarką?

Zdenerwowała się tak mocno, że apetyt na mieszankę rodzynekowo-orzechową minął jak ręką odjął. Wcisnęła woreczek do kieszeni i sięgnęła do torebki po powieść. Z korytarza dobiegło przeciągłe buczenie, po czym pociąg szarpnął i wolno potoczył się po torach. Zojka otworzyła książkę w miejscu zaznaczonym kolorową zakładką i rozsiadła się wygodnie. Przed sobą miała niemal

dziewięćdziesięciminutową podróż, którą zamierzała poświęcić na lekturę. Niemal całą, bo jakiś ułamek czasu powinna też przeznaczyć na obmyślenie, jak wytłumaczy babuni najazd na jej dom.

– Wiedziałam, że cię przyślą – usłyszała na dzień dobry, gdy tylko wdrapała się po drewnianych schodkach ganku.

– Cześć, babuniu. – Uśmiechnęła się pod nosem. – Ja również bardzo się cieszę, że cię widzę...

– Cieszyłabym się – prychnęła staruszka, wstając z ławki i ruszając w kierunku wejścia do sieni – gdybyś przyjechała z własnej woli. Ale nie. Ty bierzesz udział w spisku!

– W jakim znowu spisku – wymamrotała Zojka, pchając pomalowane na zielono, nieco odrapane drzwi i wchodząc do pogrążonego w mroku korytarza. Zatrzymała się na moment, by jej oczy przywykły do ciemności, postawiła sportową torbę na toalecie z dużym lustrem i ruszyła w kierunku kuchni. Ze środka dochodziły już odgłosy krzątania babuni.

Zojka rozejrzała się po kuchni i ze wzruszeniem pomyślała, że przez te wszystkie lata niewiele się tutaj zmieniło. Duże pomieszczenie było urządzone dość staroświecko. Jeden kąt zajmował wielki piec z blachą obłożony brązowymi, błyszczącymi kaflami. W mroźne dni Zojka uwielbiała ogrzewać nad nim zziębnięte dłonie i wpatrywać się w buzujący ogień. Pod oknem stał znajomy drewniany stół z czterema krzeselkami wyściełanymi miękkimi poduszkami, a na przeciwległej ścianie stary kredensik z wąskimi szufladkami, w których kryły się niezliczone szpargały. W kuchni nie brakowało też elementów nowoczesności: kuchenki gazowej i dużej, srebrzystej lodówki, ale babunia była tradycjonalistką. Chociaż mogła po prostu odkręcić kurek z wodą, codziennie biegała z wiaderkiem do studni na podwórzu. Woda z kranu smakuje jak siki, mawiała i za nic nie dawała sobie przetłumaczyć, że woda do rur jest pompowana z tej samej studni. Wiedziała swoje i basta. Teraz też z marsową miną grzebała pogrzebaczem pod blachą kaflowego pieca.

– Zrobię herbatę – burknęła.

– Ja zrobię – zaoferowała się Zojka, sięgając do kredensu po dwa kubki i dwie torebki malinowej herbaty.

– Jeszcze nie zniedołężniałam! – prychnęła babunia. – Choć twoja matka chciałaby, żeby było zupełnie inaczej! Cała rodzina położyła na mnie krzyżyk. Najchętniej zamówiliby dla mnie grobowiec na cmentarzu. Chodzi, oczywiście, o ziemię...

Zojka uniosła znacząco brwi, sięgając do szuflady po łyżeczki. Babunia była w dobrym humorze, o czym świadczyła jej stała śpiewka na temat rodziny czyhającej na gospodarstwo. Od wielu lat staruszka toczyła zażarte boje z rodziną Tuszyńskich, zarzucając jej członkom, że chcą odebrać jej dom, pole i kawałek

lasu. Zaczęło się od dość niewinnej sugestii, że ponadsześćdziesięcioletnia kobieta nie powinna mieszkać sama i na dodatek hodować, uprawiać i wykonywać związanych z tym ciężkich prac fizycznych. Babunia uniosła się wprawdzie dumą, a następnie gniewem. Od tego czasu nie rozmawiała z córkami i zięciami. Jeśli chciała im coś przekazać, wykorzystywała w tym celu wnuczeta, które jako jedyne cieszyły się jej względami. Zojka, podobnie jak kuzyn i kuzynka, czuła się niezręcznie, stając pomiędzy rodzicami i babunią, szczególnie że ta ostatnia dość dosadnie dawała znać, co sądzi o pozostałych członkach rodziny.

Po prawdzie to zarzuty babuni nie były całkowicie bezzasadne i Zojka doskonale o tym wiedziała. Bądź co bądź dowodem na to było jej własne imię, które otrzymała właśnie na cześć babci Łyczakowej. Problem stanowił fakt, że to samo imię na tę samą cześć otrzymała jej urodzona kilka minut wcześniej kuzynka. Zojka do tej pory nie mogła uwierzyć, że chęć otrzymania atrakcyjnej działki pod budowę domu mogła stać się przyczyną wyścigu na porodówce, którego zwieńczeniem okazało się nadanie dwóm nowo narodzonym dziewczynkom tego samego imienia.

Zofia, po babci.

W rezultacie w rodzinie były trzy Zofie, a Zojka stała się Zojką, by łatwiej było ją odróżnić od starszej o kilka minut, mieszkającej po sąsiedzku Zosi.

Działkę babunia sprzedała. Uzyskane pieniądze podzieliła na cztery kupki, a następnie wpłaciła je na rachunki dwóch wnuczek, jednego wnuka i... pielgrzymkę do Lourdes. Powiedziała, że pojechała, by pomodlić się o zwiększenie liczby szarych komórek u własnych dzieci.

Pogwizdujący czajnik przywołał Zojkę do rzeczywistości. Zalała herbatę i postawiła kubki na przykrytym kraciastą ceratą stole. Babunia z ponurą miną przysunęła sobie cukiernicę i wsypała do gorącego naparu cztery kopiaste łyżeczki cukru. Zojka jęknęła.

– Babciu...

– No co? Co? Ty też będziesz mi wmawiać, że cukier i papierosy to zło wcielone? I że muszę się ograniczać, bo inaczej już zaraz wyciągnę kopyta?

– Eee, nie... ja patrzę na względy ekonomiczne. Cukier podrożał...

– Rentę mam – prychnęła babunia, pociągając herbatę z głośnym chlipnięciem. – Na cukier mnie jeszcze stać. Dość się ograniczałam za komunistów. Teraz mogę słodzić i słodzić będę. I nikomu nic do tego!

Zojka pokiwała głową, zastanawiając się nad tym, jak delikatnie nakierować rozmowę na temat potencjalnego bicia i wyciągnąć ze staruszki, kto ma zostać równie potencjalną ofiarą. Babunia pociągnęła kolejny łyk i z chytrym uśmieszkiem spojrzała na wnuczkę.

– Niech zgadnę, pewnie ojciec cię przysłał?

Zojka uśmiechnęła się pod nosem. Próby przechytrzenia babuni Łyczakowej

nie miały sensu. Była szczwana, spostrzegawcza i szczerą do bólu. Jeśli wnuczka chciała cokolwiek z niej wyciągnąć, musiała jak na spowiedzi wyśpiewać, po co zjawiała się w domku na wzgórzu. Przybrała teraz groźną minę i pogroziła staruszcze palcem.

– Naprawdę pogoniłaś go siekierką?

– Ja? – Babunia zrobiła niewinną minę. – Nic z tych rzeczy. Był tu jakoś na dniach, to prawda. Może akurat ostrzyłam narzędzia albo goniłam kurczaka po podwórku... nie wiem.

– Uhm. – Zojka pokiwała głową ze znaczącą miną. Znała to „nie wiem” babuni jak kształt własnego paznokcia na małym palcu prawej ręki. To samo „nie wiem” usłyszała, kiedy ktoś poprzebijał opony Wojtkowi, zdradliwemu narzeczonemu jej kuzynki Zosi. I kiedy piękne wielkanocne pisanki „się potłukły”. Wcześniej matka Zojki wyraźnie zapowiedziała babuni, by trzymała się z dala od świątecznych przygotowań, bo przecież wszystko leci jej z rąk...

– Naprawdę. – Staruszka przyłożyła dłoń do serca, przy okazji obficie chlapiąc herbatą przód niebieskiej podomki w drobne kwiaty.

– A o co chodzi z tym całym biciem? – nieufnie zapytała dziewczyna.

– A, to! No przecież! – Rozpromieniona babunia poderwała się z krzesła. – Chodzi o sołtysa!

– Babuniu! – jęknęła. – Wiem, że nie lubisz polityków i każdego uważasz za złodzieja...

– I za farbowanego lisa – dodała zadowolona z siebie staruszka, unosząc sękaty palec.

– ...ale nie możesz uciekać się do przemocy. Nie wolno ci bić!

– Nie? – zdziwiła się babunia. – A sołtys powiedział, że to ostatnia okazja, potem będzie karalne...

– Już jest karalne!

– Wcale nie, przecież ci tłumaczę, że sołtys powiedział! Ja może polityków nie lubię, ale słucham. Jak księdza na kazaniu – dodała z przebiegłą miną. – Sołtys powiedział, że trzeba teraz bić, to zamierzam wykorzystać. Póki można legalnie, bo jak będzie karalne, to spaszuję. Za komunistów mnie nie zamknęli, to i za kapitalistów nie wsadzą.

– Za kogo? – zdębiała Zojka. – To się w głowie nie mieści! Ja sobie z tym całym sołtysiem porozmawiam i wszystko mu wygarnę. Jak można tak namawiać do złego i to staruszkę jeszcze! Ja złożę jakieś zażalenie!

– Staruszkę? – obruszyła się babunia. – Mów za siebie, ja mam dopiero siedemdziesiąt dwa lata, a czuję się o dwadzieścia młodsza!

– Uhm. – Zojka przewróciła znacząco oczami. – I ojciec babcię chciał od tego bicia odwieść, a babcia go siekierką...?

– Przecież ja go nie pytałam, po co przyszedł – prychnęła babunia. – Jak

zobaczyłam, to złapałam, co było pod ręką i... oj. – Spłoszona spojrzała na wstrząś-niętą wnuczkę.

– Babuniu! A co ksiądz proboszcz na to powie? – Chwyciła się ostatniej deski ratunku. Staruszka wzruszyła ramionami.

– A co ma powiedzieć? On też bije, póki można...

Zojka aż dostała zawrotów głowy od tych wszystkich rewelacji. Doszła do wniosku, że najlepiej zrobi jej przechadzka. Dotleni się, zażyje ruchu, a może przy okazji zajdzie także do domu rodziców i powie, że mieli całkowitą rację. Babunia zbzikowała i wymagała opieki. Stała się agresywna i ani myślała ograniczać się do łona własnej rodziny. Bóg wie, kogo zamierzała roztrzaskać za pomocą swojej dobrze naostrzonej siekiery!

– Zostanę na kilka dni – powiedziała, dopijając herbatę. – Zatrzymam się u ciebie. Cieszysz się?

– Jak cholera! – Babunia od razu rozpromieniła się. – Z tym biciem jest strasznie dużo zamieszania, to mi pomożesz!

Polna droga ukryta w zalesionym wąwozie poprowadziła Zojkę w kierunku Lipówki. Kiedy dziewczyna znalazła się już u stóp wzgórza, spojrzała za siebie i przez chwilę podziwiała położony na szczycie drewniany domek z zielonymi okiennicami i nieco pochyłym ganeczkiem. Dom babci Łyczakowej przypominał chatkę czarownicy ukrytą pomiędzy wysokimi dębami i jesionami. Już w dzieciństwie Zojka, jej kuzynka Zosia i o dwa lata starszy od Zosi Janek uwielbiali odwiedzać domek babuni, gdzie zawsze czekało na nich ciepłe mleko z kogłem-mogłem i pajda chleba z własnoręcznie zrobionym masłem i solidną szczyptą soli. Na wpół dziki ogród przed domem był wymarzonym miejscem do zabawy. Rosły tam ponure świerki i wesoło machające listkami brzozy, obsypane kwiatami rabaty ściągały do siebie motyle i bzyzące pszczoły. Na jednym z dębów jako dzieci zbudowali domek na drzewie, w którym urządzili swoją bazę. Z jej wnętrza toczyli zażarte boje z dzieciarnią z sąsiedztwa, obrzucając intruzów bryłkami błota, szyszkami, a raz nawet znalezionymi w krzaczkach malin jajami. Ten ostatni incydent nie zakończył się zbyt pomyślnie, bowiem jaja okazały się mocno nadgniłe i zaatakowani wracali do domu w oparach nieziemskiego smrodu. Janek miał celne oko, zatem włosy syna ówczesnego sołtysa jeszcze trzy tygodnie pociągały starymi pierdami, jak podsumowała rozbawiona babunia. Tylko ona poznała się na zabawach wnuków, ich rodzice bowiem po hecy z jajami zakazali zabaw w domku, by ostatecznie rozebrać skomplikowaną konstrukcję do ostatniej deseczki.

Szkoda, pomyślała teraz zawiedziona Zojka, szukając wśród wysokich dębów odpowiedniego drzewa. Chętnie wesłabym do tamtego domku, by poczuć powiew dawnych lat. O ile przecisnęłabym mój tyłek przez wejście trzydzieści na trzydzieści, a to akurat wcale nie jest takie pewne!

Porzuciła kontemplowanie uroku gospodarstwa na wzgórzu i odwróciła się o sto osiemdziesiąt stopni, by spojrzeć na położoną poniżej torów kolejowych Lipówkę. Ta nieduża wioseczka umiejscowiona jedną stacją kolejową przed Wadowicami nie wyróżniała się niczym szczególnym. Podobnie jak inne okoliczne miejscowości rozłożyła się na pofalowanych wzgórzach upstrzonych łąkami, polami i lasami. Przecinała ją linia kolejowa z Krakowa do Bielska-Białej, droga gminna i niewielki wartki strumyk kilka kilometrów dalej wpadający do Skawy. Kilkanaście zabudowań gniotło się w centrum wsi, kilka gospodarstw, w tym domek babuni Łyczakowej, przycupnęło nieco dalej, jakby szukając wolnej przestrzeni. Najważniejszymi obiektami we wsi były niewielki kościółek, sklep spożywczy – pozostałość po dawnym GS-ie, obecnie przemianowany na delikatesy znanej marki, remiza strażacka OSP i malutki przystanek kolejowy z nieczynną kasą biletową, z którego kilka lat wcześniej Zojka wyruszyła w świat. Spoglądając na Lipówkę, Zojka poczuła znajome dławienie w gardle. Wielki świat wielkim światem, kariera (nieudana zresztą) karierą, ale zawsze chętnie wracała do rodzinnej miejscowości. Może niekoniecznie z tak delikatną misją, jak poskromienie babuni, ale jednak.

Na wspomnienie zaciętrzewionej staruszki Zojka pokręciła głową, poprawiła na ramieniu zsuwającą się torebkę i ruszyła w kierunku rodzinnego domu. Pogodny dzień wygonił mieszkańców Lipówki do przydomowych ogródków, więc co rusz przystawała, by odpowiedzieć na pozdrowienia, zamienić słówko z tym czy tamtym i zdradzić, co pani z miasta robi w tej zabitej dechami wsi. Właśnie roztaczała przed panią Michniakową arkana pracy przy redagowaniu najnowszej gazetki dla wieeeeeelkiego koncernu spożywczego („Wynajmują wielkie studio z kamerą i aparatami, i zwożą całe tony jedzenia. Winogrona, pomidorki koktajlowe i cherry, ogórki szklarniowe, gruntowe i małosolne, ostrygi, szampan i łożko z koronką”), kiedy sąsiadka wskazała na stojącego na stopniach sklepu mężczyznę.

– To ty teraz taka ważna jak nasz sołtys! – zawołała.

Zojka natychmiast zapomniała o tym, co jeszcze zamierzała dodać („To bardzo poważna praca, byłam odpowiedzialna za tworzenie kompozycji owocowo-warzywnych z ujęciem najaktualniejszych norm witalności i estetyki”) i energicznym krokiem ruszyła w kierunku lokalnego przedstawiciela sceny politycznej.

– Przepraszam! – Odchrząknęła, bo choć zatrzymała się niemal pod nosem brodatego mężczyzny w dżinsowej kurtce, to jednak jego własny nos znajdował się właśnie nad wyświetlaczem ogromnego smartfona i bynajmniej nie myślał wyczuć zbliżającego się zagrożenia. W końcu jednak padło uprzejme:

– Hmmmm?

– Hmmmm? – zdumiała się Zojka. – Tylko tyle? Panie... panie... – Nie mogła sobie przypomnieć nazwiska nowo wybranego sołtysa. Usiłowała wyłowić z

pamięci, czy babunia kiedykolwiek wspominała, jak się nazywa, ale miała w głowie pustkę. Poczowała irytację. – Panie sołtysie – uprosiła z ulgą, przybierając srogą minę – ja sobie wypraszam.

– Tak? O co chodzi? – Mężczyzna potarł brodę potężną dłonią, równocześnie nie odrywając wzroku od ekranu.

Irytacja Zojki sięgnęła zenitu. Bez zastanowienia wyszarpnęła telefon z rąk sołtysa. Oszołomiony mężczyzna przez moment wpatrywał się w puste dłonie, by w końcu przenieść wzrok na zdenerwowaną młodą kobietę. Zojka schowała ręce za sobą, kryjąc technologiczne cudo przed zasięgiem spojrzenia sołtysa i tupnęła nogą.

– Co pani wyprawia? – huknął mężczyzna.

– To nieuprzejme tak gapić się w telefon, kiedy ktoś przychodzi ze sprawą natury... – podenerwowana Zojka szukała odpowiednich słów – ...sołeckiej.

– A pani jest z naszego sołectwa? – Brodacz uśmiechnął się cokolwiek złośliwie. – Nie kojarzę.

– Nawet się nie dziwię – prychnęła Zojka. – Swoją ostatnią szarą komórkę skupił pan na instrukcji obsługi nowego telefonu i spojrzenie się panu ciut ograniczyło. Ale żeby pan wiedział, że ja tego tak nie zostawię. Ja sobie wypraszam!

– Ale o co chodzi? Nadal nie wiem...

– Nie będzie mi tu byle technologiczny bubek babuni na manowce sprowadzał. Na kryminalną drogę! Co pan sobie wyobrażał? Nakłaniać do złego i to jeszcze kobiecie w podeszłym wieku? Że co niby, że sąd się potem ulituje, że starsza, że słuch i wzrok nie ten, że z natury chole... znaczy charakterna? Ja się nie zgadzam! Dotarło?

– Dotarło, tylko ja nadal nie wiem...

– Niech pan w Google’u poszuka! – warknęła Zojka, wciskając mu w rozłożone dłonie smartfona i odchodząc szybkim krokiem. Była roztrzęsiona, więc już bez zbędnych przystanków pobiegła do domu rodziców. Na plecach czuła palące spojrzenie sołtysa, ale nie odwróciła się ani razu. Czeka ty, pomyślała, dam ja ci za babunię, jeszcze się policzymy!

Spotkanie z matką zaowocowało dodatkowym centymetrem w biodrach (pierogi z truskawkami i placek ucierany, także z truskawkami) oraz postanowieniem, że przynajmniej do końca tygodnia Zojka pozostanie w domu babci i spróbuje zlokalizować potencjalną ofiarę. Dziewczyna nie wspomniała rodzicielce, że w aferę z biciem prawdopodobnie zamieszana jest lokalna władza. Nie chciała, by rodzice wpakowali się w większą kabałę, niż to wszystko warte, a poza tym kiełkowało w niej podejrzenie, że matka nie pochwaliłaby sposobu, w jaki rozmówiła się z sołtysem.

Wracając do domu babuni, rozżaliła się nieco. Wpadam na samych baranów,

myślała rozgoryczona. Najpierw ten tamten w pociągu, co to dziwne miny robił, jakby w życiu nie widział rodziny sułtanek, a teraz jeszcze sołtys od siedmiu boleści, który zwodzi biedne staruszki, nakłania do złego, a przyzwoitemu człowiekowi nie potrafi w oczy spojrzeć, tylko wgapia się w tego smartfona, jakby mu Wróżka Zębuszka przepis na szóstkę w totka sprawiła. Nie ma na tym świecie porządnych facetów. Nie ma na tym świecie porządnej pracy, normalnie nic na tym świecie nie ma, biadoliła pod nosem Zojka, potykając się o wystające korzenie w wąwozie.

Ale kiedy dotarła już na szczyt wzniesienia i spojrzała na pogrążony w majowym zmierzchu domek, poczuła, że od środka robi jej się przyjemnie ciepło. Babunia zapaliła lampę na ganku, a poruszająca się firanka w kuchennym oknie świadczyła o tym, że nadal czeka na wnuczkę. Zojka przez krótką chwilę cieszyła oczy tym widokiem, aż w końcu ruszyła w kierunku wejścia.

• Rozdział trzeci •

Minął wtorek, środa minęła, czwartek zaczął się już całkiem porządnie, i zważywszy na to, że Zojka zwlekła się z łóżka za dziesięć jedenasta, nie było w tym niczego dziwnego, a o biciu ani widu, ani słyhu. Nad kubkiem porannej – a może przedpołudniowej – kawy dziewczyna stwierdziła, że musi jakoś delikatnie babunię podejść. Inaczej na amen zapuści korzenie w domku na wzgórzu, a o powrocie do Krakowa będzie sobie mogła co najwyżej pomarzyć.

– Babuniu – zagaiła skrobiącą ziemniaki staruszkę – co z tym biciem?

– O! – Babunia uniosła znad metalowej miednicy rozpromienioną twarz pooraną niezliczonymi zmarszczkami. – Już prawie skończone!

– Jak to skończone? – słowa starszej pani obudziły Zojkę szybciej niż przyswojona dawka kofeiny. Wyprostowała się na krzesełku i ze zdumieniem spojrzała na babcię. – Jak może być skończone? Przecież miałam ci pomagać!

– Miałas, miałas – sarknęła tymczasem babunia, pozbawiając Bogu ducha winne kartofle oczu. – Ale nosiło cię po wsi i nie pomogłaś. Co ja miałam czekać, aż ty się łaskawie pojawisz?

– Trzeba było powiedzieć! – oburzyła się wnuczka.

– Dałam sobie radę! Mam doświadczenie! – nie bez dumy obwieściła babunia.

Tak, za to ja nie mam pojęcia, co się wydarzyło i jak skończyła ofiara. Ba, nie wiem nawet, kto został ofiarą! – myślała rozżalona Zojka. – Do niczego się nie nadaję, nic dziwnego, że nie potrafię znaleźć dobrej pracy! Nie umiem upilnować jednej staruszki, jak mogłabym zabrać się za coś poważniejszego?

Widząc smutną minę wnuczki, babunia przerwała obieranie ziemniaków i poklepała ją po kolanie.

– Nie smutaj się, Zojeczko! Jeszcze znajdę dla ciebie zadanie!

– Na pewno?

– Na pewno, na pewno! – potwierdziła starsza pani, a dla wzmocnienia efektu pokiwała głową i wróciła do obierania ziemniaków. – Ktoś musi po mnie posprzątać...

– Posprzątać? – przeraziła się Zojka. – Coś ty babciu narobiła?

– Nic wielkiego. Trochę nachlapałam.

– Nachlapałaś?

Staruszka wzruszyła ramionami, celując ziemniakiem do miski.

– Oko już nie to, trudniej trafić...

– W twoich ustach brzmi to strasznie.

– Nie przesadzaj. Po robocie trzeba po sobie posprzątać, a ty sama się zaoferowałaś do pomocy. Teraz się migasz? – obraziła się staruszka.

– Nie migam – mruknęła Zojka. – Posprzątam.
– I dobrze. – Staruszka cisnęła do miski kolejnego ziemniaka. – Mam nadzieję, że rozumiesz, że trzeba też zetrzeć na miazgę...

– A to coś zostało? – upewniła się Zojka, tracąc apetyt na kawę i odsuwając kubek na przeciwległy brzeg stołu.

– Całkiem sporo – potwierdziła staruszka. – Zrobiłabym to sama, ale nie chcę pościerać kłykci. Jak bym potem wyglądała z modlitewnikiem w kościele? Ty to co innego, przed niedzielą będziesz już w Krakowie!

– Albo w kryminale! – mruknęła pod nosem Zojka. Spojrzała na pochylone plecy babuni i poczuła nagłą tkliwość. Babunia była kapitalna. Kupowała jej słodycze i kolorowanki. Pozwalała zakładać długą flanelową koszulę i nie zająknęła się nawet słowem, że wielki garnek, który podczas zabawy w księżniczki Zojka wkładała na głowę w charakterze kapelusza, tak naprawdę był starym nocnikiem. A raz wdrapała się po rynnie na dach, żeby uratować ukochanego kota Zojki. Co prawda kot zeskoczył, zanim babcia się wdrapała, ale liczył się sam fakt, prawda? Zojka kochała babunię do szaleństwa i nie zamierzała pozostawić na jej pochyłych barkach całego przestępstwa. Część wezmę na siebie, zdecydowała szybko. Albo lepiej zrzucę na sołtysa, i tak jest dupkiem...

Jej rozmyślenia przerwało przeciągłe jęknięcie. Babunia podniosła się ze stołka, zgarnęła miskę z kartoflami i wrzuciła ją do zlewozmywaka. Następnie spojrzała z wyczekiwaniem na wnuczkę.

– Możesz zaczynać – obwieściła.

– Co zaczynać?

– No, sprzątanie. Miałaś sprzątać – przypomniała babunia, płucząc ziemniaki pod strumieniem wody. – Tylko popatrz, jak nachlapałam, trzeba przynieść mop z łazienki. I obierki wynieść na gnojowiec. Pardon, do kompostownika. Nowe dyrektywy – uściśliła babunia z dumną miną.

– Miałaś na myśli sprzątanie? – zdziwiła się Zojka.

– No, a co?

– Ale nie *sprzątanie*? Tylko zwyczajne sprzątanie? Nie żadne sprzą-ta-nie?

– Sprzą-ta-nie? – stropiła się babcia. – Tak się na to mówi w Krakowie? Na modłę francuską?

– Rany, babuniu, chciałam ci pomóc posprzątać po... biciu! – Zojka w ostatniej chwili ugryzła się w język, by nie użyć dosadniejszych słów.

Babunia wzruszyła ramionami.

– Ale pomożesz mi posprzątać po obieraniu ziemniaków.

– A... miazga? – Zojka usiłowała złapać się ostatniej deski ratunku.

– Miazga? – Babunia uśmiechnęła się pod nosem. Podeszła do szafki pod oknem, przez chwilę w niej gmerała, po czym wepchnęła wnuczce w ręce pokazną tarkę do ziemniaków. – Na tej wychodzi najlepsza miazga! Placki ziemniaczane też

wyjdą jak ta lala!

Placki ziemniaczane. Zojka westchnęła głęboko, odstawiając tarkę na stół i ruszając po mopa. Z babunią było gorzej, niż wszyscy sądzili. Przechodziła syndrom wyparcia, o ile oczywiście takie coś w ogóle istniało. Najpierw sama głośno krzyczała, że bić będzie, a teraz udaje, że nie wie, o co chodzi.

Pocierając kartoflami o szorstką powierzchnię tarki, Zojka uspokoiła emocje i doszła do wniosku, że musi zacząć od początku. Popęłniła błąd, usiłując podejść babunię Łyczakową, która jak powszechnie wiadomo, była bardziej szczwana od samego lisa. A nawet od nory pełnej lisów.

– Babuniu, chciałabym mieć swój udział w tym biciu – rzuciła w kierunku stołu, gdzie pochylona nad kolorowym tygodnikiem staruszka właśnie zgłębiała historię małżeństwa znanego dziennikarza. – Żle się z tym czuję, że obiecałam, a potem łąziłam po wsi i nie pomogłam. Nie możesz brać wszystkiego na siebie.

– W porządku, skoro się upierasz... Zajmiesz się dystrybucją. Tak się mówi?

– Nie wiem – z wahaniem odrzekła Zojka. – Nie jestem pewna, co masz na myśli...

– Kiszki – krótko rzuciła babunia, porzucając historię dziennikarza i jego szóstej żony. – Trzeba się zająć kiszkami.

– Dobrze. – Zojka kiwnęła głową, równocześnie zapominając o ostrożności i zdzierając skórę na środkowym palcu prawej dłoni. – Zajmę się wszystkim.

– Zawieziesz je do Wadowic.

– Fajnie. Dawno tam nie byłam – ucieszyła się. – Ale... ty je porządnie zabezpieczysz, tak?

– Bardzo porządnie – przyznała babunia. – Mam specjalny woskowany papier. Owiniemy, a potem jeszcze do woreczka włożymy. Strunowego. Żeby ci torebka nie zaśmierdła.

– W porządku. – Zojka przełknęła głośno ślinę na myśl o towarze, który miała przewozić w nowej torebce. Kupiła ją za osiem pięćdziesiąt w ciucholandzie na Salwatorze i jeszcze nie zdążyła się nią nacieszyć. Inaczej mówiąc: nic w niej nie wylała, nie wysypała i nie naderwała.

Kiszki. Mogło być gorzej. Jakieś płuca. Albo nerki. Na końcu języka Zojka miała pytania, czy kiszki będą puste, ale stwierdziła, że lepiej nie wiedzieć. Zapytała za to, kiedy babunia ma zamiar obarczyć ją tak delikatną misją.

– Cóż. – Babunia zerknęła na kuchenny zegar. – Bus jedzie coś po trzynastej, więc chyba nie zdążysz zjeść placków.

– Nie szkodzi – pospieszyła z zapewnieniem Zojka, tamując krwawienie z palca i próbując trzeć drugą ręką. – Jakoś nie mam dziś apetytu. Zjem zimne placki po powrocie.

– Nie będziesz jeść zimnych, bo ci w dupsko pójdzie! – oburzyła się babunia. – Zimny tłuszcz, ble, tak nie wolno. Usmażę ci, jak wrócisz, i zjesz ciepłe.

- A ciepłe nie idą w...
- Idą, ale przynajmniej ma się przyjemność z jedzenia.

Zojka parsknęła śmiechem, kręcąc głową na babcine mądrości. Ale musiała przyznać, że ma wielką ochotę na gorące placki ziemniaczane i po powrocie z Wadowic chętnie przyjmie talerz z parującym przysmakiem. O ile jej misja dostarczenia kiszki... kiszek zakończy się powodzeniem i nie zostanie na przykład zatrzymana. Z podśmierdującym dowodem rzeczowym zawiniętym w woskowany papier w torebce za osiem pięćdziesiąt.

Wróciła do swojego pokoju, by przygotować się do drogi. Kiedy na powrót znalazła się w kuchni, na przykrytym ceratą stole czekała zgrabniutka paczka. Na jej widok Zojka głośno przełknęła ślinę i nadstawiła torebkę, marszcząc nos. Babunia zamachała rękoma z irytacją.

– Minę masz, jakbyś przewoziła kurze gówienko, a nie kawałek kaszanki i swojską kielbasę!

– Kaszanki? – ożywiła się dziewczyna. – Swojskiej kielbasy?

– Czemu robisz z siebie takie dziwadło?

– Mówiłaś o kiszce...

– I będziesz się licytować o kilogram kielbasy? No, wiesz, nie spodziewałam się po tobie takiej małostkowości. Albo nie. Spodziewałam. Jesteś córką swoich rodziców...

– Babciu! – Zojka chwyciła paczkę i potrząsnęła nią mocno. – Skąd kaszanka i kielbasa?

– Jak to skąd? Z bicia!

– Pobiłaś człowieka dla kielbasy?

– I kiszki – przyznała babunia. Nagle spojrzała dziko na wnuczkę. – Nie! Co ty mi wmawiasz? Normalnie rozum przy tobie tracę, jeszcze mnie w Koberzynie zamkną jakim. Przecież ja nikogo nie pobiłam! Kupiłam pół świni od sołtysa i zamówiłam kielbasę i kiszkę...

– I o takie bicie chodzi? – upewniła się Zojka. – Nie zamierzasz uczestniczyć w żadnym przestępczym procederze?

– Nie jestem pewna. – Babunia stropiła się nieco. – Może jeszcze kogoś ukatrupię? Ale mogę ci obiecać, że wszystko zostanie w rodzinie.

W popołudniowym słońcu Lipówka wygląda naprawdę malowniczo, pomyślała Zojka, wbijając czubek buta w kupkę kurzu na zdezelowanym przystanku i niecierpliwie wyglądając na drogę. Odrapana, metalowa wiata była pozostałością po latach, kiedy przez wieś przejeżdżał PKS relacji Kalwaria Zebrzydowska – Wadowice. Po PKS-ie pozostały już tylko przystanki i wspomnienia, i to głównie u ludzi w wieku rodziców Zojki. Obecnie wiata służyła miejscowej młodzieży jako miejsce spotkań towarzyskich. W razie potrzeby stawała się także punktem spożycia trunków słabszych, ale tylko gatunkowo, bo do

głowy uderzających z mocą zbliżoną do rażenia piorunem. Dwa razy dziennie – raz w godzinach porannych i raz popołudniowych – powracała do swego pierwotnego przeznaczenia i stawała się przystankiem dla podróżnych korzystających z lokalnej linii minibusów.

Nie cieszyła się ona specjalnym zainteresowaniem, ponieważ mieszkańcy Lipówki preferowali własne środki transportu, jednak od czasu do czasu kierowca busa zgarniał z przystanku jakąś starowinkę, zamierzającą odwiedzić wadowicki jarmark, albo gimnazjalistę, który zasnął na tyle, by przeoczyć transport szkolny. Ewentualnie młodą kobietę, nerwowo przyciskającą do boku torebkę i zadającą sobie w duchu pytanie, po jakim czasie wiezione przez nią wiktuały zaczną wydzielać charakterystyczny zapaszek.

Jeśli tego dnia ktoś zasnął, to musiał być to sam kierowca pojazdu. Zojka wypatrywała busa z niecierpliwością, przytupywała nagle zakurzoną baleriną, policzyła do stu, zaśpiewała pod nosem refren największego hitu Kylie Minogue, wysłuchiwała awantury pomiędzy panią Michniakową a jej ciut zawianym małżonkiem, zrobiła porządek we wszystkich kieszonkach portfela, wyrzucając różne kwitki, zwitki i paragony, policzyła grosiki w pularysku (czterdzieści sześć), obwąchała swoją torebkę z każdej strony, by w końcu opaść na sfatygowaną ławkę pod wiatą, a busa jak nie było, tak nie było.

– To się nie dzieje naprawdę – mruknęła pod nosem, sięgając do torebki po telefon. Wyświetlacz wskazywał, że dochodzi już czternasta, bus musiałby być spóźniony ponad pół godziny, co na tak krótkiej trasie było raczej niemożliwe. Pewnie w ogóle nie pojechał, zezłościła się w myśli. Z wahaniem zerknęła w kierunku pobliskiego przystanku PKP, może lepiej pojechać do Wadowic pociągiem?

Studiowanie rozkładu kolejowego przyniosło kolejne rozczarowanie: następny pociąg w kierunku Wadowic odchodził dopiero za prawie dwie godziny. Zniechęcona Zojka opadła na ławeczkę na peronie i z ponurą miną wpatrywała się w majaczący na wzgórzu domek babuni. Chciała staruszce pomóc, a od początku wszystko szło nie tak! Wzięła babcię za zatwardziałą przestępczynię, zwymyślała sołtysa, a na dodatek nie doczekała się busa i zaprzepaściła okazję dostarczenia kiszek i kiełbas na wskazany przez staruszkę adres. Cholera!

Zojka zatopiła się w niewesołych myślach. Nagle drgnęła. Siadając na ławce, postawiła niedbale torebkę przy swojej nodze, ale teraz zniknęła! Spanikowana dziewczyna rozejrzała się naokoło i nagle zauważyła, że jej torebka... ucieka po peronie! Szybko wstała i rzuciła się w pogoń. Na jej widok od torebki oderwał się rudy kształt i czmychnął w krzaki. Zojka schyliła się po zgubiony przedmiot i z naganą pogroziła zaroślom. Jak na zawołanie wychylił się z nich koci łebek i wydał z siebie przenikliwe miauknięcie. Zojka pokręciła głową, skonsternowana. A to odważna kocina, że porwała się na uprowadzenie ciężkiej torebki z zawartością!

– To było bezczelne! – zawołała w kierunku krzaczków. Odpowiedziało jej kolejne miauknięcie. – Pewnie jesteś głodny, skoro dopadła cię aż taka desperacja? – domyśliła się. – No, dobra. Ale tylko kawałek.

Przykucnęła na peronie, zatapiając dłoń we wnętrzu torebki i w strunowym woreczku starannie zapakowanym przez babunię. Odwinęła woskowy papier, za pomocą kluczy do mieszkania odkroiła kawałek kiełbasy swojskiej, a potem rzuciła go w kierunku zarośli. Rudy kociak wyskoczył z nich niczym strzała, porwał przysmak i na powrót zatonął w zieleni. Po chwili wysunął pyszczek i oblizał się zadowolony, spoglądając wyczekująco.

– Nic z tego. – Zojka potrząsnęła głową, poprawiając pasek torebki na ramieniu. – Waga musi się zgadzać, rozumiesz?

Kot najwyraźniej rozumiał, bo czmychnął, ledwie wypowiedziała te słowa. Zojka poczuła się nieco rozczarowana. Nie miałyby nic przeciwko temu, by jeszcze trochę pomiauczał, przekonując ją, że powinna co nieco rzucić. Od dzieciństwa uwielbiała koty. Kiedy była małą dziewczynką, babcia przeżywała ją kocią mamą.

– Rozmówki z krzaczkami? – zawołał ktoś za nią.

Odwróciła się, osłaniając oczy przed słońcem. Sołtys! Poczuła, że się czerwieni.

– Powiedzmy – mruknęła, zerkając za siebie. – Przeklinam kierowcę busa, który zostawił mnie na przystanku, i rozkład PKP.

– Nie wierzę, że ktoś miał odwagę z panią zdrzeć! – zakpił. – Wraca pani do Krakowa?

– Nie, jadę do Wadowic.

– Szkoda. – Uśmiechnął się półgębkiem.

– Słucham? – Zojka natychmiast się najeżyła.

– Żartuję. Może się pani zabrać ze mną do Wadowic. – Wskazał zaparkowany na poboczu samochód. – Bez obaw – dodał, widząc jej spłoszone spojrzenie. – Nie jestem porywaczem. Zauważyłem panią z samochodu i domyśliłem się, co zaszło. Busy ostatnio nawalają...

– Może miejscowa władza powinna się tym zająć? – mruknęła, idąc za nim do auta.

– Może.

Z miną brytyjskiej królowej Zojka wskoczyła na przednie siedzenie nowoczesnego suwa. Polityka to chyba opłacalna branża, nawet ta lokalna, pomyślała, gładząc jasne, skórzane siedzenia. Sołtys zapiął pas bezpieczeństwa i ruszył z lekkim szarpnięciem. Zojka czuła się niewyraźnie w jego towarzystwie, bądź co bądź nawrzeszczała na niego trochę niesłusznie. Ale tylko trochę, bo chociaż z przestępczym procederem babuni nie miał nic wspólnego, to jednak zachował się gburowato, wgapiając w ekran telefonu, kiedy ona przyszła ze sprawą. Może zawożąc ją w jednym kawałku do miasteczka, odkupi swoje

przewinienia?

W jednym kawałku, dobre sobie! – pomyślała parę sekund później, kiedy mężczyzna ostro ściał zakręt. Poczowała, jak z nerwów żołądek zaciska się jej w wielki supeł i przełknęła gromadzącą się w ustach ślinę. Spojrzenie utkwiała w zielonym krajobrazie przemykającym za szybą i odliczała w myślach. Z takim numerkiem na liczniku w Wadowicach będą za minutę...

W tej samej chwili samochód wjechał w teren zabudowany, a jego kierowca zwolnił przepisowo i spojrział z uśmiechem na Zojkę. Zerknęła na niego nieśmiało. Dość przystojny, oceniła i natychmiast podjęła rozważania, czy taka broda podczas całowania jest miękka czy drapiąca...

– O czym pani tak myśli? – zainteresował się sołtys.

– Ja? O cał...ym tym zamieszaniu. Z busem i w ogóle – plątała się Zojka.

– A jak się czuje szanowna babcia? – zainteresował się tymczasem mężczyzna, któremu „całe to zamieszanie” najwyraźniej bardziej skojarzyło się z zamieszaniem, jakie zrobiła Zojka.

– Bardzo dobrze. Właśnie wysłała mnie do Wadowic z ważną misją. Z kiszkami i kiełbasami.

– To rzeczywiście ważna misja – przyznał. – Cieszę się, że okazałem się pomocny!

Zojka spojrzała na mężczyznę ze zdumieniem. Podrywa mnie! – Przemknęło jej przez myśl i poczuła ogarniającą ją panikę. Równocześnie wyprostowała się na siedzeniu i dyskretnie poprawiła włosy. Już tak dawno nie była obiektem męskiej adoracji! Ostatnio, jakoś w ubiegłym miesiącu, zauważyła na ulicy, że jakiś mężczyzna przygląda się jej z rozanielonym uśmiechem. Zrobiło się jej bardzo miło. Dyskretnie podeszła do niego, aby pozwolić nieznanemu nacieszyć oczy swoją wysublimowaną urodą. Tu się obróciła, tam zrobiła kilka kroczków, aż w końcu stanęła tuż przed absztyfikantem. I napotkała szkliste spojrzenie manekina sklepowego prezentującego modę uliczną...

Na bezrybiu i sołtys jest łakomym kąskiem, pomyślała Zojka z rozrzewnieniem. Nawet gburowaty...

Minęli most na Skawie i Zojka ponownie skupiła się na misji, którą powierzyła jej babunia. Sięgnęła do bocznej kieszonki w torebce i odczytała adres. Mężczyzna zauważył ten manewr i natychmiast zainteresował się, gdzie powinien wysadzić nadprogramową pasażerkę. Zojka tak dawno nie była w miasteczku, że najchętniej wysiadłaby już teraz, by przejść jego uliczkami i przywitać się z długo niewidzianymi kątami. Obawiała się jednak, że wyjdzie na nieuprzejmą, więc poprosiła, by podrzucił ją do centrum.

Wjeżdżali już do rynku, kiedy nagle sołtys zaniósł się głośnym śmiechem. Zojka spojrzała na niego wstrząśnięta. A jednak wariat!

– Niech mnie trafi! – zarechotał tymczasem brodacz, mocno hamując.

Zojka zacisnęła palce na torebce. W razie czego szybko walnie delikwenta przez łeb, odepnie pas i ucieknie. O ile nie uwięził jej centralnym zamkiem czy innymi współczesnymi kajdanami. Z ulgą zauważyła jednak, że mężczyzna zerka ponad jej ramieniem w okno i cofa wóz. Kiedy znalazł się na odpowiedniej wysokości, z ważną miną pyknął coś na desce rozdzielczej i szyba po stronie Zojki zjechała z cichym świstem. Mężczyzna oparł ramię o siedzenie za głową Zojki i nachylił się w jej kierunku. Kobieta wciągnęła gwałtownie powietrze i jeszcze mocniej zacisnęła dłonie na torbie. Całuje czy wymiotuje? – zapytała samą siebie. Cokolwiek robi, czemu akurat tutaj? Myślała spanikowana. Całować mógłby w bardziej sprzyjających warunkach, a wymiotować... cóż, mdłości mógłby opanowywać przy swoim oknie!

Szybko okazało się, że nie chodzi ani o jedno, ani o drugie. Sołtys wychylił się jeszcze bardziej, Zojka wciągnęła w płuca mocne męskie perfumy, a do samochodu zbliżyła się jakaś postać.

– Witam redaktorze! – Kierowca suwa odsłaniał w szerokim uśmiechu białe zęby. – Nie wiedziałem, że wróciłeś! Wyruszasz na poszukiwanie gorącego tematu?

– Kto wie? – odparł zaczepiony mężczyzna.

Zojka zerknęła na niego przelotnie i poczuła, że pokrywa się buraczkowym rumieńcem. Natychmiast rozpoznała w nim człowieka z pociągu. Tego okropnego, który spoglądał na nią zniesmaczony, gdy delektowała się rodzynkami. I orzechami. Mężczyzna zerknął na pasażerkę na przednim siedzeniu, lekko skinął głową, ale nie dał po sobie poznać, że ją rozpoznaje. Oby nie poznał, oby nie..., modliła się w duchu Zojka.

– Może będę miał dla ciebie coś ciekawego! Ostatnio piszecie tylko o wypalaniu traw i kolizjach na drogach!

– Temat na czasie. – Redaktor wzruszył ramionami. – Ruszaj, bo zaraz napiszę o lokalnych politykach, którzy prawo drogowe mają za nic.

– Ha, ha, jasne! Widzimy się w piątek?

– Nie inaczej.

Samochód ruszył z piskiem opon, a Zojka poczuła, że wbija się w siedzenie. Sołtys zerknął na nią z błyskiem w oku.

– Władza musi żyć w zgodzie.

– Uhm. – Potwierdziła skinieniem głowy.

– To nasz miejscowy gryziپیórek. Dziennikarze to straszne dupki, prawda? Ale lepiej dobrze z nimi trzymać.

– Tak? – Zojka najeżyła się. Zaraz jednak przyoblekła uprzejmy uśmiech i wskazała miejsce, w którym chciałyby wysiąść.

Sołtys przecząco pokręcił głową.

– Tutaj nie wolno. Musimy zatrzymać się na parkingu. Nie chcemy, by o nas

napisano, prawda?

Suv wjechał na miejsce parkingowe, Zojka odpięła pas i podziękowała za podwózkę. Mężczyzna zadeklarował, że chętnie zabierze ją też w drugą stronę, ale ona nie zamierzała się spieszyć. Po szesnastej odchodził pociąg, którym mogła wrócić do Lipówki, więc miała trochę czasu, by dostarczyć przesyłkę i pochodzić po miasteczku.

– Proszę pozdrowić ode mnie babcię! – zawołał za nią brodac, wychylając się przez okno.

Pomachała mu na odchodne, szukając w myśli jakiejś ciętej uwagi wskazującej na jej profesję, ale ostatecznie zrezygnowała. Usiłowała utworzyć ze słowa „dupek” rodzaj żeński, jednak to, co jej wyszło, nie nadawało się, by rzucić mu w twarz.

Najwyraźniej tego dnia pech zdecydował się trzymać blisko Zojki, bo kiedy dotarła na wskazany przez babunię adres i zadzwoniła do drzwi, odpowiedziała jej cisza. Niezdecydowana kobieta przez moment dreptała po klatce schodowej, aż w końcu z sąsiedniego mieszkania wychyliła się jakaś matrona i poinformowała ją, że właściciele nie ma.

– Pojechali do córki. Do Gdańska.

– Szkoda – zmartwiła się Zojka. – Nie wie pani, kiedy wracają? Moja babcia przesyła swoje kielbasy...

– Wzięłabym na przechowanie, ale ma ich nie być przez dwa tygodnie. Musiałabym je zjeść, a trzymam dietę – zażartowała, klepiąc się po miękkim brzuchu.

– Dziękuję!

Zniechęcona Zojka noga za nogą powlokła się w dół schodów. Przed budynkiem rozejrzała się na boki, zerknęła na wyświetlacz telefonu, a widząc, że ma jeszcze ponad godzinę do odjazdu pociągu, zdecydowała się wypić popołudniową kawę w ogródku jednej z cukierni rozłożonych na wadowickim rynku. Odkąd pochodzący z Wadowic papież Jan Paweł II napomknął, że po maturze chodził na kremówki, miasteczko stało się prawdziwą mekką spragnionych słodkości turystów. W niemal każdej cukierni można było skosztować słynnych deserów, a patrząc na slogany reklamowe – część z nich była tak oryginalna, że chyba pochodziła z czasów, gdy późniejsza głowa Kościoła katolickiego uczęszczała do liceum! Zojka za kremówkami nie przepadała, za to uwielbiała tutejsze lody. I chętnie skusiła się na dwie gałki do kawy!

Relaksowała się, wystawiając twarz do słońca i delektując się smakiem lodowego deseru. Usiłowała nie robić przy tym żadnych dziwacznych min, szczególnie że teraz już wiedziała o obecności nieznanego z pociągu, a na dodatek została uświadomiona, że jest on dziennikarzem. Nie chciała trafić do lokalnej prasy, a już na pewno nie do rubryki najśmieszniejszych min kwartału!

Chwila z kawą i lodami skutecznie poprawiła Zojce humor. Idąc na pociąg, wstąpiła jeszcze do innej cukierni i kupiła ciasto na wynos, z postanowieniem, że zjedzą je wspólnie z babunią na podwieczorek. Pożegnalny. Bo potem trzeba pomyśleć o powrocie do Krakowa – myślała Zojka, płacąc za zakupy i ruszając w kierunku stromych schodów poniżej bazyliki. – Co prawda nie dostarczyłam kielbas i kiszek pod wskazany adres, ale zrobiłam, co w mojej mocy. No i sprawa bicia rozwiązała się samoistnie, rodzice nie muszą się już martwić o babunię! Chwała Bogu, kłopoty już za nami!

• Rozdział czwarty •

– Pociąg relacji Bielsko-Biała – Kraków Płaszów przez... pszszsz... Wadowice, Kalwarię Zebrzydowską Lanckoronę, Skawinę pszszsz... jest opóźniony o około pszszsz... minut. Opóźnienie pociągu może ulec zmianie!

– No pięknie! – Zdenerwowana Zojka poderwała się z ławki i zaczęła przemierzać peron długimi krokami.

Również pozostali podróżni nie wyglądali na zachwyconych zapowiedzianym opóźnieniem. Zojka popatrzyła na towarzyszy niedoli. Starsza pani z wnuczką na kolanach wachlowała się słomkowym kapeluszem. Mała dziewczynka skakała po płytkach jak żabka. Dwóch znudzonych nastolatków jak na komendę wydobyło telefony komórkowe i odpłynęło do innego świata. Nawet dwóch pracowników kolei rozpartych na ławce oklapło w momencie, kiedy rozległ się niewyraźny głos z głośnika, zwiastujący przesunięcie godziny odjazdu. A Zojka poczuła, że wypita przed godziną kawa właśnie daje o sobie znać. Nieszczęśliwa rozejrzała się po peronie, zatrzymując spojrzenie na wejściu do dworcowego baru. Od kilku lat nie działały kasy biletowe i poczekalnia, zatem na publiczne toalety pewnie też nie mogła liczyć. Ale tam, gdzie kupuje się coś do zjedzenia i wypicia, z pewnością jest także łazienka.

Po wyjściu z toalety ponownie obudziło się w niej pragnienie, kupiła więc wodę i na moment przysiadła przy stoliku, by ją wypić. Z zaciekawieniem obserwowała konsumentów wcinających kotlety i pierogi. Babunia z pewnością już jej wypatruje, mieszając szarżujące ciasto z utartych ziemniaków! Na myśl o plackach Zojka poczuła gwałtowne burczenie w brzuchu, które dodatkowo potęgował widok przysmaków na talerzach przed siedzącymi dookoła ludźmi. Kobieta zacisnęła dłoń na butelce z wodą i szybkim krokiem ruszyła w kierunku wyjścia.

W drzwiach wpadła na wchodzącego mężczyznę, uderzając w jego klatkę piersiową z całym impetem.

– O Boże! – jęknął.

Zojka także jęknęła. Widząc, że ma do czynienia z redaktorem i kolejowym prześmiewcą.

– Najpierw się wychodzi, a potem wchodzi.

– Najpierw trzeba wejść, żeby wyjść. Logika.

– Logika ustępuje dobrym manierom. Których panu i tak brakuje.

– Pani za to niczego nie brakuje, a już na pewno nie kilogramów!

– Pan jest bezczelny!

– A pani przydeptała mi stopę!

– A pan... a pan robi miny na widok ludzi.

Mężczyzna przyjrzał się Zojce, jakby widział ją pierwszy raz w życiu, po czym uśmiechnął się, kiwając głową ze zrozumieniem.

– Ach tak, nowa przyjaciółka naszego sołtysa! Znalazła sobie pani godne towarzystwo, ale z tym ostrym języczkiem to nawet się nie dziwię...

Zojka odskoczyła do tyłu jak oparzona. Mężczyzna wycofał się w kierunku peronu, jakby zderzenie z kobietą pozbawiło go ochoty na odwiedzin w dworcowym barze. Dziewczyna obserwowała oddalające się plecy, przygryzając od środka policzek. Najchętniej poszłaby w diabły, byle nie stać z tym gburem w jednym miejscu i oczekiwać na przyjazd pociągu. W tej chwili oddałaby wszystko, by nadjechał sołtys i zaproponował jej powrót do Lipówki! Niestety, jeśli chciała dotrzeć do domku babuni o jakiejś normalnej porze, musiała biec na peron i to już teraz! Inaczej spóźniony pociąg pojedzie w siną dal, a ona spędzi tu kolejne godziny lub wróci do rodzinnej wsi pieszo.

Z ponurą miną powlokła się za mężczyzną i zajęła miejsce w znacznym oddaleniu. Starła się na niego nie patrzeć, skupiła więc uwagę na trzymanej w dłoni butelce i popijała z niej wodę małymi łydkami. Mężczyzna oparł się jednym barkiem o wiatę na peronie i wyciągnął gazetę. Zojka zerknęła na niego ukradkiem, a wtedy prychnął cicho i podniósł pismo na wysokość oczu. Co za niewychowany człowiek! Prychać na nią tylko dlatego, że przez przypadek nadepnęła mu na stopę. I troszkę go pchnęła!

Z głośnika rozległ się kolejny komunikat, tym razem zapowiadający wjazd pociągu z Bielska do Krakowa. Zadowolona Zojka opróżniła butelkę do końca i cisnęła ją do śmietnika. Aby to zrobić, musiała minąć redaktora, który bacznie ją obserwował, nie opuszczając gazety. Kiedy pociąg wtoczył się na peron, Zojka przepuściła starszą panią w kapeluszu, która za rękę trzymała rozszczebiotane dzieci, po czym zaczęła wspinać się po schodkach wagonu. Niespodziewanie poczuła dziwną pustkę i z przerażeniem uświadomiła sobie, że nie ma przy sobie torebki. Jak do tego doszło? Spanikowana usiłowała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio miała ją przy sobie. Na pewno w łazience, bo szukała chusteczek higienicznych, i potem, kiedy płaciła za wodę. Najwyraźniej torebka została przy stoliku, przy którym usiadła, aby spokojnie wypić napój!

Zrobiła gwałtowny zwrot do tyłu, chcąc jak najszybciej odzyskać utraconą własność i wpadła wprost w ramiona idącego za nią mężczyzny. Ten stracił oparcie i z głuchym łoskotem upadł na plecy, ciągnąc ją za sobą. Gdyby jego spojrzenie mogło dziurawić, Zojka już przypominałaby sitko do parzenia herbaty!

Oczywiście, bo nie mogłam staranować jednego z sympatycznych wąsatych kolejarzy, którzy podśmiechują się pod nosem, stojąc nad nami! Musiałam znowu wpaść na tego tamtego!

– Moja torebka! – wydukała, podnosząc się na nogi. – Przepraszam! – Spojrzała prosząco na rozchichotanego konduktora, który wychylił się z drzwi. –

Proszę beze mnie nie odjechać! Zostawiłam torebkę!

– Nigdzie nie pojedziemy! – Śmiał się pracownik kolei. – Czekamy na krzyżówkę!

Zdenerwowana Zojka nie miała czasu roztrząsać, czym jest krzyżówka, wpadła do baru i zatoczyła po wnętrzu dzikim wzrokiem. A jeśli torebka zniknęła? Na szczęście leżała tam, niedbale oparta o nogę od stołu. Na młodą kobietę spłynęło gwałtowne uczucie ulgi. Złapała za uchwyt i biegiem wróciła do pociągu. Opadła na najbliższe siedzenie, czując, jak niebezpiecznie drżą jej nogi. Dopiero, kiedy podniosła oczy, dostrzegła, że ponownie wpakowała się przed oblicze redaktora. Taksował ją wściekłym spojrzeniem. Zojka spuściła wzrok na zaciśnięte na uchwycie torebki dłonie, przecież to tylko jedna stacja, da radę!

– Chciałam kupić bilet! – Zamachała niecierpliwie w kierunku konduktora.

– Momencik, momencik! – Wąsaty kolejarz potrząsnął trzymanym w dłoni urządzeniem. – Kasa musi się załadować. Pani się nie boi, czekamy na krzyżówkę z Bielskiem i tak szybko nie odjedziemy. Spóźniony jest!

– Byle nie za długo – mruknęła cichutko kobieta, zerkając ukradkiem na nachmurzonego mężczyznę. Nagle poczuła szturchnięcie w bok. Jęknęła i już odwracała się w kierunku siedzącego na prawo sąsiada, aby kulturalnie poprosić o trzymanie łokci przy sobie, gdy pojęła, że szturchnięcie było celowe.

– Zojka? – padło wesołe pytanie. Zojka zmierzyła spojrzeniem szturchającego ją młodego mężczyznę z plecakiem na kolanach i uśmiechnęła się rozpromieniona, ciut z niedowierzaniem. – Zojka, jak ja cię dawno nie widziałem!

– Cześć, Tomek, cześć. – Zojka wpatrywała się w twarz przyjaciela z dzieciństwa, który wychowywał się kilka domów dalej. Rzeczywiście, nie widzieli się ładne kilka lat, najpewniej od czasu, kiedy Zojka opuściła rodzinną miejscowość, by podjąć studia w Krakowie, a może nawet i wcześniej. Już w gimnazjum ich drogi się rozeszły, bo dla Tomka ważniejsi stali się kumple, a dla Zojki koleżanki.

– Nie spodziewałbym się spotkać ciebie w tym pociągu – nie dowierzał chłopak.

– Jestem właśnie z wizytą u babuni i załatwiałam dla niej taką jedną sprawę w mieście. – Zojka rzuciła krótkie spojrzenie na redaktora, który natychmiast uciekł wzrokiem w kierunku trzymanej gazety. – Ale na stałe mieszkam w Krakowie – obwieściła dumnie.

– Tak właśnie mi się zdawało. – Dawny przyjaciel skinął głową. – Rozwiało nas po świecie, nie? Ty mieszkasz w Krakowie, a ja już na stałe na Wyspach.

– Naprawdę? – Zojka z wrażenia aż otworzyła szeroko oczy. – W takim razie: co tutaj robisz?

– Przyjechałem na urlop do domu. Widzisz – wskazał plecak na kolanach i torbę sportową na półce nad ich głowami – jadę prosto z autokaru, z Bielska.

Głodny jestem jak wilk! Nie mogę się doczekać, aż będę w domu! Matka od rana gotuje rosółek!

– Uhm. – Zojka aż się uśmiechnęła na myśl o Tomkowym rosółku i własnych plackach ziemniaczanych, z którymi w domku na wzgórzu oczekiwała babunia. – Jeszcze tylko kilka minut – pocieszyła kolegę.

– Zojka – młody mężczyzna wpatrywał się w nią z uniesieniem – nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię widzę. Świetnie wyglądasz! Zawsze mi się podobałaś!

Do Zojki nagle dotarło, że prawdopodobnie szturchający ją przyjaciel z dzieciństwa czas oczekiwania na rodzicielski rosółek postanowił zabić czymś z procentami. Świadczył o tym dość szklisty błysk w oku i coraz silniej nacierający na nią łokieć. Jednak choć wrażenie to było niezbyt przyjemne, uśmiechnęła się dzielnie, przyciskając do piersi torebkę. Chociaż sama przed sobą z pewnością by tego nie przyznała, mogło się to wiązać z rozbawionym prychnięciem, które rozległo się zza płachty rozłożonej gazety.

– Z tego, co pamiętam, zawsze podobała ci się Zośka. – Zaśmiała się nerwowo, spoglądając na przyjaciela znacząco.

– Coś ty! – oburzył się, wykonując kolejny zamach łokciem. – To była ta... podpucha!

– Aha. – Pojednawczo skinęła głową, równocześnie niespokojnie zerkając w kierunku konduktora. Przyjdzie sprzedawać te bilety czy nie przyjdzie? Pojedzie ten pociąg czy nie pojedzie? Na razie się na to nie zanosilo. Pracownik kolei dyskutował zawzięcie z innym konduktorem, a skład stał. Zojka dostrzegła jednak z ulgą, że na stację właśnie wtacza się pociąg jadący do Bielska. Krzyżówka się dopełniła, można jechać – pomyślała uspokojona – jeszcze tylko kilka minut w towarzystwie tego tamtego i namolnego Tomka, u którego najwyraźniej grawitacja brała górę, bo coraz bardziej przechylał się w kierunku Zojki.

A może słabł z głodu?

Zojka z wahaniem zerknęła na torebkę. Przecież nic się nie stanie, jeśli Tomek zje kawałek kiełbasy. Może jeżeli skupi się na konsumpcji, przestanie się na nią zsuwać? Niezdecydowana pociągnęła za suwak przy torebce i sięgnęła po białą, jednorazową reklamówkę. Wydobyła zawiniątko i podsunęła je przyjacielowi.

– Proszę, poczęstuj się – zaproponowała z uśmiechem. Kątem oka zauważyła, że redaktor złożył gazetę i przygląda im się bez skrępowania. Zojka zjeżyła się i posłała mu jadowite spojrzenie. Sołtys miał rację: akurat ten dziennikarz jest dupkiem i to do potęgi którejs. Czy naprawdę musi się tak przyglądać? A zresztą: niech się przygląda. Przynajmniej widzi, że jego zarzuty są bezzasadne, a ona, Zojka, bynajmniej nie musi ograniczać się do przyjaźni z sołtysiem. Ma też innych... adoratorów.

– Zojka! – Na widok białej reklamówki Tomek huknął z takim entuzjazmem,

że aż podskoczyła na skrzypiącym, skórzanym siedzeniu. – Ratujesz mi życie, serce ty moje!

Z werwą zabrał się do rozplątywania zawiniątka, posyłając przy tym w kierunku Zojki tak gorące spojrzenia, że młoda kobieta poczuła, że pod ich wpływem pokrywa się zimnym potem. Dojrawszy jednak kątem oka, że siedzący naprzeciwko redaktor ledwie tłumi wesołość, przybrała zadowoloną minę, zdecydowana udawać, że uznanie wygłodniałego Tomka robi na niej jak najlepsze wrażenie.

– Swojska kielbaska – powiedziała nie bez dumy. – Według tradycyjnej receptury babuni Łyczakowej – dodała, choć tego drugiego nie była do końca pewna. Z babunią nigdy nic nie wiadomo.

– Swojska...? – Zachwycony chłopak natychmiast zmienił obiekt swych gorących uczuć i całą uwagę skupił na zawartości reklamówki. – Sporo tego! – Zmarszczył brwi.

– Częstuj się. – Zojka machnęła ręką.

– No, pewnie! – Tomek dobrał się właśnie do aromatycznie pachnącej kielbaski i podniósł ją na wysokość oczu z błogim wyrazem twarzy. – Zojka, kocham cię. Dziękuję!

– Oj tam... – zgrzytnęła zębami ze słodkim uśmiechem. – Babuni podziękujesz przy okazji, to jej wyroby...

Chwilę później przedział zapełnił się charakterystycznym aromatem swojskich wędlin. Zojka, która za wyrobami masarskimi średnio przepadała, poczuła napływające mdłości i odwróciła głowę w kierunku uchylonych drzwi, skąd dopływało świeże powietrze. Zauważyła, że konduktor daje znak do odjazdu, zaraz potem pociąg szarpnął i powoli wytoczył się ze stacji w Wadowicach.

Jedna stacja, kilka minut – powtarzała sobie w duchu Zojka, odwracając oczy od ciamkającego Tomka i rozbawionego redaktora. Całą swoją uwagę skoncentrowała na nadchodzącym pracowniku PKP, który drukował bilety na czarnym, przypominającym kasę fiskalną urządzeniu, brzdękał monetami i sypał wesołymi żarcikami spod sumiastego wąsa. Zojka sięgnęła do bocznej kieszonki po drobne pieniądze, by zapłacić za przejazd, a Tomek z zapalem zanurkował do jej torebki.

– Co pysznego tutaj jeszcze chowasz? – zapytał.

Zojka pogroziła mu żartobliwie palcem.

– To ciasto dla babuni, ale tobie musi wystarczyć kielbaska.

– E, nie bądź taka! – Mężczyzna odepchnął jej rękę i sięgnął po pakunek. Zojka miała ochotę trzasnąć go po łapach, ale konduktor był już tuż-tuż i wołała skupić się na kupnie biletu. Kątem oka zauważyła, że Tomek wydobywa reklamówkę i oblizuje się łakomie. Dziwne, zdążyła pomyśleć, wydawało mi się, że reklamówka z cukierni nie była taka wypchana. Chyba ciasto nie

sfermentowało...?

W następnej chwili wydarzyły się dwie rzeczy. Zojka wyciągnęła w kierunku konduktora rękę z odliczonymi pieniędzmi za bilet, a Tomek wrzasnął, jakby obdzierali go ze skóry, i rzucił trzymaną reklamówką. Paczka wylądowała na kolanach zaskoczonych redaktora.

Ten tamten podniósł pakunek z wściekłą miną i umieścił go na kolanach Zojki, która oburzona taką poufałością bez zastanowienia strzepnęła reklamówkę na podłogę. Rozwiązana paczka rozchyliła się do końca, a jej zawartość wylądowała na podłodze, dokładnie obok czubka jej bucika. Cztery głowy pochyliły się nad wysypaną zawartością. Zgniecione kawałki smakowitego ciasta z kremem wały się po zakurzonej podłodze pędzącego składu, a pomiędzy nich groteskowo wystawały palce ludzkiej dłoni...

– Co to jest? – wykrztusił przerażony konduktor, odruchowo wyciągając rękę w kierunku rozsypanej zawartości reklamówki. Redaktor przytomnie złapał go za przegub, unieruchamiając, zanim sięgnął w kierunku makabrycznego znaleziska.

– Ręka. Dłoń, ściślej ujmując, dość nieświeża, sądząc po, hmmm, kondycji – wyjaśnił.

Zojka pisnęła, podciągając nogi pod siebie i wciskając się w obicie siedzenia. Konduktor zmarszczył brwi, przyglądając się jej srogo.

– I czyja ona jest, ta ręka? – zagrzemiał.

Zojka poczuła się zobowiązana wtrącić swoje trzy grosze:

– Ja mam rączki tutaj – zażartowała, machając spoconymi palcami. Spomiędzy nich posypały się przygotowane na bilet monety. – Więc nie moja – dodała na wszelki wypadek.

– A czyja reklamówka?

– Reklamówka moja – zgodziła się szybko. – Ciasto też moje, kupiłam dla babuni na podwieczorek. Ale Bóg mi świadkiem, kiedy kupowałam, nic nie wspominali, że to ciasto na Halloween. Z makabryczną niespodzianką.

– To nie jest niespodzianka – warknął redaktor, posyłając jej gniewne spojrzenie. – Ta dłoń jest prawdziwa.

– Jak to prawdziwa? – jęknął zzieleniały nagle Tomek. Zojka posłała mu zirytowane spojrzenie. No, naprawdę nie mógł wygłaszać inteligentniejszych uwag? I zapanować trochę nad kolorytem policzków? Dość, że te palce rozcapierzone w kremie waniliowym takie nieapetyczne, to jeszcze on tu blednie, siwieje, nie wiadomo co jeszcze. A to jego wina przecież, bo po cholere ruszał to ciasto, jak mówiła, że dla babuni? I jeszcze rzucił na kolana temu całemu redaktorowi!

Nagle uświadomiła sobie znaczenie słów dziennikarza i poczuła pierwsze ukłucie niepokoju. Bądź co bądź makabryczna część ciała została wydobyta z jej własnej osobistej torebki. Jak długo nosiła ją przy sobie? Przyciskała do boku,

tuliła do brzucha? Czują, że robi się jej niedobrze!

– Najprawdziwsza? – upewniał się tymczasem konduktor. Redaktor skinął głową. – Mieciu! – Pracownik kolei wyprostował się i zaskrzeczał w kierunku uchylonych drzwi prowadzących do kabiny maszynisty. – Mieciu, nadaj komunikat na stację, że w Lipówce będzie postój. Policję wezwać trzeba, trupa mamy!

– Trupa?! – odpowiedziało echo z kabiny maszynisty, odprowadzane przez podenerwowane szepty innych pasażerów. Zojka podkuliła nogi pod siebie, by nawet czubkiem balerinki nie dotknąć reklamówki z makabryczną zawartością i rozejrzała się po wagonie. W ich stronę zwracały się kolejne głowy, ludzie powtarzali szeptem i półgłosem historię o znalezionym nieboszczyku. Babcia z wnucętami, którą w Wadowicach Zojka przepuszczała na schodkach, przygarnęła do siebie dzieci, osłaniając ich uszy upierścienionymi dłońmi, i dopytywała, czy postój będzie długi. Zojka przełknęła gromadzącą się w ustach ślinę i zerknęła na podłogę, na przerażonego Tomka, a na koniec na redaktora. Mężczyzna odpowiedział jej poważnym spojrzeniem.

– No, trupa! – potwierdził konduktor, przyglądając się z niesmakiem rozrzuconej zawartości reklamówki. – A przynajmniej jedną dwunastą.

– Jak pan to policzył? – zainteresowała się Zojka.

Redaktor prychnął lekceważąco, więc zerknęła na niego gniewnie.

– A nie wiem, tak jakoś – stropił się pracownik PKP. – Musimy poczekać na policję. Powiedzą nam, co dalej. Bo jak pracuję trzydzieści lat na kolei, to takiej sytuacji jeszcze nie miałem. – Posłał przenikliwe spojrzenie najpierw redaktorowi, potem Zojce, na koniec zatrzymał wzrok na ciężko oddychającym Tomku, który nadal ścisnął worek ze swojskimi wędlinami babuni Łyczakowej, teraz jednak szybko poderwał się z siedziska, wystawił głowę za okno i zwracał to, co skonsumował. Zojka odwróciła wzrok i skupiła się na twarzy pracownika kolei. Nie chciała patrzeć ani na redaktora, ani na to, co leżało na podłodze wagonu. Myślami błędziła gdzieś ponad domkiem na wzgórzu i babunią, która z pewnością dostrzeże pociąg z kuchennego okna i podpali płomień pod patelnię z olejem, by usmażyć wnuczce placki ziemniaczane. Zojka nie czuła już głodu, a na samą myśl o jedzeniu musiała hamować napływające mdłości.

Ręka. Obcięta. W mojej torebce.

Tuż obok swojskich wędlin babuni.

Obok kiełbas i kiszek.

A może razem z nimi?

Z pakunkiem, który na prośbę babuni wywoziłam z domu?

Spanikowana Zojka zajrzała do wnętrza torebki, jakby na jej dnie mogła znaleźć odpowiedź na pytanie, skąd wzięło się makabryczne znalezisko i to w jej torebce?

Odpowiedź na to samo pytanie, choć postawione nieco inaczej, interesowała

aspiranta Pawła Chochołka, który parę chwil później wskoczył do pociągu na stacji w Lipówce i z marsową miną pochylił się nad upapraną kremem dłonią. Zirytowana Zojka zauważyła, że policjant najpierw grzecznie przywitał się z redaktorem, a potem podejrzliwym spojrzeniem zmierzył wszystkich zgromadzonych, łącznie z podenerwowanym konduktorem i wciąż mocno zielonkawym Tomkiem.

– Przepraszam, skąd ta ręka? – zapytał.

– Ta pani – redaktor ukłonił się Zojce z pogardliwym uśmiechem – przewoziła ją w torebce!

– Nic podobnego! – sprzeciwiła się oburzona. – Ja do tego ręki nie przyłożyłam... to znaczy – zaczęła się płatać – nic nie wiem o żadnych częściach ciała w mojej torebce. Poza kieszka – przypomniała sobie.

– Jaką kieszka? – zdębiał aspirant.

– Jaką kieszka? – stropiła się Zojka. – Nie wiem jaką. Chyba wieprzową?

– Przepraszam, ale nie rozumiem. – Aspirant potrząsnął głową. – Będzie pani łaskawa wyjaśnić?

– Będę – zgodziła się, robiąc proszącą minę. – Ale czy moglibyśmy opuścić bezpośrednio sąsiedztwo... tego? – Ruchem brody wskazała rozbebeszony pakunek na podłodze. Odkąd odkryli, co kryje ciasto z kremem, starała się nie patrzeć w jego kierunku. Teraz jednak mimowolnie zerknęła i przekonała się, że pod wpływem ruchu pociągu krem rozciąpał się na boki, przez co palce dłoni były lepiej widoczne. Choć sama Zojka widzieć ich wcale nie chciała. Przełknęła głośno ślinę, przyjmując wyciągniętą rękę policjanta i lekko zeskakując z siedzenia. Chciała sięgnąć po spoczywającą obok torebkę, ale aspirant natychmiast ją powstrzymał.

– Przykro mi, ale to teraz dowód w sprawie.

– Ale moje rzeczy – jęknęła. – Dokumenty.

– Wszystko otrzyma pani z powrotem. – Po jego minie poznała, że to trochę potrwa. Przygryzła wargę, ale kiwnęła głową i ruszyła w kierunku wyjścia z pociągu.

– I tak bym jej już nie nosiła – mruknęła.

– Aspirant Paweł Chochołek. – Po pokonaniu kilku metalowych schodków i wyjściu na peron policjant zdecydował się przyjąć bardziej urzędowy ton. – Pana redaktora Marcina Kordeckiego już znamy. Pana godność? – rzucił w kierunku podenerwowanego konduktora.

– Że co? – speszył się pracownik kolei.

– Nazwisko.

– Jelonek. Błażej Jelonek.

Przenikliwe niebieskie spojrzenie przesunęło się po pojękującym Tomku i spoczęło na Zojce. Odetchnęła głęboko.

– Zofia Tuszyńska. A to – zerknęła niespokojnie w kierunku Tomka, który właśnie nurkował w zaroślach porastających skarpe poniżej peronu i wyrzucał z siebie zawartość żołądka – Tomek Maćkowiak.

– Tomek o niezbyt mocnym żołądku – domyślnie dodał aspirant.

– Tuż przed zajściem konsumował wędliny – starała się usprawiedliwić dawnego przyjaciela Zojka, szczególnie że sama rzeczonymi smakołykami go poczęstowała.

– I nie tylko – prychnął redaktor Marcin Kordecki.

Zojka posłała mu mordercze spojrzenie, co jednak zdawało się w ogóle nie robić na nim wrażenia. Uśmiechnął się półgębkiem, znacząco unosząc brwi. Tymczasem aspirant Chochołek zainteresował się, jak doszło do zdarzenia, w wyniku którego w wagonie pociągu relacji Bielsko-Biała Główna – Kraków Płaszów znaleziono niekompletnego pasażera. Zojka natychmiast wyrwała się do odpowiedzi, posyłając Kordeckiemu triumfujące spojrzenie. Nie zamierzała dopuścić do tego, by zarozumiały redaktor ponownie obarczył całą winą ją!

– Panie aspirancie, to... coś... wypadło z mojej torebki.

– To coś, czyli część ludzkiego ciała. Jakim sposobem weszła pani w posiadanie tego członka?

– Jakiego członka, przepraszam? – przeraziła się Zojka. – Nie mam nic wspólnego z członkami. Z mojej torebki wypadła tylko dłoń.

– Tak, tak, wiem. Właśnie ten członek mam na myśli – spieszył się Chochołek. Redaktor stłumił parskanie śmiechem, a Zojka pomyślała, że życie byłoby piękniejsze, gdyby od czasu do czasu można było kogoś skopać po kostkach. Albo ciut wyżej. – Zrozumiałem, że dłoń została wydobyta z pani torebki, ale skąd się tam wzięła? Ma pani w zwyczaju przewozić części ludzkiego ciała?

– Panie aspirancie, ja nie wiem – przyznała stropiona Zojka. Szybko nakreśliła sytuację, jak to spragniony słodkości Tomek wydobył z jej torebki reklamówkę z kupionym w cukierni ciastem, a następnie rzucił nim w redaktora. Redaktor w nią, a ona w podłogę, choć bardziej odruchowo i wcale nie dlatego, że wiedziała, co w cieście się kryje. – Nigdy wcześniej nie widziałam tej dłoni. A przynajmniej mam takie wrażenie – dodała.

– Hmm. – Stróż prawa spojrział na Zojkę podejrzliwie. – To z pewnością uda się sprawdzić, poprzez odciski palców chociażby. Musi pani jednak przyznać, że to dość osobliwa zawartość, jak na damską torebkę. Z pewnością jest pani świadoma, w jakim świetle to panią stawia?

– Co ma pan na myśli? – Zojka poczuła ukłucie niepokoju.

– Cóż, znaleziono przy pani część ludzkich zwłok. Chyba rozumie pani powagę sytuacji?

– A może te zwłoki żyją? – Zojka posłała aspirantowi proszące spojrzenie. –

Może doskonale sobie radzą bez jednej dłoni i wcale nie chcą, żeby mnie stawiano w jakimkolwiek świetle?

– Zapytamy je, jak się znajdują. – Redaktor uśmiechnął się cokolwiek złośliwie.

Zojka posłała mu jadowne spojrzenie. A ten co się tak wymądrza? Ten cały Marcin Kordecki, redaktorzyna jedna? Sęp jeden dziennikarski. Proszę, jak to się ślini na samą myśl o sensacyjnym temacie. Zdenerwowana Zojka złapała Chochołka za ramię.

– Żądam natychmiastowego usunięcia prasy!

– Że co? – wyrwało się równocześnie aspirantowi i Kordeckiemu.

– Ten pan czyha na moje dobre imię. Nie powinien uczestniczyć w przesłuchaniu.

– Spokojnie, na przesłuchanie to przyjedzie pani na komendę. – Chochołek machnął ręką lekceważąco, a redaktor błysnął w kierunku Zojki białymi zębami wyszczerzonymi w pełnym politowania uśmiechu. – Ja tylko ustalam podstawowe fakty. Z pani torebki wypadła ludzka dłoń. Pani nie wie, skąd się wzięła, tak?

– Tak. To znaczy nie. Nie wiem – plątała się Zojka.

– Czy ktoś miał dostęp do pani torebki?

– Tak, ja miałam.

– To ja się domyślam. – Chochołek przewrócił oczami. – A ktoś jeszcze? Chłopak?

– Nie mam chłopaka – wymamrotała Zojka, udając, że nie zauważa kolejnego uśmiešku przemysłowego po twarzy dziennikarza.

– Może ktoś z rodziny?

– Ba... – zaczęła Zojka. W porę ugryzła się w język. Nie mogła wmieszać staruszki w aferę kryminalną, zwłaszcza że babunia była niesubordynowana i rzeczywiście mogła narozrabiać. Być może sprzątanie tak naprawdę było sprzą-ta-niem, a ona – Zojka – miała dostarczyć do Wadowic nie tylko kaszankę i kielbaskę. Może w reklamówce ze swojskimi wędlinami kryło się coś jeszcze, coś, co przemieściło się do paczki z kupionym ciastem i zupełnie nieoczekiwanie... wypadło na podłogę? Zojka była gotowa bronić babuni Łyczakowej własną piersią, a nawet przyjąć na siebie wszelkie odcięte dłonie tego świata. Przynajmniej do czasu, aż dowie się, co naprawdę zaszło. – ...rdzo wątpię. Pilnuję swoich rzeczy.

– Przepraszam, że się wtrączę, ale chyba niezbyt. – Redaktor pokręcił głową zniesmaczony.

– To znaczy? – natychmiast zainteresował się aspirant Chochołek.

– Nie bardzo pani pilnuje. Przecież wsiadając do pociągu, niemal mnie pani staranowała, ponieważ zgubiła pani torebkę!

– Ach, ma pan doskonałą pamięć! – Zojka uśmiechnęła się, w duchu myśląc, że co poniektóre sępy powinny stulić dzioby.

– Naprawdę tak było?

– Naprawdę, naprawdę. Zostawiłam torebkę w dworcowym barze, na szczęście była na swoim miejscu. I pociąg na szczęście na mnie zaczekał, choć jak się tak lepiej zastanowię, to właściwie szkoda.

– Czyli ktoś mógł całkiem niezauważony wsunąć tę dłoń do torebki?

– Pewnie tak, ale kto? – stropiła się Zojka.

– No, właśnie tego chciałbym się dowiedzieć – westchnął coraz mocniej zirytowany Chochołek. – Drodzy państwo, jestem zmuszony zaprosić państwa na komendę w celu złożenia wyjaśnień.

– Ale jedziemy? – dociekał Błażej Jelonek.

– Nie jedziemy. Ekipa musi sprawdzić cały skład – zaprotestował aspirant, drapiąc się po spoconym czole. Może gdzieś kryją się pozostałe części ciała? – dodał w myśli. Masz ci los, ja to zawsze mam szczęście. Miałem jechać na urlop, a zwała mi się na głowę taka sprawa. I co to w ogóle ma być? Rozczłonkowane ciało ukryte w cieście jak monstrualny rodzynek? Baba, która sama nie wie, co wozi w torebce i na dodatek gubi ją gdzieś po drodze? I to jeszcze pechowo: wszystko pod obstrzałem spojrzeń Kordeckiego, który słynie z ostrego pióra i niechęci do stróżów prawa. I na każdym kroku szuka pretekstu, by coś wytknąć! Oj, stary nie zostawi na mnie suchej nitki, a o wolnym to mogę sobie pomarzyć co najwyżej! – użalał się w duchu policjant. – Proszę zjawić się jutro na komendzie i zapytać o mnie. Są państwo wolni.

Zojka zawahała się, spoglądając w kierunku pociągu. Dziwnie się czuła na myśl, że musi zostawić swoją torebkę. Zupełnie jakby pozbawiono ją ubrania. Już zamierzała odejść, gdy zauważyła, że z zarośli wychyla się poblady Tomek. Biedak, chyba nie zje maminego rosołku, poczekam na niego może...

Jednak mijający ją młody mężczyzna spojrział tylko z ukosa i skrzywił się nieprzyjemnie, jakby zobaczył coś nieładnego.

– Zawsze byłaś wariatką, Zojka... Lepiej trzymać się od ciebie z daleka!

Oburzona Zojka odprowadziła chłopaka wzrokiem, myśląc, jak szybko zapomniał, że zawsze mu się podobała. Gdzieś za plecami usłyszała cichutki śmiech, ale nie odwróciła się, by sprawdzić, czy ten tamten znowu ma z niej ubaw. Zacisnęła gniewnie pięści i powlokła się w kierunku domu babuni.

– Powtórz no jeszcze raz. Tomek od Maćkowiaków grzebał w twojej torebce i wyciągnął trupa? – dopytywała babunia kilka chwil później. Zojka westchnęła głęboko, zrzuciła ze stóp balerinki, umościła nogi na stojącym nieopodal krzesełku z miękką poduszką i po raz dziesiąty zaczęła snuć opowieść o niezwykłym znalezisku.

– Nie trupa, tylko dłoń – sprostowała.

– Obcięta – uściśliła babunia.

– Obcięta.

– A czym?

– A skąd ja to mogę wiedzieć? Nie znam się na obciętych dłoniach! Nigdy żadnej nie widziałam. I nigdy wcześniej żadnej nie przewoziłam w torebce.

– A ta dłoń to była bardziej poszarpana czy gładka? – dociekała staruszka. – Bo jak twojemu dziadkowi świętej pamięci omsknęła się kosa, to...

– Nie przyglądałam się jej tak dokładnie – bezceremonialnie przerwała Zojka, która nie tylko miała dość rozmów o osobliwej zawartości swojej torebki, ale pragnęła o niej jak najszybciej zapomnieć. Po przesłuchaniu na policji i wyrzuceniu odzyskanej własności, oczywiście.

– Szkoda. – Babunia podniosła się z krzesła, by wstawić na kuchnię czajnik z wodą. – Swoją drogą Zojeczko, gdy tak na ciebie patrzę, zaczynam wierzyć w te wszystkie bajeczki o zagonie kapusty i bocianach przynoszących dzieci. Z tą swoją zdolnością do popadania w kabałę, ni w cholerę nie pasujesz do naszej rodziny!

– A czy to moja wina? – obruszyła się młoda kobieta. – Kłopoty mnie kochają i same pchają mi się pod nogi. Ani ich nie szukam, ani nie prowokuję losu. Dzisiaj na przykład chciałam tylko dostarczyć twoją kiełbaskę i kiszkę na wskazany adres. A co z tego wynikło? Jedna wielka kicha!

• Rozdział piąty •

Przesłuchanie w Komendzie Powiatowej w Wadowicach wytrąciło Zojkę z równowagi. Aspirant Paweł Chochołek dwoił się i troił, zadając coraz to wymyślniejsze pytania, nic więc dziwnego, że kiedy po zakończonym spotkaniu Zojka wychynęła na ulicę Lwowską i ruszyła w kierunku rynku, po jej plecach spływały krople lodowatego potu.

Tak, spędziła jakiś czas w ogródku cukierni, zjadając lody i pijąc kawę.

Nie, nie pamięta, jak długo to trwało.

Tak, w drodze na dworzec kolejowy wstąpiła do kolejnej cukierni.

Tak, kupiła ciasto z kremem waniliowym.

Tak, wybrała przysmak, na którym było naprawdę dużo kremu.

Nie, nie zajrzała do reklamówki, by sprawdzić, czy nie zapakowano jej dziwnego gratisu.

Tak, wstąpiła do baru na dworcu.

Po co? Jak to po co? Chyba pan aspirant rozumie, że po kawie i lodach chce się siku?

Nie, nie zauważyła nic podejrzanego.

Nikt nie usiłował wyrwać jej torebki. Nikt nie ocierał się o nią z porozumiewawczym uśmiechem, nie szarpał za pasek od torby i nie częstował podejrzanyymi cukierkami.

Tak, wsiadając do pociągu spostrzegła, że nie ma przy sobie torebki.

Tak, staranowała redaktora, powaliła go na ziemię i zgmiotła newralgiczne części jego ciała.

Tak, znalazła torebkę w miejscu, w którym prawdopodobnie ją pozostawiła. Przy nodze stolika.

Której nodze? Trzeciej, a może drugiej? Na pewno od lady, a może jednak nie?

Tak, zabrała ją i biegiem wróciła do pociągu.

Nie, nie zajrzała do środka, czy wszystko jest na swoim miejscu.

Tak, poczęstowała Tomasza wędlinami swojej roboty.

Skąd je miała? Nie wie. A tak w ogóle, czy wyrób wędlin własnych podlega pod jakiś paragraf, bo nie chciałyby zeznawać przeciwko własnej rodzinie?

Tak, Tomasz okazał się łasuchem i chciał jej podprowadzić z torebki kupione ciasto.

Nie, nie widziała, jak rozsypał reklamówkę i natrafił na jej zawartość, ale zdecydowanie słyszała.

Czy dotykała członka? No, to chyba nie pana sprawa? A, tego członka, tak, trochę, ale tylko przelotnie, kiedy redaktor położył jej go na kolanach. Czemu pan

aspirant się krztusi? Podać wody?

Czy coś się wyjaśniło? Nic a nic? I co ona ma teraz zrobić?

Pozostać, jak to pozostać? Gdzie?

Zojka miała dziwne przeczucie – a przeczucie z reguły jej nie zawodziło – że na tym konkretnym przesłuchaniu nie zrobiła najlepszego wrażenia. Jej niepokój potęgowała obecność milczącej kobiety, która rozparła się na drewnianym krześle w niedużym oddaleniu od biurka Chochołka i taksowała ją ponurym spojrzeniem. Dopiero przy pożegnaniu aspirant jakby się ocknął i dostrzegł obecność obserwatorki, po czym przedstawił ją Zojce z kwaśnym uśmiechem:

– Prokurator Wanda Niewiadomska.

Na tę wieść Zojka aż się zachłysnęła powietrzem. Policja policją, można ich potraktować jako upierdliwe zło konieczne, ale taka pani prokurator to już poważna sprawa! Zojka nie orientowała się zbyt dobrze w procedurach policyjnych, ale od czasu do czasu oglądała *Ojca Mateusza*. I doskonale wiedziała, że prokurator pojawiał się w odcinku jedynie w skrajnych przypadkach, a to oznaczało, że ten dotyczący torebki i jej zupełnie niezrozumiałej zawartości wkroczył na level hard. Wcale jej się to nie podobało!

Po przesłuchaniu dowlokła się na wadowicki rynek i przysiadła na ławce w pobliżu fontanny. Mgiełka wodna unosiła się w powietrzu i przyjemnie studziła rozpalone policzki. Zojka układała w głowie plan, choć jak na razie sprowadzał się on wyłącznie do tego, że musi pozostać w domu babuni i trzymać rękę na pulsie. Kiełkowało w niej przekonanie, że sprawa, która została zapoczątkowana w pociągu relacji Bielsko-Biała Główna – Kraków Płaszów, będzie miała swój emocjonujący ciąg dalszy, a ona, Zojka, odegra w tym kluczową rolę.

Mieszkanie pod jednym dachem z babunią Łyczakową miało swoje plusy, do których niewątpliwie zaliczała się poranna jajecznica na szynce, kawa z mlekiem pita z kubka z motylkiem z nieco wyszczerbionym brzegiem, wieczorne rozmowy, w których wspominały wydarzenia z bliższej i dalszej przeszłości i zdrowy sen w dobrze przewietrzonym pokoju gościnnym, gdzie stało metalowe łóżko z miękkim materacem i pościelą haftowaną w różyczki.

Wiązało się ono także z dość osobliwymi przeżyciami, więc gdy zniechęcona wizytą na wadowickiej komendzie Zojka wyłoniła się z wąwozu i zauważyła kręcącą się po podwórku staruszkę, nie okazała najmniejszych oznak zdziwienia. Nawet wtedy, kiedy już zbliżyła się na wystarczającą odległość, by stwierdzić, że odziana w suknię do kostek, kowbojski kapelusz z zawiniętym rondem i drewniaki babunia celuje dojrzałymi pomidorami w ogromną tarczę narysowaną na wrotach stodoły. Podeszła bez słowa, stanęła za plecami starszej pani i spokojnie poczekała, aż ta roztrzaska na pociemniałych ze starości deskach kolejne warzywa.

Kiedy jednak zadowolona z siebie babunia zanurkowała do stojącego u stóp koszyka po słoik dżemu truskawkowego, Zojka uniosła pytająco brwi.

– Trenujesz oko, babuniu?
– Taaa, i przy okazji pokazuję twojej matce, co sędzę o jej durnych pomysłach.

– Była tutaj? A czego chciała?
– Najwyraźniej uznała, że nie daję ci jeść. – Babunia zlustrowała sylwetkę wnuczki. – Tak jakby ktoś, patrząc na ciebie, mógł uznać, że jesteś głodziona.
– Wielkie dzięki – parsknęła dziewczyna. – I co, przyniosła warzywa?
– Nie tylko. Kostką mydła narysowałam tarczę. Musisz też wybaczyć Burkowi, ale właśnie zjada twojego kotleta.

Zojka obejrzała się w kierunku ganeczku, gdzie zazwyczaj odpoczywał w cieniu kudłaty ulubieniec babuni Łyczakowej – ogromne psisko o popielatej, mocno zmierzwionej sierści, wyglądzie wioskowego zbója i łagodnym usposobieniu baranka. Choć Zojka naprawdę nie mogła zrozumieć, dlaczego niegroźne zwierzątko porównuje się właśnie do baranków. Ona sama wolałaby się spotkać na ulicy z rottweilerem, bo ten nigdy nie wyrządził jej najmniejszej krzywdy. A baranek owszem. Gdy była mała, upitolił ją w piętę!

– Na zdrowie, i tak nie byłam głodna. – Wzruszyła ramionami. – Ale ty już babuniu możesz przestać.

– Zostało mi jeszcze trochę. Przy okazji pokażę, że mam krzepę i nie taka ze mnie zniedołężniała starowinka!

– Ale komu? – Zdumiona Zojka rozejrzała się po ogrodzie. – Przecież tutaj nikogo nie ma, komu pokażesz?

– A o to się nie martw! – Babunia ponownie pochyliła się nad koszem, zastępując słoik pęczkiem rzodkiewki. – Nigdy nie wiadomo, co przylazło na przeszpiegi i chowa się po krzakach. Widzisz tamte lilie?

– Trochę zdziczały – przyznała wnuczka.
– Nie zdziczały, tylko polałam je obornikiem.
– Skutecznie! – Zojka pomyślała, że kwiaty wyglądają paskudnie.
– Żebyś wiedziała! Ten, co w nich siedział, zatrzymał się dopiero na przystanku kolejowym.

– Boże! – Zojka złapała się za głowę, czując, że dopada ją nieznośny ból. – Babuniu, nie chcę cię martwić, ale siekierka, obornik, potrzaskane warzywa... nie uważasz, że przez to mogą wziąć cię za war... ciut zdziwaczałą?

– Niech biorą, na zdrowie. Dopóki mają mnie za taką, trzymają się choć trochę na dystans i mam święty spokój. – Babunia obejrzała wprawny okiem pęczek rzodkiewki i na powrót włożyła go do koszyka. Wyprostowała się, przetarła czoło pod rondem kapelusza i uśmiechnęła się do wnuczki chytrze. – Latają teraz jak kot z pęczkiem, bo zadomowiłaś się u mnie na dobre i boją się, że chałupę na ciebie przepiszę.

– Babuniu! – Zojka pomyślała, że czasami brakuje jej sił do upartej

staruszki. – Przecież to mama prosiła, żebym do ciebie przyjechała i zajęła się tobą. To się kupy nie trzyma!

– Ja swoje wiem! – Babunia złapała koszyk. – I nikt mnie nie przekona, że chodzi o coś innego. To się zaczęło, jeszcze zanim przyszedł na świat, więc nie wiesz! Ale ja dobrze pamiętam. Wtedy się nie ugięłam i teraz też się nie ugnę.

– Koniec rzucania? – Zojka znacząco uniosła brwi.

– Oczywiście. Marnotrawstwo to wielki grzech, nie wiesz?

– Tak? – Zojka uśmiechnęła się pod nosem. – A tamto? – Zatoczyła ręką koło, wskazując upačkane drzwi do stodoły i wylizującego miskę Burka. Wolnym krokiem ruszyły w kierunku domu.

– Pomidory były obite, mydło śmierdziało kocią kupą, a kotlet... cóż, chyba mi nie powiesz, że się zmarnował?

– Nie wygląda na to. – Zojka uśmiechnęła się, tarmosząc psiaka, którego właśnie mijaly. Burek natychmiast przewrócił się na grzbiet, podsuwając do drapania kudłaty brzuszek.

Babunia odstawiła koszyk z wiktuałami na toaletkę w sieni i weszła do kuchni. Zojka ruszyła za nią i zajęła swoje ulubione miejsce przy stole.

– Lepiej powiedz, jak poszło na komendzie – poprosiła staruszka.

– Niezbyt dobrze – przyznała wnuczka. – Chochołek zadawał mnóstwo pytań, a ja chociaż starałam się odpowiadać na nie najdokładniej, jak potrafiłam, mam wrażenie, że w ogóle nie pomogłam. Ale najgorsze było spotkanie z prokuratorką... – Skrzywiła się na samo wspomnienie.

– Postawili ci jakieś zarzuty? – dopytywała podekscytowana staruszka.

– Nie, no skąd! Ta cała Wanda wcale się nie przyznała, że jest prokuratorem. Siedziała tak tylko i mierzyła mnie wzrokiem. Sądziłam, że jest sekretarką albo jakąś psychofanką Chochołka, a tu taka niespodzianka! Obserwowała mnie, babuniu! – wyrzuciła z siebie Zojka, uświadamiając sobie nagle, że dopiero w obecności odważnej babuni Łyczakowej ma śmiałość się do tego przyznać. – Ona mnie chyba podejrzewa! Myśli, że to moja ręka!

– W takim razie nie wiem, jak została prokuratorem! – prychnęła babunia, kręcąc głową z dezaprobatą. – Skoro nie umie liczyć do trzech...

– Oj, babuniu! Oni powiedzieli, że mam nigdzie nie wyjeżdżać, bo będą chcieli uzupełnić moje zeznania na kolejnym etapie śledztwa!

– I to jest bardzo dobra wiadomość! – Babunia, jako typowa optymistka, potrafiła znaleźć jasne strony każdej sytuacji. – Zostaniesz u mnie trochę dłużej, spędzimy razem więcej czasu i napsujemy krwi reszcie rodziny... – ciągnęła rozmarzona.

– Babciu! – Zojka zmierzyła starszą panią gniewnym spojrzeniem. – Przecież ja muszę wracać do Krakowa, mam tam...

– Wielkie go! – dokończyła babunia z rozbrajającym uśmiechem. – Znam cię

lepiej, niż myślisz!

Zojka, która nie bardzo potrafiła znaleźć ciętą ripostę na słowa staruszki, zamilkła, myśląc nad swoim niekomfortowym położeniem. Tymczasem babunia zerknęła na ścienny zegar i sięgnęła po stojący na kuchni czajnik.

– Pora na naszą popołudniową kawkę, Zojeczko! Porzuć te ponure myśli i korzystaj z wakacji na wsi. Zobaczysz, że kiedy wszystko się wyjaśni, wrócisz do Krakowa z zapasem sił i będziesz gotowa do podjęcia nowych wyzwań.

Zojka uśmiechnęła się pod nosem. Podniosła się z krzeselka i poczłapała do kredensu po naczynia na kawę: dla babuni wyjęła klasyczną szklankę wsuniętą w metalowy koszyczek, a dla siebie wielki kubas z pomarańczowym motylkiem. Uwielbiała ten kubek od dziecka. Wiecznie staczały z Zosią boje o to, która dostanie w nim słodkie kakao. Pewnego razu wrywały sobie ulubione naczynie, aż wyładowało ono na drewnianych deskach podłogi, a na jego brzegu powstała nieduża szczyrba. Babunia wyrzuciła kubek do śmieci, ale Zojka wstała w środku nocy, wygrzebała go spośród odpadków, umyła byle jak w lodowatej wodzie w wiaderku stojącym w sieni i odstawiła na miejsce. Babunia nie skomentowała tego ani słowem, ale od tej pory zawsze przygotowywała dla wnuczki napoje właśnie w tym naczyniu.

Kiedy kawa była gotowa, wyszły na ganek, zajęły miejsca na krzeselkach i zaczęły obserwować położoną w dole wzgórza miejscowość. W większości zasłaniały ją drzewa, ale w miejscu, gdzie otwierał się wąwóz, można było dostrzec iglicę kościółka i kilka budynków. Babunia gładziła futerko Burka, a Zojka z trudem objęła dłońmi pękaty kubek i podniosła go do ust. Czuła spokój i nie wracała już myślami do spotkania na komendzie i pączkujących podejrzeń, że odnaleziona ręka to dopiero początek.

– Masz rację, babuniu! – powiedziała sennym głosem. – Powinnam się zrelaksować, skoro już tutaj jestem! Wieczorem odwiedzę Zosię. Tak dawno jej nie widziałam.

– Dawno – przyznała babunia z ponurą miną. – Więc może poczeka to do jutra?

– Nie chcę czekać – wyjaśniła Zojka. – Ostatnie wydarzenia były takie nieprzyjemne, muszę o tym z kimś porozmawiać. Poza tym chciałabym ją o coś zapytać. – Czy raczej o kogoś, pomyślała, popijając kawę z zagadkowym uśmiechem.

Babcia Łyczakowa miała dwie córki: Halinę i Krysę. Halina wyszła za mąż zaraz po ukończeniu zawodowej szkoły krawieckiej i po niecałych ośmiu miesiącach urodziła syna, Janka. Młodzi początkowo zamieszkali w domku na wzgórzu, ale rodzinie było dość ciasno, szczególnie że i młodszą z córek, Krysę, także odwiedzał już adorator – rodzony brat szwagra, swoją drogą – i kolejne wesele było tylko kwestią czasu. Halina wraz z mężem Marianem i małym synkiem

wyprowadziła się do wynajmowanego domku tuż obok kościoła w Lipówce. W tym samym czasie Krysia poślubiła swojego Kazia i zamieszkała u jego rodziców naprzeciwko domku siostry.

Dziewczęta żyły w zgodzie, ale jak to zazwyczaj bywa, pojawiła się między nimi kość niezgody. Stała się nią atrakcyjna działka przy drodze, należąca do rodziny Łyczaków. Halina była zdania, że to ona powinna ją otrzymać, ponieważ siostra zamieszkała w domu teściów i nie musi się tułać po wynajmowanym. Krysia, której teściowa dokuczała bardziej niż pryszcz na brodzie w dniu ważnej randki, uważała, że jej chęć otrzymania ziemi jest jak najbardziej uzasadniona. Rzecz w tym, że właścicielka działki wcale nie zamierzała nią kogokolwiek obdarowywać i trzeba ją było do tego jakoś nakłonić.

Nie wiedzieć skąd, u obydwu córek Zofii Łyczakowej zakiełkowało przekonanie, że działka trafi do tej z sióstr, która pierwsza urodzi jej wymarzoną wnuczkę. Dość jednak powiedzieć, że wkrótce obydwie obnosiły okrągłe jak piłka brzuszki i dopingowały siedzące w nich dzieci do szybkiego przyjscia na świat, oczywiście w pożądanym wariancie płci. I czy to ze stresu, czy z determinacji swoje córeczki urodziły w odstępie kilku minut, a w ostatnim akcie desperacji nadały im imię swojej matki. Ta na wieść o zwariowanym pomysle córek popukała się znacząco w czoło i czym prędzej znalazła kupca na ziemię, by ta już nigdy nie stanęła pomiędzy dziewczętami.

Gest matki raz na zawsze pogodził rodziny Haliny i Krysi. Halina z mężem kupiła wynajmowany domek, rodzina Krysi zainwestowała w dobudówkę, by zejść z oczu wścibskiej teściowej. A babcia Łyczakowa nie traciła żadnej okazji, by wyszydzić ich irracjonalne zachowanie i wypomnieć, że dzieci chciały ją perfidnie podejść, by upolować ziemię.

Konflikt zaognił się, kiedy zmarł dziadek Łyczak, a rodzina za plecami babuni zdecydowała, że domek na wzgórzu należy sprzedać, ponieważ ona sama nie poradzi sobie z tak dużym obejściem. Pierwszy klient nieopatrznie podzielił się z babunią swoimi planami kupna domku i przemienienia go w uroczy pensjonat. Zanim rzuciła w niedoszłego właściciela dochodowego biznesu widłami, zdążyła wyciągnąć z niego całą historię związaną z planem sprzedania gospodarstwa na wzgórzu. Zainteresowany na szczęście odznaczał się nie tylko zmysłem inwestycyjnym, ale też i niezłym refleksem, więc z całej historii wyszedł bez szwanku. Kolejny klient nie miał takiego szczęścia: zbiegając drogą do wsi, skręcił nogę w wąwozie i raz na zawsze zapomniał o pragnieniu nabycia uroczej chatki wśród drzew. Kiedy powiadomione o awanturze córki zjawiły się, by przemówić matce do rozsądku, ta poszczuła je psem i zapowiedziała, że od tej pory nie chce o nich słyszeć. Od dwunastu lat „nie rozmawiała” z nikim z rodziny poza wnuczkami. Zosia i Janek mieli babunię za niegroźną wariatkę, ale Zojka uważała, że staruszka jest fantastyczna.

O tych to rodzinnych zawilosciach myślała Zojka, zmierzając w piątkowy wieczór do domu wujostwa. Po drodze minęła sławetną działkę, na której nowy właściciel postawił właśnie duży skład budowlany. Cieszyła się na myśl o spotkaniu z kuzynką, z którą zawsze miała dobry kontakt. No, prawie zawsze. W ostatnich latach nie były sobie już tak bliskie, bądź co bądź Zojka opuściła rodzinną miejscowość, by studiować w Krakowie, a Zosia po ukończeniu szkoły fryzjerskiej pracowała w pobliskich Wadowicach i ani myślała ruszać się gdziekolwiek dalej.

Zbliżając się do drzwi wejściowych, Zojka zauważyła, że na podwórku parkuje kilka samochodów. Nie poświęciła im jednak większej uwagi, nacisnęła klamkę i weszła do środka. Dom wujostwa знаła niemal jak własny, w dzieciństwie bawiły się z Zosią na zmianę to tu, to w domu Zojki, to u babci na wzgórzu. Najchętniej właśnie tam, gdzie brakowało czujnego rodzicielskiego oka, za to zawsze znalazł się kawałek placka z jabłkami i szklanka kompotu z rabarbaru lub wiśni.

Kiedy Zojka znalazła się w nieco ciemnym korytarzyku, usłyszała donośne głosy i śmiechy. Oho, pomyślała, najwyraźniej rodzinka w komplecie, bo i Janka słyszę, i Zosię, a tubalny głos wujka Mariana to chyba niesie się aż na rynek w Wadowicach. Czyżbym wpakowała się na rodzinną kolację? Mimo to bez skrupowania ruszyła dalej i zaraz uchylała drzwi do pokoju dziennego, zza których dobiegał radosny gwar.

Oczom Zojki ukazał się dobrze znany pokój, ale widząc zgromadzonych w nim ludzi, zawahała się i przystanęła w progu. Była przekonana, że wprosi się co najwyżej na kolację w towarzystwie kuzynki, kuzyna i ich rodziców, a wszystko wskazywało na to, że w domu wujostwa odbywa się właśnie huczna impreza. Zawstydzona Zojka pokryła się ceglastym rumieńcem i na poważnie zaczęła rozważać możliwość dyskretnego wycofania się do korytarzyka, ale w tej samej chwili padło na nią spojrzenie Janka i kuzyn entuzjastycznie zapowiedział jej przyjście.

– Zojka! – poniosło się po pokoju, a skonsternowana dziewczyna zauważyła, że to krótkie pięcioliterowe słowo zadziało jak magiczne zaklęcie i sprawiło, że w pomieszczeniu zapadła głucha cisza. Co jest? – zaniepokoiła się Zojka. – Czy to przez tę historię z ręką? No chyba widzą, że nie mam przy sobie żadnej torebki, więc ręki też nie!

Zrobiła małe kroczki w głąb pokoju, witając się z kuzynem i rozglądając się na boki. Pokój wypełniało sporo nieznanym jej młodych ludzi, z czego wywnioskowała, że impreza została urządzona na cześć Zosi lub Janka. Zojka dokonała w myśli pospiesznego przeglądu wszelkich możliwych okazji. Urodziny Zośki odpadały, bądź co bądź obchodziły je tego samego dnia, Janek urodził się w lutym, za cholerę to się nie zgadzało. Ostatecznie stwierdziła, że najwyraźniej

kuzynka pospieszyła się z wyprawianiem imienin. A ona, Zojka, przyszła z pustymi rękoma. No, trudno, nadrobi innym razem...

Gdzieś obok okna mignęła jej ciemna głowa Zosi, więc zaczęła przepychać się w tamtym kierunku. Wciąż towarzyszyło jej dziwne wrażenie, że jest obserwowana. Kiedy dotarła do okna i oparła się plecami o parapet, spostrzegła, że za stołem siedzą jej rodzice. Zamierzała właśnie do nich podejść i zapytać, co robią na imprezie u Zosi, kiedy kuzynka we własnej osobie złapała ją za ramię.

– Zojka! Jak miło! Ale co tu robisz? – dopytywała.

– Przepraszam, że tak bez zapowiedzi – mruknęła, całując kuzynkę w podstawiony policzek. – Pomyślałam, że odwiedzę cię, skoro już jestem u babuni. I że wypijemy jakąś herbatę albo butelkę wina.

– No tak, ale ja...

– Wszystkiego najlepszego! – rzuciła prędko Zojka.

– Dziękuję. – Zosia wyglądała na speszoną. – Myślałam, że wracasz do Krakowa.

– Nie, muszę zostać na jakiś czas. Siła wyższa – zażartowała.

Kątem oka Zojka wyłowiła znajomą sylwetkę. W fotelu pod przeciwległą ścianą rozsiadł się sołtys i szczyrzył w kierunku dziewcząt lśniąca zęby. Zosia rzuciła mu przelotne spojrzenie, za to Zojka zagapiła się dłużej. Co on tu robi? – głowiła się. Ale właściwie obecność mężczyzny była jej na rękę, przecież i tak zamierzała poprosić kuzynkę, by jej o nim trochę opowiedziała.

– Pomyślałam, że pogadamy, ale dzisiaj to chyba nic z tego nie będzie. – Uśmiechnęła się do Zosi.

– No, nie bardzo. – Zosia nadal wyglądała na speszoną. Rzuciła szybkie spojrzenie gdzieś za plecy Zojki, zaraz jednak uśmiechnęła się przyjaźnie. – Napijesz się czegoś?

– Och, zostanę tylko chwileczkę. Babunia czeka na mnie z kolacją – skłamała. Nie potrafiła określić dlaczego, ale wyczuwała w pokoju jakąś napiętą atmosferę. Coś jej podpowiadało, że swoim przyjściem spowodowała wyraźne obniżenie radosnego nastroju u gości. Nawet rodzice unikali jej wzroku, wgapiając się w filiżanki z kawą. Nie wiedziała, czy chodzi o tę przygodę z pociągu czy o coś zupełnie innego, ale czuła, że lepiej będzie, jeśli wyjdzie jak najszybciej.

Zosia najwyraźniej była tego samego zdania, bo nawet nie próbowała jej zatrzymać.

– W takim razie wpadnij do mnie jutro – zaproponowała. – Na pewno zostanie dużo ciasta. Napijemy się kawy!

Zojka skinęła głową. Odczekała, aż kuzynka zniknie pomiędzy gośćmi i powoli ruszyła w kierunku wyjścia. Czuła się głupio, ale nie zamierzała zostawać tam, gdzie nikt jej nie chciał. Kładła właśnie dłoń na klamce, kiedy u jej boku zmaterializowała się ciotka Halina.

– Wychodzisz już? – dopytywała.

Zojka potwierdziła i dorzuciła, że odwiedzi rodzinę następnego dnia. Wtedy na pewno będzie lepsza sposobność do pogawędki przy kawie i wymiany ploteczek.

Na krótką chwilę w spojrzeniu ciotki pojawiła się ulga. Zojkę coś tknęło i zawahała się z dłonią na klamce. Nagle zrozumiała! Uwaga babuni, by wstrzymała się z wizytą u Zosi do następnego dnia. Dziwne zachowanie kuzynki i cisza, jaka zapadła w chwili, gdy weszła do pokoju i ukazała się zebrany. Przepelnione winą spojrzenia rodziców utkwione w nakryciach na stole. Niepokój i ulga w oczach ciotki! To mogło oznaczać tylko jedno – wszyscy wiedzieli o imprezie u Zosi i starali się to przed nią ukryć. Była niemile widzianym gościem. Dlaczego?

Wszystko wyjaśniło się, gdy zza stołu podniósł się wuj Marian. Wypity alkohol dodał mu lekkich rumieńców i kurażu. Uśmiechnął się do zebranych i wyciągnął rękę w kierunku jedynej córki.

– Zebraliśmy się tu, by świętować zaręczyny Zosi i Mikołaja! Cieszę się, że moja dziewczynka trafiła na tak porządnego faceta!

Zebrani wzniesli trzymane w dłoni szampanówki, a oniemiała Zojka ujrzała, jak zarumieniona Zosia przyciska wargi do brodatego policzka sołtysa! Poczowała, że jej twarz ogarnia nieznośne gorąco i to bynajmniej nie z powodu zainteresowania, jakie wzbudził w niej narzeczony kuzynki. Pojęła, dlaczego nie zaproszono jej na przyjęcie zaręczynowe. Po prostu Zosia była już raz zaręczona, przed laty. Jej narzeczony, Wojtek, okazał się nic niewartym, zdradliwym skunksem.

A Zojka była dziewczyną, z którą zdradził swoją przyszlą żonę.

Na swoje usprawiedliwienie miała to, że praktycznie o niczym nie wiedziała. Wszystko wydarzyło się w wakacje po pierwszym roku studiów. Zojka przyjechała do domu rodziców, by odpocząć po ciężkiej nauce (i nie mniej ciężkich imprezach w gronie studenckim, ale o tym najbliżsi nie musieli wiedzieć) i zaraz na wejściu została poinformowana, że kuzynka jest zakochana po uszy i wychodzi za mąż. Dla Zojki, która o małżeństwie nie zamierzała myśleć przez najbliższe sto lat, było to dość abstrakcyjne. Czowała się też trochę rozgoryczona, ponieważ w rodzinie nie mówiło się o niczym innym tylko o wzorach zaproszeń ślubnych i najlepszych salach weselnych w powiecie, doskonałe wyniki w nauce, które osiągnęła, skomentowała zaś tylko dumna babunia. Na dodatek Zosia – z którą dotychczas Zojka była nierozłączna – zupełnie nie miała dla niej czasu, pochłonięta nową miłością i planami wicia małżeńskiego gniazdko. Osamotniona Zojka wypoczywała więc na przemian w domach rodziców i babuni, a wieczorami wskakiwała na siodelko swojego sfatygowanego roweru i urządziła sobie długie wycieczki. Podczas jednej z takich wypraw poznała intrygującego chłopaka.

Wojtek był wysoki, wysportowany i uśmiechnięty. Zojka spotkała go na trasie rowerowej, kiedy spadł jej łańcuch i przerażona nie potrafiła sobie poradzić z

jego nałożeniem. Już, już była przygotowana, że będzie zmuszona rozbić obozowisko pod Leskowcem i spędzić noc pod gwiazdami, kiedy na ścieżce pojawił się inny rowerzysta. Zsunął z nosa przeciwsłoneczne okulary i Zojka zatoneła w roześmianym spojrzeniu. W jednej chwili zamarzyła o wszelkich nocach, pod gwiazdami i nie tylko.

Spotykali się późnymi popołudniami, poznając bliższe i dalsze zakątki powiatu wadowickiego i siebie nawzajem. Poruszona Zojka przyznała się babuni, że chyba po raz pierwszy czuje te sławetne motylki w brzuchu. Uwielbiała spędzać czas w towarzystwie nowego znajomego i on najwyraźniej myślał tak samo, tylko że... czasami zniknął na kilka dni, by „coś pozajątwiać”. Pewnego samotnego popołudnia, gdy czasu dla niej nie miał ani zajęty Wojtek, ani ogarnięta przedślubnym szałem kuzynka, ani nawet wojowniczo przekopująca ogródek babunia, Zojka wybrała się do domu wujostwa, by zapytać, czy może w czymś pomóc. I nakryła swojego ukochanego, jak z nieco głupawą miną próbuje zdecydować, która zawieszka na wódkę (przytulone misie czy serduszko z gołąbkami) mu odpowiada.

Awanturę, jaka rozpętała się po jej przyjściu, z pewnością wciąż pamiętało wielu mieszkańców Lipówki. Zosia nie chciała słuchać ani wiarołomnego narzeczonego, ani załamanej kuzynki. Wuj Marian zrobił się na twarzy tak czerwony, że zachodziła obawa, czy nie zagraża mu zawał połączony z wylewem i atakiem epilepsji. Ciotka załamywała ręce nad wpląconymi zaliczkami. A w powietrzu fruwały kartoniki zaproszeń i zawieszek na butelki. Suknia ślubna została pocięta nożyczkami, jednym śnieżnobiałym bucikiem na szpilce Zojka dostała w okolicy prawego pódupka, drugi utknął na dachu garażu. Sodoma, Gomora i polski sejm – kręciła głową zde gustowana babunia. Ona jedna nie miała do Zojki pretensji, uznała nawet, że nieświadomie uchroniła kuzynkę przed znacznie gorszym losem.

– Lepiej, że zdradził przed ślubem niż po – argumentowała. – Dopiero by ci było przykro, gdybyś się dowiedziała na weselu albo przy pierwszej rocznicy ślubu. Znam taką dziewczynę...

Ale do Zosi nie trafiały argumenty babuni. Dla niej liczyło się tylko to, że została zdradzona i to przez dwie bliskie osoby. Co ciekawe: większe pretensje miała właśnie do Zojki, która nie tylko podstępnie ukradła jej przyszłego męża, ale też stała się posłańcem złych wieści. W naprawie stosunków między kuzynkami nie pomogło także to, że kilka tygodni po awanturze przy zawieszkach do butelek Wojtek zjawił się w Lipówce, szukając Zojki. Babunia Łyczakowa z błyskiem satysfakcji w oku poszczuła go Burkiem i obrzuciła epitetami, za które na spowiedzi dostała trzy koronki do Miłosierdzia Bożego.

W ten właśnie sposób zakończyło się pierwsze narzeczeństwo Zosi. Kuzynki pogodziły się po kilku miesiącach w akompaniamencie szlochów i brzdęku

opróżnianych butelek z winem, a niefortunny amant już nigdy się nie pojawił. Zojka była przekonana, że historia Wojtka została puszczona w niepamięć i nikt o niej nie myśli. Jak widać, była w błędzie...

Oszołomiona Zojka opuściła dom wujostwa i przysiadła na drewnianej huśtawce ustawionej pod gruszą. Przycisnęła dłonie do rozpalonych policzków. Zupełnie nie spodziewała się, że ten wieczór przebiegnie w taki sposób! Powinna się czegoś domyślić z wykrętów babuni, która najwyraźniej nie chciała, aby wnuczka przyszła tutaj akurat tego wieczoru. Zojka nie potrafiła nawet gniewać się na staruszkę, że nie wyjawiała jej wszystkiego, jak na spowiedzi. Pewnie nie chciała, by odczuła, że w pewnych kwestiach nadal nie ufa się jej w tym domu.

I jak się okazuje, całkiem słusznie. No, może nie całkiem, całkiem, ale tak ciut, ciut. W końcu pod przykrywką babskich ploteczek chciała wyciągnąć z kuzynki trochę informacji na temat sołtysa: jak się okazuje, narzeczonego Zosi. Najwidoczniej panny Tuszyńskie wciąż gustują w tych samych mężczyznach.

– Koniec imprezy? – usłyszała gdzieś zza pleców i drgnęła przestraszona. Odwróciła się nieznacznie, dostrzegając kątem oka sylwetkę przyklejoną do pnia drzewa. Głos wydał się jej znajomy, a kiedy mężczyzna wysunął się z mroku, wstrzymała oddech z wrażenia. Redaktor? Co on tu robi?

– Dla mnie tak. – Zazgrzytała zębami. – Co pan tu robi, redaktorze? Czy zaręczyny mojej kuzynki mają trafić do wadowickiej kroniki towarzyskiej? – zażartowała. – Mamy w ogóle coś takiego?

Zaśmiał się.

– Nie. Ale może ją pani stworzyć. Ach, zapomniałem! Pani woli kronikę kryminalną! – zakpił.

Zojka miała na końcu języka kilka ciętych odpowiedzi, ale zdecydowała, że ich nie użyje. Wolą się dowiedzieć, co przygnało redaktora na imprezę zaręczynową Zosi i sołtysa.

– A więc? – drążyła.

– A więc jestem przyjacielem pani kuzyna Janka. I po części również naszego drogiego nieodżałowanego Mikołaja.

– Nieodżałowanego? – zdziwiła się Zojka. – Przecież on nie umarł!

– Nie, ale dla co poniektórych stał się tak nieosiągalny, jakby zapakowali go do drewnianego pudełka.

Nie wiedzieć czemu Zojka poczuła, że mówi o niej, i pokryła się krwistym rumieńcem. Cieszyła się, że jest na tyle ciemno, że on nie może tego dostrzec. Dlaczego tak powiedział? Już wcześniej określił ją przyjaciółką sołtysa, a teraz insynuował, że na widok świeżo zaręczonego mężczyzny ona może się co najwyżej oblizać jak kot na widok dobrze zakręconej butelki mleka. Cóż, to że widział ją w samochodzie swojego po części przyjaciela, nie znaczyło, że miał prawo wypowiadać tak kąśliwe i krzywdzące uwagi. Nawet jeśli były odrobinę zgodne z

prawdą...

Chyba że... na myśl, że Janek mógł opowiedzieć redaktorowi o poprzednim, niefortunnym narzeczeństwie Zosi i o roli, jaką ona – Zojka – odegrała w jego destrukcji, zrobiło się jej nieprzyjemnie. W takim razie widząc ją w samochodzie sołtysa, mężczyzna mógł wyciągnąć błędne wnioski i pomyśleć, że ona celowo bojkotuje wszystkie związki swojej kuzynki!

Podniosła się z huśtawki.

– Pójdę już – rzuciła. – Babunia czeka na mnie z kolacją.

Uniósł znacząco jedną brew, jakby nie dowierzał jej słowom.

– Zostaje pani na dłużej w Lipówce?

– Nie mam wyjścia! – sarknęła. – Policja prowadzi dochodzenie w sprawie mojej ręki. To znaczy, nie mojej – plątała się – tylko tej przewożonej w mojej torebce. Boże, co za koszmar! Kto obcina rękę, by następnie podrzucić ją przypadkowej osobie?

– Może nieprzypadkowej?

– Niech mnie pan nie straszy! – zezłościła się. – Chciałabym, by szybko to wyjaśnili i pozwolili mi wrócić do Krakowa. Mam tam swoje życie, dalekie od obciętych czło... kończyn, policji, sekretnych imprez i tego wszystkiego! – wyrzuciła z siebie, na koniec dodając z żalem: – Już nigdy nie spojrzę bez podejrzeń na ciasto z kremem waniliowym. Na szczęście to nie moje ulubione, tylko babuni!

– Hmm, rzeczywiście, do pani nie pasuje słodkie ciasto z kremem... – powiedział.

– Tak? To jakie? – zjeżyła się Zojka, która rzuconą uwagę odebrała dziwnie osobiście.

– Szarlotka. Z kwaśnych jabłek.

– Tak? – powtórzyła. – A wiesz, co pasuje do ciebie? – bezceremonialnie przeszła na „ty”.

– No?

– Stary piernik! – prychnęła i nie oglądając się za siebie, ruszyła w kierunku bramy. Za plecami usłyszała cichy śmiech i skrzypienie poruszanej huśtawki.

• Rozdział szósty •

Wstała ponura jak chmura gradowa. Stojąc przed nieco zaśniedziałym lustrem toaletki i rozczesując jasne włosy, zastanawiała się, czy za jej podły nastrój odpowiada zorganizowana w tajemnicy przed nią impreza w domu wujostwa, zaręczyny Zosi i sołtysa, czy uwaga rzucona przez redaktora.

Podczas śniadania uparcie wpatrywała się w bułkę, zupełnie jakby rozsmarowanie idealnie równej warstewki dżemu truskawkowego było sprawą życia i śmierci. Babunia postawiła na stole dzbanek z kawą i przysiadła na krzeselku. Sięgając po bułkę i maselniczkę, przyglądała się wnuczce badawczo. Zojka westchnęła.

– Babuniu, dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Cóż, sugerowałam leciutko – mruknęła staruszka.

– Zbyt lekko! Trzeba było mi powiedzieć, że jestem w rodzinie persona non grata i że nie zapraszają mnie na zaręczynowe przyjęcie w obawie, że uprowadzę narzeczonego!

– Cóż, ty jesteś persona non grata, a ja jestem rodzinną wariatką. Spójrz na to z tej strony. Mnie zaprosili, a nie poszłam!

– Trzeba było! Przynajmniej jedna osoba nie patrzyłaby na mnie kwaśno, znaczy krzywo.

– Nawet dla ciebie nie zaryzykuję kaftana bezpieczeństwa! Na imprezie wypiję szklaneczkę wina albo dwie, pójdę do łazienki, a tam sanitariusze z Kobierzyna. Potem to już z górki, kaftan, oddział, notariusz i sprzedadzą ojcowiznę. Po moim trupie!

– Babuniu! – Zojka klepnęła się dłonią w czoło. – Powinnaś pisać książki. Najlepiej komedie kryminalne jak Chmielewska albo Rudnicka. Skąd u ciebie takie teorie spiskowe?

– Spiskowe? Dziecko, gdybyś wiedziała to co ja!

– Babuniu, a skąd ten cały sołtys? Znaczą Mikołaj? Ja go w ogóle nie kojarzę! Rodzice trzymali go w komórce na ziemniaki?

– Nie! – zaśmiała się babunia, odgryzając solidny kęs bułki. – On jest w Lipówce przyjezdny. Znaczą nabyty. Pamiętasz starego Tomasza od młyna? No, to jest jego wnuk, córka Tomasza mieszkała w Krakowie. Po śmierci starego odziedziczył gospodarstwo i osiedlił się na stałe.

– Hoduje gęsi? – uszczypliwie zapytała Zojka. Stary Tomasz trzymał na podwórku stadko gęsi, które atakowały przechodzące dzieci i boleśnie podszczypywały je w pośladki. W dzieciństwie bała się drobiu panicznie i mijając gospodarstwo przy młynie, zawsze przechodziła na drugą stronę drogi.

– Raczej nie. Biznes prowadzi. Mięsem handluje. Wieprzowym głównie.

– I sołtysuje – dodała Zojka.

– I sołtysuje. Wiesz, ludzie po latach zapragnęli świeżej krwi, a on jest obrotny, gospodarny, da się lubić – tłumaczyła babunia. – Już wprowadził trochę zmian, oświetlenie zrobili, chodniki. A co ty o nim myślisz?

– A ty? – Zojka zgrabnie odbiła piłeczkę.

– Nie jest najgorszy. – Staruszka sięgnęła po szklankę w koszyczku. – Zosia go kocha – dodała po chwili.

– Uhm, zauważyłam – mruknęła młoda kobieta. – A tam był jeszcze taki jeden, redaktor, podobno kolega Janka?

Babunia uśmiechnęła się pod nosem, siorbiąc kawę, a potem spojrzała figlarnie na wnuczkę.

– Masz na myśli redaktora Marcina Kordeckiego...

– Tak, chyba tak.

– Tego samego, który siedział naprzeciwko ciebie w pociągu, gdy rzucałaś po wagonie różnymi częściami ciała?

Zojka zaniemówiła i przez moment wpatrywała się w babunię z lekko uchylonymi ustami, z przyklejonym do dolnej wargi okruchem bułki. W końcu otrząsnęła się z szoku i powoli przeżuła trzymany w ustach kęs. Babunia obserwowała ją rozbawiona.

– Skąd o tym wiesz? – zapytała staruszkę.

– Och, zapominasz, że nie jesteś w Krakowie. Mogłaś mi powiedzieć, że się nim interesujesz. Podnieś rękę.

– C-co?

– Podnieś rękę.

Zojka nieprzytomnie spojrzała na dłoń, w której trzymała bułkę posmarowaną dżemem truskawkowym i zmarszczyła brwi. Wydawało jej się czy naprawdę warstwa słodkiego przysmaku była grubsza? Raczej tak, zważywszy na to, że obecnie niemal wcale jej nie było. Zojka podniosła bułkę na wysokość oczu i obejrzała ją dokładnie, a następnie schyliła się i odsunęła kraciatą ceratę. U jej stóp natychmiast zmaterializował się Burek, zachęcająco mlaskający różowym jęczorem. Czubek czarnego, błyszczącego nosa miał umazany dżemem.

– Noż ty! – Zojka posłała mu karcące spojrzenie.

– Trzeba się pilnować – skwitowała babunia. Bezceremonialnie opierała łokcie na stole, więc jej bułka była całkowicie bezpieczna. – Nigdy nie wiadomo, kiedy coś ci podwędzą. Albo podrzucą.

Zojka musiała przyznać jej rację. W końcu przekonała się o tym już dwa razy! Babunia uśmiechnęła się znacząco.

– A co do Kordeckiego, to miły chłopiec z niego. Prowadzi „Kronikę Wadowicką”. Może znalazłby dla ciebie jakieś zajęcie, skoro i tak musisz tutaj zostać na jakiś czas?

Słowa babuni wwierciły się Zojce pod czaszkę. Tak skutecznie wczepiły się w jej myśli, że nie zamierzały odpuścić i zniknąć. Po śniadaniu starsza pani zarządziła wielkie pranie. Osobiście nadzorowała starą franię, do której z pomocą wnuczki naląła gorącej wody, Zojce zaś przypadło stanowisko do płukania, które babunia zaaranżowała na zalanym słońcem trawniku. Wypłukując z kolejnych szmatek pozostałości po proszku Vizir i wieszając je na niebieskich sznurkach rozciągniętych między świerkami i owocowymi drzewami, myślała nad słowami babuni.

Praca – choćby tymczasowa – w takiej „Kronice Wadowickiej” byłaby dla niej spełnieniem marzeń, ale oczywiście nie powinna o niej nawet myśleć, skoro wszystko zależy od zakichanego redaktorka! Że też akurat temu tamtemu musiało się trafić takie fajne stanowisko! – gorączkowała się w myślach. Jest niewychowany, gburowaty i kąśliwy, wyrzucała mu w duchu, strzepując zielony sweterek z taką siłą, że przestraszony Burek umknął pod ganek. Nie traci żadnej okazji, by jej dopiec! Jak chociażby nieosiągalnym sołtysem i szarlotką z kwaśnymi jabłkami! I że niby ona jest skwaszona? Ona? Zojka energicznie trzepnęła trzymaną w dłoni koszulką i z niedowierzaniem spojrzała na efekt swoich działań. W jej rękach został tylko postrzępiony rękaw.

– Niech to szlag! – zakląła głośno, zbierając z trawnika pozostałą część czerwonej bluzeczki.

– Wiesz, Zojeczko, ja tu sobie poradzę. Przejdź się na spacer albo coś. – Zmachana babunia postawiła na trawie miednicę z kolejną porcją upranych rzeczy i ze skrzywioną miną zlustrowałazymane przez Zojkę skrawki materiału.

– Powiedziałam, że pomogę, to pomogę – mruknęła wnuczka.

– Ale jakim kosztem? – prychnęła staruszka. – Twoje pokolenie obsługę automatu wyssało z mlekiem matki, za to prania ręcznego nie potraficie opanować za cholere.

– Dam sobie radę, babuniu! – zapewniła Zojka, delikatnie mocząc niebieską sukienkę w misce z mieszanką letniej wody i płynu do zmiękczenia tkanin. – A wiesz babuniu, że na przykład dzinsów nie wolno prać?

– Nie? Czeka się, aż brud można skrobać obieraczką do jarzyn?

– Nie, aż tak to nie – zachichotała Zojka. – Ale lepiej dzinsy przecierać ściereczką w zaplamionych miejscach i oszczędzić im prania.

– A co zrobić, jak zaczną śmierdzieć jak krowie łajno?

– Owinąć w folię i wsunąć na kilka godzin do zamrażarki.

– Sprytne. – Starsza pani pokiwała głową z aprobatą. – Twój dziadek opracował podobny patent. Pomylił kiedyś kosz na brudną bieliznę z piekarnikiem i wsunął do środka swoje skarpetki.

– I co? – Zojka uniosła głowę znad miednicy.

– Przyprażyły się trochę. Do tej pory nie wiem, czy to skarpetki śmierdziały

od piekarnika, czy piekarnik od skarpet...

Dalsza praca przy praniu upłynęła spokojnie i obyła się bez żadnych ofiar po stronie ludzi, zwierząt i elementów garderoby. Zadowolona babunia przytachała na podwórko krzesło i rozsiadłszy się w cieniu modrzewia, podziwiała furkoczące na sznurze ubrania. Zojka kręciła się przed domem, w końcu zerknęła na wyświetlacz komórki i powiedziała:

- Do obiadu jeszcze chwila, chyba się przejdę.
- A idź.
- Chcesz pójść ze mną?
- Nie, nie. Posiedzimy tu z Burkiem i popilnujemy majątków. Licho nie śpi.

Zojka chciała coś powiedzieć, ale ugryzła się w język. Babunia sięgnęła po swój wielki kapelusz z zawiniętym rondem i wcisnęła nakrycie na głowę. Rozparta na krześle, z kapeluszem nasuniętym na oczy i ramionami skrzyżowanymi na piersi przypominała szeryfa z Dzikiego Zachodu. Brakowało jej tylko dymiącego pistoletu, zamiast tego w zasięgu kilku kroków miała pieniek do rąbania drewna z niedbale wbity w niego siekierą... Lepiej dla licha, żeby jednak zapadło w drzemkę, pomyślała rozbawiona młoda kobieta.

Tym razem zrezygnowała z zejścia do wsi wąwozem, zaczęła za to wolno posuwać się pomiędzy drzewami porastającymi na wpół zdziczały ogród babuni, kierując się w stronę łagodnie opadającej zalesionej skarpy. Po drodze napotkała dąb, na którym niegdyś zbudowali domek na drzewie i pomyślała, że życie jest o wiele prostsze, gdy ma się dekadę na karku, a jedynym zarzewiem konfliktu jest kupka pistoletów z patyków.

Skarpę poniżej ogrodu przecinała wąska, wydeptywana latami dróżka. Teraz nieco zarośnięta, ale tegoroczna wiosna była chłodna i deszczowa, więc krzaki nie wyrosły zbyt bujnie i Zojka radziła sobie z nimi bez problemu. Znała tę ścieżkę jak własną kieszeń, w dzieciństwie zbiegali nią setki razy, by zaczerpnąć wody ze starej studni zbudowanej wśród drzew u stóp wzgórza. Zojka nachyliła się nad drewnianą budkę i zajrzała w głąb. Teraz nie do pomyslenia byłoby, by dzieciaki biegały i bawiły się w takich miejscach. Ich rodzice z pewnością osiwieliby na miejscu. Ale kiedy ona była mała, dzieci ganiały swobodnie po całej wsi, po okolicznych łąkach i lasach. Wypatrywali na polach kombajnów i podchodzili jak najbliżej, by zobaczyć potęgę ogromnej maszyny, aż zdenerwowany kombajnista ich przepędzał. Chodzili na Kleczankę na ryby albo brodzili w strumyku przecinającym Lipówkę, szukając szkiełek z roztrzaskanych butelek i traktując je jak najpiękniejszy skarb. Wpadali do domów na pięć sekund, by skorzystać z łazienki i złapać w biegu złotówkę na bułkę i oranżadę, po czym gnali ku nowej zabawie i przygodzie. Zojka pozwoliła ponieść się przyjemnym wspomnieniom, przysiadając obok studni i obserwując toczący się powyżej pociąg towarowy. Stukot kół mieszał się z warkotem pił ścinających drzewa w pobliskim lesie.

Zojka uśmiechała się do dawnych zabaw, ale na myśl o kuzynce posmutniała. Tak świetnie się dogadywały w dzieciństwie, a teraz Zosia ukrywa przed nią własne zaręczyny w obawie, by ona nie ukradła jej narzeczonego? I przez co to wszystko? Przez pechowy zbieg okoliczności, który sprawił, że poznały tego samego kłamliwego faceta? Zojka westchnęła, gramoląc się z trawy i ruszając przed siebie ścieżką. Czy Zosia miała powody do niepokoju? To prawda, że Zojka zainteresowała się sołtysem, ale na Boga, gdyby wiedziała, że to przyszły mąż jej kuzynki, nie podjęłaby żadnych kroków w celu uwiedzenia brodacza! Z drugiej strony, wtedy w samochodzie, to raczej on starał się jej zaimponować i flirtował, więc może nerwy Zosi są uzasadnione. Może po prostu podejrzewa narzeczonego o nieczyste zagrania?

Zojka odsunęła dużą gałąź zwieszającą się nad ścieżką i przystanęła zaskoczona. W miejscu, w które dotarła, ścieżka krzyżowała się z polną drogą wiodącą w głąb lasu. Na jej skraju parkowała znajoma terenówka.

– No, pięknie! Przywołałam faceta siłą myśli! – mruknęła pod nosem. Cofnęła się za zasłonę z gęstego listowia i bez słowa obserwowała samochód. Powinna natychmiast zawrócić w kierunku domku babuni, ale coś trzymało ją w miejscu.

Nagle drzwiczki terenówki otworzyły się z cichym pyknięciem i na drogę wyskoczył sołtys. Niespokojnie rozejrzał się na boki, założył cienką wiatrówkę i czapkę z daszkiem, delikatnie zamknął samochód i ruszył w kierunku lasu. Zojka zamyśliła się. Tak zachowuje się ktoś, kto ma coś na sumieniu albo planuje uczynić coś niestosownego! Na przykład umówić się z obcą kobietą! Przygryzła nerwowo wargę. Czy powinna za nim pójść i zobaczyć, co knuje? Oczywiście! Zosia zasługiwała na to, by być szczęśliwą mężatką, a z pewnością nią nie będzie, jeśli kolejny facet w jej życiu okaże się zdrajcą! Ona, Zojka, musi się dowiedzieć, czy szczęście kuzynki nie jest zagrożone. Była jej to winna, za wypłakane łzy i nieprzespane noce związane z odwołanym weselem, podartymi zaproszeniami i białą szpilką tkwiącą na dachu garażu!

Przezornie odczekała, aż mężczyzna zniknie między drzewami, po czym ruszyła za nim. Skradała się jak najciszej, ostrożnie stawiając stopy, by nie trzaskały pod nimi deptane gałązki. Nie na darmo była fanką powieści kryminalnych! Doskonale wiedziała, że to właśnie jedna złośliwa trzaskająca gałązka zazwyczaj decydowała o tym, że psychopatyczny morderca wpadał na trop ukrywającej się ofiary i dopełniał zbrodni.

Sołtys powoli posuwał się w głąb lasu, a zdyszana Zojka podążała za nim, podbiegając od drzewa do drzewa i przyciskając plecy do kolejnych chropowatych pni. To miała być przechadzka dla relaksu, pomyślała rozdrażniona, kiedy mężczyzna nerwowo obejrzał się za siebie, a ona przypadła do leśnego poszycia, nieomal wtykając nos w wyprodukowane przez sarny czarne bobki.

Kiedy uniosła się na klęczki i strzepnęła z ubrania liście, zauważyła, że mężczyzna zniknął jej z oczu. Zakłęta cicho i przez moment zastanawiała się, co robić dalej. O nie, taka drobnostka na pewno jej nie powstrzyma, musi się dowiedzieć, co knuje sołtys! Miała nad nim przewagę, to był jej las, a on był przyjezdny, czyż nie?

Ruszyła leśnym traktem przed siebie, starając się iść cicho i rozglądając się na boki. Niestety, wszystko wskazywało na to, że mężczyzna zapadł się pod ziemię, a jej akcja demaskacyjna jest skazana na porażkę! Postanowiła dojść do leśnej polany, gdzie często jeździli na rowerach, by zrywać dojrzewające maliny i ostreżnice. Jeśli nie znajdzie brodacza, to przynajmniej zafunduje sobie kolejne miłe wspomnienia.

Szła przed siebie, delektując się śpiewem ptaków i szelestem drzew nad głową, gdy nagle ciszę przerwał warkot pił mechanicznych. Zojka skrzywiła się boleśnie. To nie był odgłos, na jaki liczyli ludzie odwiedzający pachnący, zielony las! Pewnie wycinają drzewa, pomyślała rozżłoszczona.

Zbliżała się do polany, kiedy między drzewami mig-nęło jej coś niebieskiego. Natychmiast wskoczyła w zarośla i przedzierając się między gałęziami, usiłowała coś dojrzeć w oddali. Nagle drgnęła. Tuż przed nią w gęstej zielonej trawie ktoś leżał! Wyraźnie widziała ciemną kurtkę i czapkę nasuniętą na głowę. Sołtys! Z miejsca, w którym przycupnęła, nie dostrzegała szczegółów, ale z ruchu jego ramion wywnioskowała, że co chwila podnosi coś do oczu. Lornetkę? W tej samej chwili na polanie ponownie mignęło coś niebieskiego. Zojka wyteżyła wzrok i wstrzymała oddech z wrażenia. Nieopodal kręciła się młoda dziewczyna w niebieskim podkoszulku i króciutkich szortach. Wydatne piersi kołysały się, ilekroć schyliła się, by pozbierać rozrzucone gałęzie.

– A to buc! – powiedziała w myśli. – Przychodzi tu podglądać nastolatki, zboczuch jeden!

Oburzona zachowaniem mężczyzny, bez zastanowienia wyrwała się do przodu i skoczyła na plecy leżącego. Z jego piersi wydobyło się zduszone jęknięcie, broda uderzyła o miękkie poszycie, a trzymany w dłoniach aparat z teleobiektywem potoczył się w trawę. Zdjęcia? Jeszcze lepiej! – wściekła się Zojka. – Pewnie sprzedaje na pornograficznych stronach dla leśników czy innych takich, co to się podniecają krzaczkami borówek lub korą drzew! Zaatakowany usiłował rzucić niespodziewany ciężar, ale Zojka trzymała się mocno, łomocząc pięściami w twarde mięśnie pleców i ramion mężczyzny i miotając przekleństwa w imieniu własnym i kuzynki. Kątem oka dostrzegła, że zaalarmowana zamieszaniem dziewczyna umyka ścieżką, a tuż za nią podąża dwóch mężczyzn. Jeden z nich trzymał pod pachą piłę.

Moment dekoncentracji kosztował Zojkę utratę kontroli nad mężczyzną, a ten natychmiast to wykorzystał, zrzucając ją z siebie i przygwoźdżając do poszycia.

Zojka spojrzała w jego wykrzywioną wściekłością twarz i jęknęła:

– O, Jezu, to już koniec...

Mężczyzna dyszał z wściekłości. Zojka widziała też, jak drga mięsień na jego policzku. Boże, on mnie tu zabije, pomyślała spanikowana. Redaktor Marcin Kordecki zacisnął jednak mocno zęby i tylko patrzył na nią z morderczym błyskiem w oku.

– Co ty wyprawiasz, durna kobieto? – wysyczał, zbliżając swoją twarz do jej twarzy. Zojce przemknęło przez myśl, że po raz pierwszy od wielu lat po prostu nie wie, co powiedzieć.

– Co się dzieje? – rozległo się zza krzaków.

Kordecki podniósł się na nogi, równocześnie gwałtownie podrywając Zojkę do pozycji stojącej. Rozmasowywała obolałe przedramię, popatrując na niego ponuro i zastanawiając się, co właśnie zaszło. Trzasnęły rozgarniane gałęzie i z zarośli wyłonił się zziąjany sołtys. Na głowie miał identyczną czapkę z daszkiem, ale jego kurtka była zielonkawa, nie szara jak redaktora. Zojka zakłęta w duchu. Jak mogła się tak pomylić?

– Ta wariatka wskoczyła mi na plecy i wszystkich przepłoszyła! – warknął redaktor.

Zojka oburzyła się, słysząc to określenie i zamachała niecierpliwie rękoma. Sołtys pokręcił głową zniechęcony.

– Co pani tu robi? – zapytał, nie dopuszczając jej do głosu. – Dlaczego skacze pani po Kordeckim?

– Po nikim nie skaczę! – zaprzeczyła gwałtownie. Zrozumiała, że aby wyjść z tej sytuacji obronną ręką, musi pominąć swój plan przyłapania sołtysa na leśnej schadzce. – Najzwyczajniej w świecie wyszłam sobie na spacer, idę, idę, idę i nagle widzę, leży facet na ziemi i zdjęcia robi. Dziewczynie niczego nieświadomej. Żal mi się jej zrobiło, bo co taka winna, że zboczeniec po lesie grasuje i fotki cyka?

– Nie jestem... – zaczął Kordecki, ale sołtys uciszył go gwałtownym „psst”.

– Czy to jej wina, że o kleszczach nie słyszała i do lasu przyszła w krótkich gaciach? A potem by się zdziwiła, widząc swoje zdjęcia na ostatniej stronie „Faktu” albo jeszcze lepiej. Albo gorzej. Więc bez zastanowienia zboczeńca łup! – kontynuowała zaaferowana Zojka, na koniec dodając z dumną miną: – A ta biedna dziewczyna uciekła. Tak się pewnie zawstydziła...

– To nie była biedna dziewczyna! – ryknął czerwony na twarzy Kordecki. – Razem z braćmi wycina nielegalnie drzewa! Od ponad pół roku próbujemy ich przyłapać na gorącym uczynku i zdobyć dla policji materiał dowodowy! – Potrząsnął podniesionym z trawy aparatem. – Oczywiście, że uciekła a razem z nią także współnicy! I zapewniam cię, że nie byli ani trochę zawstydzeni!

– Oj! – Zojka poczuła, że robi się jej gorąco. Zerknęła na sołtysa, jakby szukając potwierdzenia. – Naprawdę?

– Naprawdę! – mruknął ktoś za jej plecami. Zojka odwróciła się nieznacznie i zobaczyła Cyryła Wojdaka, miejscowego leśniczego. Jego twarz również była ponura, co stanowiło dla niej najlepsze potwierdzenie, jak bardzo narozrabiała.

– I chodziło o drzewa? – upewniała się.

– Powinniście postawić przed wejściem do lasu specjalne tabliczki z napisem *Wariatkom wstęp wzbroniony* – mruknął w kierunku leśnika Kordecki, pakując aparat do futerału. Nie oglądając się na sprawczynię całego zamieszania, ruszył w kierunku traktu. Zojkę doleciały jednak ostatnie słowa: – Jak nie wozi przy sobie obciętych rąk i nie wplątuje uczciwych ludzi w policyjne dochodzenia, to trampolinę sobie urządza i niweczy pół roku roboty! Co za kobieta!

Zojka poczuła, jak ogarnia ją zniechęcenie. Nie oglądając się na pozostałych mężczyzn, powoli noga za nogą powlokła się za redaktorem. Dziennikarz gnał przez las, jakby goniło go stado dzików, ale jej było to na rękę. Na myśl, że mógłby na nią zaczekać i czynić kolejne wymówki, poczuła zimne dreszcze. Nie musiał tego robić, i tak czuła się fatalnie.

To wszystko przez to, że miesza się do cudzych spraw – pomyślała, wychodząc z lasu i skręcając na ścieżkę wiodącą w kierunku skarpy. – No, ale przecież chodziło o Zosię i naprawdę chciałam dobrze...

Usłyszała wołanie i odwróciła się za siebie. Dróżką niezdarnie truchtał sołtys. Jego brodata twarz była uśmiechnięta.

– Przepraszam – bąknęła. – Nie chciałam wam zepsuć akcji.

– Proszę się nie przejmować. – Machnął ręką. – Będzie jeszcze okazja, by ich złapać, tak szybko nie porzucą swojego proceduru. A ja, no, chciałem, eee... żeby się pani nie przejmowała Kordeckim. On nerwowy jest.

Pokiwała głową.

– To widać – stwierdziła. – Nawet mu się nie dziwię. Pewnie go wystraszyłam. A wcześniej jeszcze ta sprawa z uciętą dłonią...

– No, właśnie. – Sołtys przestąpił z nogi na nogę. – Czy coś się wyjaśniło?

– Właśnie nie bardzo. Czekam, aż policja da mi znać, że mogę wracać do Krakowa.

– Z tego co słyszałem, zajmują się identyfikacją...

– Dłoni? – zainteresowała się Zojka. – A w jaki sposób?

– Hmm, myślę, że poprzez odciski palców. Nie wiem, co z tego wyjdzie, ale może wkrótce się okaże, jakiego pasażera na gapę pani przewoziła – zażartował. Zojce do śmiechu nie było. Zdecydowała się zmienić temat.

– Gratulacje z okazji zaręczyn.

– Dziękuję. – Rozpromienił się. – Zosia wyraża się o pani w samych superlatywach. – Na pewno, pomyślała Zojka, unosząc brwi z niedowierzaniem. – Myślę, że skoro wkrótce będziemy rodziną, możemy mówić sobie po imieniu – dodał.

– Tak – zgodziła się, wyciągając rękę. – Zojka.

– Mikołaj.

– Muszę już iść. – Uczyniła znaczący gest w kierunku ścieżki.

Pokiwał jej ręką na pożegnanie, a ona czym prędzej czmychnęła w zarośla i zaczęła wspinać się dróżką przecinającą skarpe.

– Tak, muszę już iść – mamrotała pod nosem, przytrzymując się kolejnych pni – by opowiedzieć babuni, co nawywijałam tym razem...

• Rozdział siódmy •

W poniedziałkowe przedpołudnie mieszkańcy Wadowic cieszyli się piękną, słoneczną pogodą. Aspirant Paweł Chochołek zgrabnie przeskoczył nad stertą ułożonych na chodniku paczek, równocześnie przełykając kupioną w Galicjance babeczkę. Zmierzał właśnie na spotkanie z prokuratorką Wandą Niewiadomską, kiedy dobiegające z brzucha donośne burczenie zmusiło go do wstąpienia do kawiarni i sięgnięcia po słodki przysmak. Wylizując z papierowej papilotki ostatnie okruszki, pomyślał zadowolony, że teraz już nic nie zakłóci jego spotkania z szefową prokuratury rejonowej.

Choć sam przed sobą nie chciał tego przyznać, kobieta zajmująca od niedawna stanowisko prokuratora rejonowego wzbudzała w nim irracjonalny strach. Już podczas pierwszego spotkania taksowała go przenikliwym spojrzeniem, od którego pot perlił się na czole, uszy przybierały kolor dojrzałej jarzębiny, a kanty na spodniach same się prostowały. Pierwsze słowa, które do niego skierowała, zaczęły się od: „Kto był tak nieprofesjonalny, by...” i od tamtej pory używała ich z największą przyjemnością. A czy to jego, Chochołka, wina, że od piętnastu lat pracował w wadowickiej komendzie, a morderstwa oglądał wyłącznie w serialach kryminalnych? Skąd mógł wiedzieć, że źle robi, zwalniając świadków, zanim pani prokurator pojawiła się na miejscu zdarzenia? Za Kordeckiego to rękę by sobie dał uciąć, choć zważywszy na charakter zdarzenia, było to dość niefortunne porównanie. Dziewczyna wyglądała jak lelum polelum do kwadratu, a tego rzygającego... a tego rzygającego to nawet oglądać nie chciał, bo sam miał wrażliwy żołądek.

Podczas przesłuchania na komendzie nie pozwoliła mu wspomnieć, kim jest i tylko świdrowała świadków tymi czarnymi, malutkimi oczkami. Naturalnie redaktor Kordecki nie dał się podejść, osobiście pisał o jej nominacji i świetnie wiedział, z kim ma do czynienia. Konduktor wcale nie zauważył, że poza Chochołkiem ktoś znajduje się w pokoju i tylko użalał się na zarobki i cięcia w połączeniach regionalnych, a chłopak od pawia wyglądał jak wczorajszy i ciągle dopytywał, czy ta kiełbasa swojska na pewno była wieprzowa...

I tylko w dziewczynę od torebki na wieść o obecności prokuratora jakby piorun strzelił. Zbladła, poczerwieniała, wybełkotała coś niezrozumiale.

– Ale dlaczego? – zapytał później, mając na myśli nietypowe techniki przesłuchań praktykowane przez panią prokurator.

– Właśnie dlatego – powiedziała z zadowoloną miną. Chochołek wzruszył ramionami. Wstydził się przyznać, że doświadczenia brakuje mu do tego stopnia, że nawet nie wie, czy to, co zarządziła, jest zgodne z przepisami. Ona rządzi, pomyślał.

– Ja tu rządę – potwierdziła jego domysły z chytrym uśmieszkiem, po czym stuknęła ciemnoczerwonym lśniącym paznokciem w protokół z przesłuchania Zojki Tuszyńskiej. – Ona ma z tym coś wspólnego! A pan odkryje co! – Wychodząc z pokoju Chochółka, przystanęła w drzwiach i uśmiechnęła się krzywo. – I proszę lepiej pilnować skarpetek! To wygląda bardzo nieprofesjonalnie.

– Co? Co? – wybełkotał zdumiony.

– Skarpetek! – posłała znaczące spojrzenie w kierunku jego stóp i wyszła.

Aspirant uniósł nieznacznie nogawki służbowych spodni i nieszczęśliwym spojrzeniem zlustrował skarpetki. Jedna była granatowa, a druga jaskrawofioletowa. Znowu wyszedł przed nią na bałwana!

Ale dzisiaj będzie inaczej, pomyślał wesoło, mijając sklep z dekoracjami i pnąc się wąską uliczką w kierunku budynku sądu. Jestem przygotowany, mam ważne informacje i dwie takie same skarpetki. Tym razem nic mi nie zarzuci!

Kiedy dotarł do biura Wandy Niewiadomskiej, pani prokurator właśnie rozmawiała przez telefon. Spojrzała na aspiranta jak na muchę, która upstrzyła kropkami nową lampę, i nieznacznie wskazała mu krzesło za biurkiem. Kiedy siadał, skóra pod jego pośladkami wydała pierdzący odgłos, a on sam zaczerwienił się po korzonki żółtawych włosów.

Wanda Niewiadomska wydała ostatnie dyspozycje i zakończyła rozmowę. Zapięła guziczki granatowego żakietu i sztywno usiadła za biurkiem. Uniosła brew, spoglądając na Chochółka wyczekująco. Policjant natychmiast zapomniał o wesołości, jaka towarzyszyła mu w drodze do siedziby prokuratury. Nagle poczuł się, jak uczeń wezwany przed oblicze srogiej nauczycielki, i to z pewnością nie od biologii czy jakiejś plastyki, ale co najmniej fizyki, chemii albo nawet matematyki!

– Słucham pana, aspirancie. Co ustaliliście? Jakie postępy?

– Eeee... – Chochółek zacisnął palce na trzymanym skoroszycie. – Otrzymaliśmy ekspertyzę odcisków palców. Osoba, do której... należała... dłoń... nie figuruje w rejestrach policyjnych.

– Wiem o tym. Również otrzymałam te dokumenty.

– Nie spodziewaliśmy się tego, to znaczy spodziewaliśmy się...

– To byłby zbyt szczęśliwy zbieg okoliczności – sucho stwierdziła prokurator.

– A więc teraz... zajęliśmy się sprawdzaniem rejestru osób zaginionych, na początek z naszego powiatu. Według biegłego, który zbierał... to znaczy zabezpieczał dłoń, należy ona do osoby młodej, kobiety. Została obcięta – przełknął głośno ślinę – ostrym narzędziem typu maczeta, w przybliżeniu dwa-trzy dni wcześniej...

Prokurator Wanda Niewiadomska skinęła nieznacznie głową, odchylając się na oparcie skórzanego fotela.

– Tutaj nie wskóramy wiele... – zamyśliła się. – Szczegółowa ekspertyza, DNA, to wszystko zajmie trochę czasu, zakład medycyny sądowej ma nawał pracy. Musimy zająć się tą sprawą od drugiej strony. Skupmy się na Zofii Tuszyńskiej. Ona jest z tym powiązana, czuję to! Co mamy?

– O! – ożywił się Chochołek, kartkując zawartość skoroszytu. – Mamy naprawdę sporo! Sprawdziłem jej zeznania. Wszystko się zgadza. Bus jej uciekł, do miasta przyjechała z Mikołajem Maliszewskim. Sprawdziłem adres, pod który wiozła wędliny, sąsiadka pamięta ich rozmowę. Potem poszła do kawiarni przy rynku. Kelnerka powiedziała, że zamówiła lody i kawę. Pracownica cukierni potwierdziła, że kupiła u nich ciasto. Zapamiętała ją dobrze, bo długo wybierała i była bardzo, cytuję: upierdliwa. Również obsługa z baru na dworcu potwierdza jej zeznania: kupiła wodę, skorzystała z łazienki i przez chwilę siedziała przy stoliku. Wyszła, ale po jakimś czasie wpadła do baru z impetem w poszukiwaniu torebki. Znalazła ją pod stolikiem i wybiegła. Wszystko się zgadza! – Zadowolony z siebie Chochołek otarł wilgotne czoło i spojrzał na prokuratorkę jak pies oczekujący nagrody w postaci ciasteczka do czyszczenia kamienia nazębnego.

– Z czego pan się cieszy? – Wanda wyprostowała się w fotelu, wbijając w aspiranta lodowate spojrzenie.

– No... – zawahał się – że wszystko się tak układa... ładnie?

– Nic się nie układa! – huknęła Niewiadomska. – Zofia Tuszyńska przewoziła w torebce ludzką dłoń! Ludzką! Czy pan wie, co to oznacza?

– No – stropił się Chochołek. – Chyba to, że należała do człowieka...

Prokurator spojrzała dziko na policjanta.

– To oznacza, że gdzieś na terenie miasta mamy resztę zwłok! Przecież nie wyczarowała sobie tej dłoni różdżką z wierzbowego patyka! Trzeba sprawdzić każdy jej krok, dokładnie, żeby nic nie przeoczyć! Monitoringi miejskie, sklepowe, dostanie pan wszelkie upoważnienia, by zdobyć te materiały. Zofia Tuszyńska twierdzi, że nie miała o niczym pojęcia, ale widziałam jej reakcję na słowo „prokurator”. Ona ma z tym coś wspólnego i musimy to udowodnić! Dostaniemy ją!

– To dlaczego nie wyda pani nakazu zatrzymania? – Chochołek skrzywił się.

– Jest na to zbyt wcześnie, pójdzie w zaparte, że o niczym nie wiedziała. Nawet Kordecki wygląda na przekonanego, że była szczerze zdziwiona widokiem zawartości swojej torebki! Każdy uwierzy tej chodzącej niewinności, nawet pan. – Posłała mu pełne politowania spojrzenie.

Chochołek wyprostował się na krześle i przyglądał grzywkę, by wyglądać bardziej profesjonalnie. Wanda Niewiadomska zamyśliła się, bębniąc palcami o oparcie fotela.

– Wydam nakaz przeszukania. Sprawdzimy, co jeszcze przechowuje panna Tuszyńska. Może pod poduszką trzyma odpiłowaną stopę? – Uśmiechnęła się

krzywo. Aspirant przełknął zbierającą się w ustach ślinę. – Kiedy zobaczy, że mamy ją na oku, spanikuje. Doprowadzi nas do zwłok.

– A jeśli nie? – zaniepokoił się.

– Wtedy będziemy musieli zamknąć śledztwo. Ale nie dopuszczam nawet takiej możliwości. – Pani prokurator uniosła się zza biurka na znak, że spotkanie dobiegło końca.

Chochołek również wstał i wsunawszy pod pachę skoroszyt, skłonił się szefowej prokuratury z szacunkiem. Był z siebie bardzo zadowolony. Strach ma wielkie oczy, pomyślał. Zaprezentował się profesjonalnie, nie mogła mu nic zarzucić. Pozwolił sobie na delikatny uśmiech. Wanda Niewiadomska sięgnęła po leżące na biurku dokumenty, ale w ostatniej chwili spojrzała na niego pogardliwie. Poklepała palcem miejsce pod dolną wargą.

– Ach, zapomniałabym. Panie aspirancie, ma pan okruchy na brodzie...

Chochołek poczuł, jak kurczy się pod jej spojrzeniem. Czmychnął na korytarz niczym spłoszona mysz i zmierzając w kierunku wyjścia, przeklinał pod nosem. Obiecał sobie w duchu, że ustali, do kogo należała ucięta dłoń i w jaki sposób trafiła do torebki Zojki Tuszyńskiej. A kiedy już odkryje, jak wygląda prawda, rzuci nią prosto w twarz bezczelnej prokuratorce i raz na zawsze zmiecie z jej oblicza namalowany szminką uśmiezek.

W czasie, kiedy aspirant Paweł Chochołek w myśli zsyłał na głowę prokurator Wandy Niewiadomskiej wszelkie nieszczęścia tego świata łącznie z chorobą weneryczną i wrzodową, babunia Łyczakowa starała się przywrócić Zojce dobry nastrój. Niebagatelne zadanie miała przed sobą, bo odkąd wnuczka powróciła z sobotniej przechadzki po lesie, była ponura jak chmura gradowa, a w końcu oświadczyła, że jest chodzącą katastrofą, która nic nie robi, tylko sprowadza tarapaty na siebie i innych. I że najlepiej będzie, jeśli zaszyje się w gościnnym pokoju i nosa z niego wyściubiać nie będzie do końca świata, a przynajmniej do czasu, jak udowodnią, że znaleziona ręka nie należy do niej. Nic zatem dziwnego, że zafrasowana staruszka zdecydowała się sięgnąć po ciężką artylerię!

Wkrótce domek na wzgórzu wypełnił się aromatem świeżo upieczonego ciasta drożdżowego, a kiedy znęcona smakowitym zapachem Zojka zawędrowała do kuchni, przekonała się, że babunia przygotowała jej ulubiony placek z kruszonką.

– Nie mogę tak bez końca siedzieć w pokoju, bo oszaleję – stwierdziła, siadając za stołem i przysuwając w swoją stronę blaszkę z ciastem.

– Nowy tydzień, nowe możliwości – odrzekła sentencjonalnie staruszka.

– Hmm, babuniu, skąd u ciebie tyle mądrości?

– Z programu *Pytanie na śniadanie*. A tak poza tym to trochę już przeżyłam – mruknęła starsza pani, sięgając po talerzyki.

– Ostatnio nie po drodze mi z telewizją. – Zojka skrzywiła się, obskubując z

wierzchu placka kawałeczki kruszonki i pakując je do ust. Kruszonka była jej ulubioną częścią ciasta, w dzieciństwie zawsze obrywała w ten sposób wszystkie wypieki, wcale nie ograniczając się do własnego talerza. Dlatego ciasto, które babunia upiekła dla niej na poprawę humoru, w ich rodzinie nazywało się oberwańcem. – A gazety czytam zazwyczaj dopiero, gdy sąsiadka z parteru odłoży je na makulaturę.

– O, po gazety bym częściej sięgała na twoim miejscu. I nie czekała na odpadki po sąsiadce.

– A to niby dlaczego?

– Chociażby dlatego, że w dzisiejszej piszą o tobie – palnęła staruszka. Na widok wyrazu twarzy wnuczki skrzywiła się, jakby przypadkowo przygryzła koniuszek języka. – No co tak patrzysz? To oczywiste, że napisali artykuł o takim makabrycznym znalezisku w pociągu!

– O, Boże! – Zojka poczuła, że przechodzi jej cały apetyt na ciasto drożdżowe, dobrze, że zdążyła chociaż obskubać i zjeść większość kruszonki. – Ja to rozumiem, że ręka, że obcięta i że afera na pięć wsi, ale czy naprawdę musiano wymienić właśnie mnie?

– Jesteście, jak by to powiedzieć, powiązane – stwierdziła z przekąsem babunia, pałaszując ciasto.

– Gdzie ta gazeta?

Babunia usiłowała wmówić Zojce, że gazety nie ma i nie było. To znaczy była, na stojaku w sklepie, ale ona nie kupowała, bo i po co? No, po co kupować gazetę, skoro już się ją przeczytało na miejscu? Przyciśnięta do muru przyznała w końcu, że owszem, kupiła, ale zupełnie nie pamięta, gdzie położyła. Całkiem możliwe, że wcale jej nie zabrała ze sklepu. Albo że zgubiła po drodze. Ostatecznie gazeta zmaterializowała się w pokoju babuni, gdzie starannie złożona leżała sobie pod ubraniem do trumny.

– Ubraniem do... czego? – wykrzyknęła przerażona Zojka, gdy babunia nareszcie wskazała miejsce, gdzie znajduje się lokalny periodyk.

– Do trumny. No co tak patrzysz, co? – warknęła staruszka. – Młoda jeszcze jestem, ale rozsądna. I wiem, że na różne sytuacje trzeba być przygotowanym. Nikomu dziś ufać nie można. Kościelna całe życie w koralach chodziła, a do trumny jej zdjęli, bo szkoda. Skąd mam wiedzieć, czy mnie do pudła nie zapakują w gumowcach i starej spódnicy?

– Po prostu daj mi tę gazetę, babuniu – poprosiła zduszonym głosem Zojka. Wróciła do stołu, rozłożyła zadrukowaną płachtę i zaczęła przerzucać stronicę w poszukiwaniu wzmianki o piątkowych wydarzeniach. Kiedy w końcu natrafiła na krótką notatkę i przebiegła ją wzrokiem, zaklęła szpetnie i odszukała pod artykułem nazwisko autora. – Oczywiście! – parsknęła wściekle.

MAKABRYCZNE ZNALEZISKO W DAMSKIEJ TOREBCE

DO DZIWNYCH WYDARZEŃ DOSZŁO W PIĄTKOWE POPOŁUDNIE W POCIĄGU RELACJI BIELSKO-BIAŁA GŁÓWNA – KRAKÓW PŁASZÓW. WEDŁUG RELACJI NAOCZNYCH ŚWIADKÓW TUŻ PO ODJEŹDZIE SKŁADU ZE STACJI KOLEJOWEJ W WADOWICACH Z TOREBKI JEDNEJ Z PASAŻEREK WYŁONIŁO SIĘ NIETYPOWE ZNALEZISKO. WEZWANA NA MIEJSCE ZDARZENIA POLICJA ZABEZPIECZYŁA MATERIAŁ DOWODOWY I DOKONAŁA RUTYNOWYCH PRZESŁUCHAŃ. ASPIRANT PAWEŁ CHOCHOŁEK Z KOMENDY POWIATOWEJ W WADOWICACH NIE UDZIELIŁ PRZEDSTAWICIELOM PRASY INFORMACJI, CZY WŁAŚCICIELCE TOREBKI ZOSTANĄ POSTAWIONE ZARZUTY ZWIĄZANE Z NIEAPETYCZNĄ ZAWARTOŚCIĄ. BEZ WĄTPIENIA PRZEZ DŁUGI CZAS LEKKOMYŚLNA DAMA ODMÓWI SOBIE KALORYCZNYCH DESERÓW, CO WYJDZIE JEJ TYLKO NA ZDROWIE. NIE OD DZIŚ WIADOMO, ŻE CUKIER W NADMIARZE SZKODZI, JAK SIĘ OKAZUJE: W TYM PRZYPADKU NIE TYLKO SYLWETCE.

– Nie wierzę! – Zojka poczuła, że jest bliska eksplozji. – Kordecki!

– Oj! – mruknęła babunia. – Wiedziałam, co robię, chowając gazetę do szafy. Ale spójrz na to z innej strony, całkiem ładnie o tobie napisał...

– Gdzie? – Zojka zmięła gazetę w kulkę i wycelowała nią do kubelka na węgiel, by po chwili wydobyć ją i na powrót wygładzić. – Gdzie ładnie?

– O, tu chociażby... – Babunia wyciągnęła sękaty palec w kierunku artykułu.

– Właścicielka torebki. Bardzo ładnie. Mógł przecież napisać „amatorka odciętych kończyn” albo „rzucająca dłońmi”. To by dopiero było!

– Wtedy bym go zabiła. A tak to go jedynie ukatrupię...

– A ja chciałam ci poprawić humor – westchnęła babunia, sięgając po blaszkę z ciastem. – Wyciągnąć cię z pokoju...

– I wyciągnęłaś, możesz być pewna! – Wnuczka kiwnęła głową. – Przecież w pokoju gada nie dorwę, prawda?

Redaktor Marcin Kordecki szczęśliwie nie był świadomy, jak jego notatka na temat wydarzeń w pociągu wpłynęła na wysokie ciśnienie panny Tuszyńskiej. Przejrzał najnowsze wydanie „Kroniki Wadowickiej”, zadowolony pokiwał głową nad pierwszą stroną, gdzie napisano o wybrykach lokalnego polityka, pomruczał nad najnowszymi ogłoszeniami, złorzecząc, że są coraz bardziej pstrokate, starannie zwinął gazetę w rulonik, a następnie udał się do siedziby Urzędu Miasta, gdzie dyskutowano na temat inwestycji związanych z budową centrum handlowego.

W drodze powrotnej wstąpił na obiad do Pestki, tam pochłonął potężną porcję żeberek w sosie barbecue z grillowaną kukurydzą i pieczonymi ziemniaczkami. Po posiłku zamówił jeszcze mocne espresso i kawałek szarlotki z

lodami waniliowymi. Wsuwając między wargi kopiastrą łyżeczkę deseru, przypomniał sobie zdarzenia sprzed dwóch dni i niesforną młodą kobietę.

Na myśl o niej zaczerpnął mocno powietrza i pokręcił głową zniesmaczony.

Zojka Tuszyńska była najbardziej nieznośną istotą, jaka kiedykolwiek stanęła na jego drodze. Na szczęście nic nie zapowiadało, by miał mieć z nią cokolwiek wspólnego. Co prawda właściciel gazety zasugerował mu przeprowadzenie wywiadu z „właścicielką feralnej torebki”, ale Kordecki szybko wybił mu to z głowy. „To nieapetyczna historia i nie wiadomo, jak się zakończy. Lepiej żebyśmy nie byli z nią kojarzeni” – wyjaśnił, nie wnikając, czy chodzi mu o samą historię, czy bardziej o jej osobliwą bohaterkę...

– Totalna wariatka! – warknął, atakując gałkę lodów waniliowych. Przechodząca obok stolika kelnerka posłała mu oburzone spojrzenie, więc czym prędzej uiszczył należność i wyszedł na ulicę.

Resztę popołudnia planował spędzić w swoim gabinecie na odpisywaniu na zaległe wiadomości mailowe, ledwie jednak przekroczył drzwi redakcji, zaatakowano go dziesiątkami spraw. Teksty, poprawki, redakcje, reklamy, wszystko wymagało jego uwagi.

– Zadzwoń do Michalika i zapytaj, czy nie mógłby zmienić wyglądu reklamy. My naprawdę nie chcielibyśmy ingerować, ale czy części do maszyn do szycia musi promować za pomocą damskiego biustu? – rozżłościł się, wskazując duży baner na ósmej stronie. – To samo mleczarnia... ta dojarka... nie, nie, nie. I windy.

– Co z nimi? – Jego zastępczyni, Iga Kozłowska, poprawiła na nosie okulary w grubych oprawkach.

– „Dzięki nam zaszczytujesz”? Co to ma być?

– Uhm. Zanotowane. – Skinęła głową. – Redaktorze?

– Co?

– Mamy jeszcze mały problem z pocztą.

– Postraszyć komornikiem.

– Nie, nie chodzi o reklamę... Zofia Tuszyńska. Nikt taki u nas nie pracuje, prawda?

– Na szczęście nie. – Kordecki skrzywił się boleśnie. – Co z nią?

– No, ktoś zostawił u nas paczkę zaadresowaną na tę Zofię... wyrzucić?

– Wyrzucić. – Zamachał niecierpliwie ręką, ruszając w kierunku gabinetu, jednak w ostatniej chwili zawrócił. – Albo lepiej nie. Znam tę kobietę i podejrzewam, że z tej paczki wyjdzie niezła chryja.

– Ryja, szefie? – Zastępczyni zmarszczyła nos.

– Ryja? – zaśmiał się. – Tylko bez ryja, Iga! Oby zakończyło się na stopie!

– Cześć, Janku! – słodko ćwierkała do telefonu Zojka. Babunia znacząco przewróciła oczami, przeżuwając kolejny kęs drożdżowego. – Dziękuję, wszystko

u mnie w porządku. U ciebie też? No to super, bardzo się cieszę... wiesz, dzwonię do ciebie, bo potrzebuję pomocy. Przydałby mi się adres redaktora Kordeckiego. Tak, tak, Marcina, twojego przyjaciela, no przecież wiem, że się przyjaźnicie. Uhm, tak, domowy koniecznie. Po co? No, jak to po co, ciasto mu upiekłam w podziękowaniu. Piernika. Za co? Nie wnikaj, to takie tam między nami. Tak? No, to super, bardzo ci dziękuję. Oczywiście, że wpadnę, tylko najpierw załatwię redaktora, to znaczy sprawy z redaktorem. Tak, ty też się trzymaj! – Przerwała połączenie, wydobywając z siebie gwałtowne „uff” i odgarniając z czoła wilgotne kosmyki.

– Ciasto mu upiekłam? – powtórzyła zdezorientowana babunia. – Przecież mówiłaś, że chcesz go ukatrupić!

– Oczywiście, że chcę! Ciasto to tylko pretekst, by do niego dotrzeć! – prychnęła młoda kobieta, siadając za stołem.

– Ale przecież nie upiekłaś i nie masz żadnego ciasta!

– Właśnie, że mam. – Zojka nachyliła się w kierunku do połowy opróżnionej blaszki z plackiem drożdżowym, jednak babunia szybciotko porwała wypiek w swoją stronę. – Babuniu, daj mi to ciasto!

– Nie dasz mu placka drożdżowego, z którego zjarłaś całą kruszonkę! – oburzyła się staruszka.

– Oczywiście, że nie dam! Nie zasługuje nawet na taki! – Na wspomnienie krótkiego artykułu w „Kronice Wadowickiej” Zojka aż poczerwieniała, bynajmniej nie z radości. Złapała leżące na parapecie czasopismo z sudoku i zaczęła się nim wachlować, równocześnie obserwując ukradkiem babunię. Prędzej czy później starsza pani spuści z oka blaszkę z ciastem, a wtedy ona porwie ją w try miga i będzie mogła zrealizować plan ZZZ, który sprowadzał się do trzech prostych czynności dokonanych na osobie redaktora Marcina Kordeckiego: zaskoczyć, zdezorientować, zmasakrować.

Nie ma tego tamtego, myślała rozgoryczona. Taki złośliwiec musi zostać ukarany!

– Przecież muszę mieć coś w rękach, żeby myślał, że przychodzę w pokojowych zamiarach! Ciasto nadaje się idealnie. Na amerykańskich filmach wszyscy odwiedzają sąsiadów z ciastami. Dzięki temu mogą bezkarnie obejrzeć ich domy i sprawdzić, czy są bogatsi od nich – tłumaczyła. – Pokażę ciasto, wejść, a potem...

Babunia zachichotała pod nosem, odsłaniając koronkową firankę i zerkając na podwórko.

– Coś mi się wydaje, że musisz zmienić plany. Pod dom właśnie podjeżdża policja i coś mi mówi, że nie przyjechali na drożdżowe z kruszonką!

Kiedy rozległo się stukanie do drzwi, babunia podreptała otworzyć, a Zojka z ponurą miną i ramionami wojowniczo skrzyżowanymi na piersi oparła się o piec i

oczekiwała nadejścia policjantów. Przez myśl przemknęło jej, że staruszka trochę nazbyt entuzjastycznie rzuciła się na powitanie stróżów prawa. Pokręciła głową z niedowierzaniem: dla babuni Łyczakowej to wszystko było znakomitą przygodą, a ona sama powoli miała dość ambarasu z uciętą dłonią i jej następstwami.

Z sieni dobiegły głosy i dudniące kroki, więc skupiła uwagę na drzwiach. Na czele pochodu kroczyła zaróżowiona z podniecenia babunia, co rusz oglądająca się na podążających za nią mężczyzn. Tuż po staruszce w kuchni pojawił się policjant, który przesłuchiwał Zojkę na stacji i w komendzie. Kobieta przyjrzała mu się z zainteresowaniem. Już wcześniej zauważyła, że ma wydatne czoło i żółtawe włosy, które teraz były, no cóż, po prostu mokre. Najwyraźniej policyjna czapka słabo przepuszcza powietrze, pomyślała. Jak on to się nazywa? Niziołek? Koziołek?

– Aspirant Paweł Chochołek z Komendy Powiatowej Policji w Wadowicach. Pani Zofia Tuszyńska? – zagrzemiał donośnie.

– Nie, Łyczak – wtrąciła babunia, wysuwając się na przód. Policjant spojrzał na staruszkę stropiony, a Zojka o mało nie parsknęła śmiechem. Pospiesznie złapała babunię za łokieć i usadziła przy stole.

– Policja pyta o mnie, babuniu! – wyjaśniła, po czym posłała Chochołkowi chmurne spojrzenie. – No, przecież pan wie, że to ja! Po co te wygłupy!

– To nie wygłupy, tylko procedury! – oburzył się Chochołek.

– Na jedno wychodzi – mruknęła babunia. Zojka zdecydowała, że najwyższa pora uciąć te czcze, nieprowadzące donikąd pogawędki. Aspirant Chochołek przybył do domku na wzgórzu w jakimś konkretnym celu. Zamierzała dowiedzieć się, w jakim, i szybko odprawić nieoczekiwanych gości. Bądź co bądź miała na ten wieczór sprecyzowane plany i zamierzała je urzeczywistnić.

– Dobrze już, nazywam się Zofia Tuszyńska i mogę to powtarzać dla policyjnej satysfakcji nawet sto razy. O co chodzi, panie aspirancie?

– No? – zainteresowała się babunia.

– Musimy przeszukać dom.

Zojka spojrzała na policjanta z politowaniem. Czy naprawdę miał ją za pierwszą naiwną?

– Nie może pan przeszukać domu! Do tego trzeba mieć nakaz! – zawołała. I zaraz dodała, by nie wziął jej za zatwardziałą kryminalistkę, znakomicie obeznaną w kuluarach policyjnego prawa: – Widziałam na filmie.

– Aha, a tu się pani zdziwi, bo mamy nakaz. – Chochołek uśmiechnął się chytrze.

– O! – stropiła się Zojka.

Babunia zaś zaczęła ciągnąć aspiranta za połą przy mundurze i dociekliwie dopytywać:

– Aresztujecie moją wnuczkę? Weźmiecie ją do kryminału? Mnie próbowali wsadzić za komunistów, ale się nie dałam. Taki ormowiec we wsi tu był i wie pan

władza...

Zojka osłabła. Czowała się jak balon, z którego wolno ucieka powietrze. Naiwnie sądziła, że skoro ona dobrze wie, że jest niewinna, to policja również powinna o tym wiedzieć i uczyni wszystko, by złapać prawdziwego dystrybutora poobcinanych części ciała. Najwyraźniej przy realnych przestępstwach nie było tak kolorowo jak przy wymyślonych. Stróżom prawa wcale nie zależało, by dopaść rzeczywistego sprawcę. Liczyło się tylko to, że będą mogli wpisać do raportu kolejny numerek pomyślnie zamkniętej sprawy.

– Statystyki pieprzone... – mruknęła pod nosem, pochylając się nad zlewem i ochlapując rozpaloną twarz chłodną wodą.

– Pani coś mówiła? – Aspirant Chochołek oderwał wzrok od babuni, która z wypiekami na twarzy roztaczała przed nim uroki życia na polskiej wsi w czasach PRL-u.

– Że powinni panowie zabrać się do pracy. – Zgrzytnęła zębami.

Usiadła obok babuni i z chmurną miną obserwowała, jak Chochołek zagania towarzyszących mu funkcjonariuszy do pracy. Policjanci rozeszli się po domu i obejściu. Aspirant osobiście zajmował się pokojem Zojki. Spanikowana usiłowała sobie przypomnieć, gdzie cisnęła przyniesione ze sznurka majtki i staniki, i czy na pewno posprzątała jednorazową maszynkę po porannej depilacji nóg. Niby golenie stróżom prawa nie powinno być obce, ale chyba lepiej, jeśli pozostaną oni w słodkiej nieświadomości, że damska skóra zawdzięcza swą gładkość naturalnym skłonnościom, a nie zabiegom, którym towarzyszą bolesne posykiwania, skaleczenia i pianka o zapachu zielonego jabłuszka.

Nie potrafiła usiedzieć na pupie, więc zaczęła krążyć po kuchni. Nogi same poniosły ją w kierunku gościnnego pokoju. Przystanęła w progu i obserwowała pracę Chochołka. No, proszę! Pełna profeska! Rękawiczki, te sprawy.

– Czego właściwie szukacie? – zainteresowała się nagle.

Na dźwięk jej głosu aspirant drgnął, upuszczając stertę kobiecych pisemek o modzie.

– Wszystkiego, co wygląda na niebezpieczne.

– W kuchni mamy noże – zadrwiła. – W kojcu siedzi pies. A babunię już pan poznał.

– Bardziej interesuje nas maczeta, piła...

– To tym obcięto... to? – Spojrzała na niego okrągłymi ze zdumienia oczami. – Fuj!

– Szukamy też ewentualnych... członków.

– W najniższej szufladzie. – Zojka rozpromieniła się. – Preferuje pan w różu czy bardziej neutralne kolory? – Buraczkowy rumieniec Chochołka powiedział jej, że za żadne skarby świata nie skontroluje najniższej szuflady, choćby przechowywała tam zabalsamowane zwłoki, wydzielające zapaszek godny

najdroższego sera. – Przepraszam – bąknęła nieśmiało – ale dla mnie to nowość.

– Dla mnie też – mruknął Chochołek, omijając szerokim łukiem komodę i zabierając się za szafkę nocną. – Cóż, wydaje mi się, że nic tu nie ma, ale musimy jeszcze... – Wywód policjanta przerwał dzwonek komórki. Chochołek podniósł telefon na wysokość oczu, przygryzł wargę, jakby namyślając się, czy konwersacja z rozmówcą warta jest zachodu, by ostatecznie odebrać i przywitać się znudzonym tonem. – Chochołek. Żadnych komentarzy... Co? Co?! – Rozłączył się i spojrzał na Zojkę z namysłem. – No, wygląda na to, że tutaj już kończymy. Jedziemy.

– To jedźcie! – zgodziła się młoda kobieta z entuzjazmem.

Chochołek pokręcił głową z zagadkowym uśmiechem.

– Źle mnie pani zrozumiała, my jedziemy, ale pani pojedzie z nami!

• Rozdział ósmy •

Zojka z morderczym błyskiem w oku wpatrywała się w tył męskiej głowy, próbując przywołać w myślach najbardziej wyrafinowane i brutalne tortury, jakie zdarzyło jej się oglądać w filmach. Jak na złość jej mózg przypominał konsystencją pozostawioną na słońcu galaretkę i nie mogła sobie nic przypomnieć.

W momencie, kiedy aspirant Chochołek oświadczył, że pojedzie z nim, zmiękły jej nogi i musiała na króciutką chwileczkę przysiąść na lekko rozbebeszonym łóżku. Przymknęła powieki i wyciągnęła przed siebie ręce, poddając się losowi. Zniecierpliwiony Chochołek potrząsnął ją za ramię.

– Proszę pani, proszę pani! Musimy się pospieszyć, to ważna sprawa!

Podirytowana Zojka uniosła jedną powiekę. Tak bardzo oczekiwała stalowego chłodu zakładanych kajdanek, że teraz poczuła się jakby... okradziona. Podobne myśli najwyraźniej towarzyszyły babuni, która wtarabaniła się do sypialni z wraskiem, że policja chce jej zarekwirować siekierkę.

– Tak nie można! – tłumaczyła Chochołkowi. – To produkt pierwszej potrzeby w gospodarstwie wiejskim. Zaraz po gumowcach.

– Zostawcie babci Łyczakowej siekierę. – Aspirant machnął ręką w kierunku przestraszonego funkcjonariusza z sypiącym się pod nosem wąsem. – Nie szukamy takiego narzędzia. Nasza rana jest cięta. A od siekiery jest ta, no, trzaskana.

– Sam jesteś babcia – syknęła staruszka, ale udobruchana odzyskanym narzędziem spojrzała na stróżów prawa łaskawszym okiem. Na widok poblądłej Zojki pokiwała głową ze smutkiem. – A więc jednak cię zamykają... pamiętaj, żebyś mi potem wszystko opowiedziała!

– Nikt nikogo nie zamyka! – prychnął Chochołek. – Pani Zojka jest nam potrzebna. Możliwe, że nastąpił przełom.

– Tak? – ucieszyła się młoda kobieta.

– Tak? – rozczarowała się starsza.

Dalej sprawy potoczyły się błyskawicznie. Zojka wraz z aspirantem Chochołkiem i jeszcze jednym policjantem przyjechała do Wadowic. Mundurowi nic jej nie zdradzili, więc z zainteresowaniem wyglądała przez zakurzoną szybę i próbowała zgadnąć, dokąd jadą. Kiedy minęli budynek komendy, trochę się zdziwiła, ale nic nie dała po sobie poznać. Była spokojna, bo przecież przedstawiciel prawa powiedział, że jest potrzebna. Zdenerwowała się tylko raz: kiedy Chochołek dzwonił po „ekipę”. Drugi trup, jęknęła w myślach, albo reszta trupa! Już sama nie wiem, co gorsze, ale chyba ta reszta, bo z drugim to ja nie mam nic wspólnego, nawet torebki.

Aspirant wjechał w ocienioną drzewami ulicę Barską i zatrzymał się przed potężnym budynkiem z szarego kamienia. Poprowadził ją do środka tak szybko, że

nie zdążyła nawet przeczytać, co napisano na tabliczce przytwierdzonej do wejścia. Weszli do pokoju o wysokim suficie i skrzypiącej drewnianej podłodze. Zojka z zaciekawieniem rozejrzała się po wnętrzu. Pod oknem zebrała się grupka czterech osób i odwrócona plecami do wchodzących zażarcie o czymś dyskutowała. Właśnie wtedy Zojka rozpoznała tył męskiej głowy i zaczęła snuć fantazje o wymyślnych torturach.

Przestąpiła z nogi na nogę, a parkiet zatrzeszczał ostrzegawczo. Stojący pod oknem odwrócili się jak na komendę i popatrywali na nich z mieszaniną fascynacji i lęku. Kordecki zacisnął wargi w wąską kreseczkę i spojrzał z naganą na Zojkę.

– Mamy dla ciebie paczkę – rzucił.

Młoda kobieta uniosła brew.

– Mam pokwitować?

– Nie – wtrącił pospiesznie Chochołek. – Chodzi o to, że ta paczka została dostarczona do siedziby „Kroniki”, a przecież pani tutaj nie pracuje. Obawiamy się... to znaczy podejrzewamy, że może być związana z wcześniejszą sprawą. Nie mogliśmy tego zbagatelizować. Sama pani rozumie... wcześniej podrzucono pani dłoń.

– Aha! – Ucieszona Zojka klasnęła w dłonie. – Więc jednak pan mi wierzy, że podrzucono? Bo przez chwilę się martwiłam, że mnie podejrzewacie!

– Ja wierzę... – mruknął cichutko Chochołek. – W każdym razie paczka jest zaadresowana do pani. Tak naprawdę może zawierać wszystko. Buty kupione w sklepie internetowym. Zaległy prezent na pierwszą komunię...

– Rower to by się tu nie zmieścił. – Zojka zmarszczyła nos. Chochołek posłał jej karcące spojrzenie, więc zamilkła.

– Ale równie dobrze to może być coś niebezpiecznego. Narzędzie zbrodni. Trująca substancja. Albo kolejny czło...wiek. W kawałku, oczywiście.

– Oczywiście – zgodziła się potulnie. Nagle się zaniepokoiła. – No, ale wy chcecie, żebym ja to otworzyła? Nic z tego!

– Jak to nic z tego! – zdębiał aspirant. Kordecki zaśmiał się pod nosem.

– Tak to. Ja otworzę i znowu będzie na mnie, że znalazłam. Ja tej paczki nie chcę. Odeślijcie ją! Butów mam po... kostki, a na rowerze jeżdżę rzadko, bo zaraz dostaję zadyszki!

– My ją otworzymy – zaznaczył szybko stróż prawa. – W pani imieniu. Jeśli to buty, będzie pani musiała zrobić dla nich miejsce na półce, ale jeśli to kolejna makabryczna część ciała... no, to sama pani rozumie.

Rozzłoszczona Zojka potrząsnęła głową. Czy ta policja zgłupiała do reszty? Przecież tyle napominają, żeby trzymać się z dala od przestępstw, a teraz kiedy ona robi wszystko, by trzymać się najdalej, jak tylko można, namawiają ją, by otwierała podejrzaną paczkę i ponownie wplątywała się w kabałę? To się kupy nie trzyma i jak kupa śmierdzi!

– Niech pani zrozumie. – Aspirant tłumaczył jak małemu dziecku: – Jeśli to jest to, czego my się obawiamy, to w naszym mieście grasuje morderca! Musimy go złapać!

– No, dobra – skapitulowała. – Niech pan otwiera i miejmy to z głowy!

Aspirant Chochołek ze świstem wypuścił nagromadzone w płucach powietrze, zdjął czapkę, przetarł spocone czoło i skinął na jednego ze stojących w wejściu policjantów. Ten podszedł do biurka, przy którym wcześniej zebrał się Kordecki ze swoimi pracownikami i chwycił w obleczone niebieskimi rękawiczkami dłonie kwadratową paczuszkę. Położył ją na stole stojącym najbliżej aspiranta. Zaciekawiona Zojka wyciągnęła szyję, by lepiej przyjrzeć się przesyłce. Czy będzie w niej coś niezwykłego? Wyglądała zupełnie normalnie.

– Proszę się odsunąć – poinstruował aspirant. W nabożnym skupieniu założył na dłonie podsunięte rękawiczki i ostrożnie podniósł paczkę. Obejrzał ją z każdej strony, ponownie położył na blacie i złapał ostry nożyk. Wprawnym ruchem przeciął szarą taśmę, którą zlepiono brzegi pudełka.

– To trzeba będzie zbadać – instruował suchym tonem. – Na okoliczność odcisków palców, i jeszcze, gdzie można takie kupić...

– W każdym papierniczym – wtrącił Kordecki z porozumiewawczym uśmiechem. – To najzwyklejsza taśma pakowa, aspirancie. Sami takiej używamy.

– Hmm, no tak, ale nie zaszkodzi sprawdzić – upierał się Chochołek. Odsunął nożyk na bok i delikatnie rozchylił brzegi. W pokoju zapadła głucha cisza. Siedem głów pochyliło się nad kartonem zaadresowanym do Zofii Tuszyńskiej.

– Co to jest? – oszołomiony Chochołek wpatrywał się w zawartość paczki.

– Doprawdy nie wiem, jak was sprawdzają przed przyjęciem do policji, skoro nie wiecie oczywistych rzeczy! Przecież to buty! – zawołała Zojka, wyciągając rękę w kierunku pudełka. Kordecki złapał jej nadgarstek niczym w stalową obręcz. Posłała mu obrażone spojrzenie, ale szybko przeniosła je na zawartość przesyłki. – Dlaczego ktoś przesyła mi buty? I to jeszcze białe?

– To nie są zwykłe buty – wtrąciła Iga Kozłowska, zerkając zza ramienia Kordeckiego. – To buty ślubne.

– Ach! – Zojka skrzywiła się rozczarowana. – W takim razie wszystko jasne. To buty mojej kuzynki Zosi Tuszyńskiej. Wkrótce wychodzi za mąż – wyjaśniła zebrany. – Paczka jest dla niej, nie dla mnie. Chwała Bogu.

Kordecki wolno pokręcił głową, nie spuszczać wzroku z rozbebeszonej paczki. W kartonowym pudle znaleźli mniejsze pudełko, a w nim owinięte w pastelowe bibułki błyszczące pantofelki na wysokim obcasiku.

– Nie wydaje mi się.

– Niby czemu? – urażona Zojka podparła się pod boki i spojrzała na niego wojowniczo. – Na paczce napisano Zofia Tuszyńska. Skąd możesz wiedzieć, że chodzi o mnie, a nie o moją kuzynkę, która ślubnych butów potrzebuje milion razy

bardziej niż ja?

– Skąd? A stąd, że te buty pachną kłopotami, a ja już trochę poznałem i Zosię, i ciebie! I jeśli mam wskazać, która z was je przyciąga, to...

– Dobra, nie kończ – zgrzytnęła zębami. – Niech będzie, buty są dla mnie, więc je zabiorę, postawię na półce i będę patrzeć, jak pokrywają się kurzem aż po ozdobną kokardkę. Pasuje?

– Może je pani zabrać, ale dopiero po ekspertyzie. Musimy sprawdzić odciski palców i takie tam. – Zakłopotany Chochołek podrapał się po głowie. W pudełku zaadresowanym do Zofii Tuszyńskiej spodziewał się tysiąca innych rzeczy, a każda z nich była makabryczna i odrażająca, ale z pewnością nie spodziewał się zwyczajnych babskich bucików. Czy chodziło o jakąś ukrytą symbolikę? Jeszcze nigdy nie czuł się tak zgłuptaszony jak w tej chwili!

– Zaraz, zaraz... panie aspirancie, coś wystaje z pantofla! – zawołał nagle podeksycytowany Kordecki, wskazując jeden z bucików.

Chochołek nachylił się nad stołem, mrużąc oczy, by lepiej widzieć w popołudniowym świetle. Sięgnął po leżący na biurku ołówek i przez chwilę gmerał nim we wnętrzu wskazanego bucika. Zebrani w napięciu wpatrywali się w działania policjanta. Ich oczom ukazała się biała chusteczka zwinięta w niezdatny węzełek. Chochołek manewrował ołówkiem, by rozsypać znalezisko bez konieczności ponownego nakładania rękawiczek, jego dłoń leciutko zadrżała. Zojka wstrzymała oddech.

Udało się! Rozplątany skrawek materiału odkrył swoje tajemnice.

Chochołek zmarszczył brwi.

– Zegarek? Wygląda na damski... dodatek do ślubnych butów?

– Raczej do wcześniejszego znaleziska – zauważył Kordecki. – Proszę spojrzeć, aspirancie, są na nim rdzawe ślady. To chyba...

– Krew – wyszeptał pobladły Chochołek.

Zojka poczuła, że słabnie. Pomyślała, że chyba się kurczy, bo z tak bliska parkietu jeszcze nie oglądała. A potem zapadła ciemność.

Zojka powoli odzyskiwała przytomność. Otworzyła oczy i zaskoczona stwierdziła, że wirują przed nimi czarne i czerwone motyle. Pomyślała, że jest na wielkiej łące, kątem oka dostrzegła nawet snopek siana. Nagle snopek poruszył się gwałtownie, przybliżył, oddalił, znowu przybliżył, a z nieba chlusnął na nią deszcz.

– Nie tak bezceremonialnie! – oskarżycielsko zawołał snopek.

Zojka zamrugała kilkakrotnie powiekami i podążyła spojrzeniem za głosem. Snopek przemienił się w czuprynę Chochołka. Za plecami aspiranta dostrzegła Kordeckiego z pustą szklanką w dłoni. Uśmiechał się triumfująco.

– Co e eje? – wyjąkała, ocierając dłonią mokłą twarz.

– Zemdlała pani na widok zakrwawionego zegarka – wyjaśnił policjant. – A redaktor panią, hmmm, ocucił.

– Jeszcze wody? – troskliwie dopytywał Kordecki.

– Dziękuję. Obawiam się, że może być zatruta – sarknęła, podnosząc się z trudem do pozycji siedzącej. Chochołek położył uspokajająco rękę na jej ramieniu. Nie powinna zbyt szybko wstawać, bo jeszcze znowu fiknie koziołka.

Kordecki prychnął lekceważąco.

– Powinnaś się przyzwyczajać.

Zojka wzruszyła ramionami. Trzęsącymi się dłońmi poprawiała mokre włosy. W kieszeni sweterka zlokalizowała paczkę chusteczek higienicznych. Otarła nimi policzki i czoło. Nagle dotarł do niej sens słów dziennikarza.

– Co to znaczy? – dopytywała podejrzliwie. Chochołek spojrzął na redaktora, redaktor na Chochołka. Młoda kobieta spostrzegła, że w pokoju zostali już tylko oni. – O co chodzi?

– Bo kiedy pani zemdląca, podjęliśmy pewną decyzję... – zaczął niepewnie aspirant.

Kordecki spojrzął na niego zirytowany i przerwał bezceremonialnie:

– Pan aspirant podjął, żebyśmy mieli jasność. Ja byłem przeciwny.

– Ale przeciwny przeciw czemu? – plątała się podenerwowana Zojka.

– Chodzi o tę paczkę.

– O moje buty? – Pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Niezupełnie. Raczej o to, co było w butach – westchnął głęboko Chochołek. – To wymaga oczywiście ekspertyzy, ale podejrzewamy, że ślady krwi znalezione na wetkniętym do środka zegarku będą pasowały do dłoni zabezpieczonej w pociągu.

Oszołomiona Zojka spojrzała na aspiranta oczami okrągłymi jak piłeczki pingpongowe, po czym niespokojnie rozejrzała się dookoła. Dość tego siedzenia! Ponownie zaczęła gramolić się na nogi. Chochołek złapał ją za łokieć i podciągnął do pozycji stojącej, głośno przy tym stękając.

– No, to chyba dobrze, że pasują... – powiedziała niepewnie, opadając na stojące nieopodal obrotowe krzesło. – Ręka do zegarka, zegarek do ręki. Tak ma być. Wszystko się układa, no nie?

– Niezupełnie – mruknął Kordecki.

– Nic się nie układa – wyjaśnił płaczliwym tonem aspirant, opadając na drugie krzesło i przesuwając czapkę na tył głowy. – Przecież nie wiemy, kto podrzuca dłonie i zegarki! A ta sprawa z paczką zaadresowaną na pani nazwisko i to jeszcze na adres „Kroniki Wadowickiej”... Toż to jeden wielki bezsens! – zawołał rozpaczliwie.

– Wszystko wskazuje na to, że sprawca podjął jakąś grę – wyjaśnił Kordecki, krzyżując ramiona na piersi i opierając się o biurko pod oknem. Patrzył na Zojkę nieprzyjaźnie. – Z tobą i z nami.

– I stąd nasz... – wtrącił policjant.

– Pana aspiranta – sprostował redaktor.
– Mój pomysł.
– Ale jaki? – Zojka była coraz bardziej zdezorientowana.
– Przypuszczam, że sprawca czuje jakąś więź z pani osobą. Wysłana na pani nazwisko paczka wskazuje, że wybór torebki nie był przypadkowy. To pani miała trafić na odciętą dłoń. Podejrzewam, że spróbuje się z panią jeszcze skontaktować...

– Broń Boże! – przeraziła się kobieta. – I co mi przyśle kolejnym razem? Kawalek stopy i klamerkę od buta czy paseczek od stringów i... wolę nawet nie myśleć co!

– Spokojnie, my wszystko będziemy monitorować! – Komisarz uniósł dłonie w pojednawczym geście.

– Nie ma mowy! – sprzeciwiła się Zojka. Owszem, wcześniej pomyślała sobie, jak wspaniale byłoby zdobyć pracę w podobnym czasopiśmie, ale przecież nie chodziło jej o to, by zostać przynętą zarzuconą na psychopatę! Tym bardziej, że redaktor Kordecki wyraźnie dawał jej odczuć, co sądzi na temat przyjęcia jej do zespołu. Spojrzała z namysłem na dziennikarza. – Nie ma mowy! – powtórzyła.

– I bardzo dobrze! – Redaktor klasnął w dłonie. – Sam pan widzi, aspirancie. To bez sensu.

– Pani Zojko... – Chochołek pokręcił głową z dezaprobatą. – Czy pani sobie zdaje sprawę z tego, co robi? Przecież sprawca stanowi zagrożenie także dla pani! I to właśnie pani powinno zależeć, by zdekonspirować tę osobę!

– Hmm, no niby ma pan rację, ale...

– Chce pan dobrze, aspirancie, ale to był chybiony pomysł. – Kordecki uśmiechnął się triumfalnie.

Na ten widok Zojka zaczerpnęła tchu. I po chwili wypaliła:

– Zgadza się.

Po powrocie do domku na wzgórzu, zjedzeniu końcówki ciasta drożdżowego ze znikomymi już śladami kruszonki, wypiciu dwóch kubków letniej herbaty i opowiedzeniu babuni, jak przebiegło spotkanie z Chochołkiem, Zojka postanowiła pójść na spacer i oczyścić myśli.

Oczywiście nie mogła zdradzić staruszce wszystkiego, aspirant wyraźnie zaznaczył, że o charakterze jej pracy w „Kronice Wadowickiej” mają wiedzieć wyłącznie Zojka, Kordecki i on sam. Nawet pozostali dziennikarze mieli sądzić, że redaktor zatrudnił dodatkową osobę, choć jak stwierdził Kordecki: „To się kupy nie trzyma”. „Kronika” miała zaledwie kilku stałych pracowników, wspieranych przez copywriterów i nagłe zapotrzebowanie na usługi Zojki było mocno naciągane. W pewnej chwili zachwycony Kordecki zaproponował nawet, by została zatrudniona do mycia okien, ale rzuciła w niego znalezionym na biurku zszywaczem, w wyniku czego redaktor porzucił swój pomysł.

Po pokonaniu wąwozu Zojka ruszyła szosą przecinającą wieś w kierunku domu rodziców. Mijając posesję, zerknęła na podwórko. Wciągnęła w płuca zapach kwitnących jabłoni. Tegoroczna wiosna była późna, chłodna i deszczowa, więc drzewa owocowe zakwitły dopiero z początkiem maja. Zojka uwielbiała ten czas, kiedy ogród pokrywał się kwieciami. Wyglądał jak przysypany śniegiem albo pokryty bitą śmietaną!

Zakręciła koło domu wujostwa, a widząc na podjeździe suwa sołtysa, czmychnęła czym prędzej w kierunku przystanku kolejowego. Nieduży, żółty budyneczek był opuszczony od kilkunastu lat, kiedy to PKP zamknęło kasy biletowe. Przez jakiś czas straszyl zdewastowanym wnętrzem, aż pewnego dnia zjawiała się ekipa z ceglami i zaprawą murarską i замуrowała wejście. Dla mieszkańców Lipówki korzystających z transportu kolejowego zmieniło to niewiele, ponieważ i tak siadali na ustawionych na peronie ławeczkach. Zojka z ulgą opadła na jedną z nich. Oparła się o złuszczone oparcie, wyciągnęła przed siebie długie nogi i splótła ręce na karku.

Z miejsca, w którym siedziała, widziała zarys dachu domku babuni i lekką poświatę między drzewami, którą zapewne rzucała zapalona na ganku lampa. Świadomość bliskości tak ważnego dla niej miejsca działała jak balsam. Domek na wzgórzu, wieś taka spokojna, sielska...

Zojka parsknęła śmiechem.

Spokojna! Dobrze sobie!

W domku babuni zjawiała się zaledwie kilka dni temu i doprawdy mogła powiedzieć o tym okresie wszystko, ale na pewno nie to, że był spokojny! Od bijatyki, która ostatecznie okazała się produkcją swojskich wędlin, poprzez utratę torebki i podrzuconą osobliwą niespodziankę, demonstrację siły babuni i jej własne akrobacje na lokalnym dziennikarzu w otoczeniu malowniczych lasów, po paczkę zaadresowaną na jej nazwisko, stanowiącą według policji element gry jakiegoś zwyrodnialca, i rozpoczęcie pracy w „Kronice Wadowickiej”, na dodatek udawanej. Pracy oczywiście, nie „Kronice”. No, to z pewnością nie zakrawało na nudę!

Zojka przymknęła oczy, by pomyśleć o wydarzeniach mijającego dnia. Niespodziewanie dobiegł ją warkotliwy odgłos, zupełnie jakby któryś z sąsiadów odpalił na podwórku kosiarkę do trawy! Uchyliła powieki, zaskoczona rejestrując kątem oka, że nie jest już na ławce sama. Na drugim końcu rozsiadł się w najlepsze rudy kocurek. Z zapałem czyścił futerko, liżąc, iskając i szarpiąc delikatnie co oporniejsze miejsca. Co jakiś czas przerywał zabiegi higieniczne, zerkał na Zojkę zachęcająco i powracał do zarzuconych czynności. W końcu oblizał się szeroko różowym języczkiem i utkwiał w kobiecie wyczekujące spojrzenie.

– Nic nie mam – wyjaśniła. Nagle zaniepokoiła się nie na żarty. – Ty tu mieszkasz? – Rozejrzała się po opustoszałym peronie pokrytym rdzawym

kamieniem wydzielającym charakterystyczny zapach. Mruczenie nasiliło się, najwyraźniej kot był przyjaźnie nastawiony do ludzi, którzy okazali mu zainteresowanie. – Nie masz co jeść? Nie polujesz sobie na myszki? – dociekała Zojka.

Kot prychnął lekceważąco, odwrócił wzrok od Zojki i zajął się czyszczeniem strategicznego miejsca pod ogonem. Młoda kobieta parsknęła śmiechem.

– Widzę, że audyencja zakończona – mruknęła, unosząc brew. – W takim razie idę. Ale wrócę jutro. Coś ci przyniosę, chcesz?

Ostrożnie wyciągnęła rękę, ale kot natychmiast zeskoczył z ławki i czmychnął w gęste zarośla. Zojka uśmiechnęła się pod nosem i wsunąwszy dłonie w kieszonki szortów, ruszyła w kierunku wąwozu.

– We wsi mieszka kot – obwieściła po powrocie do domu.

Babunia przewróciła oczami.

– Na wsi? Kot?! No co ty nie powiesz!

• Rozdział dziewiąty •

Siedziba „Kroniki Wadowickiej” mieściła się w dużym gmachu zbudowanym z szarego kamienia. Wciśnięta między dwa mniejsze budynki górowała nad przyjemnie ocienioną i spokojną ulicą Barską. Stając przed poobijaną, mocno nadszarpniętą zębem czasu bramą, Zojka pomyślała, że ten imponujący dom bardziej nadaje się na miejsce akcji powieści romantycznej niż na redakcję lokalnego pisemka.

Do osadzenia horroru też się w sumie nadaje, główkowała, przerzucając na drugie ramię kremową torebkę pożyczoną z przepastnej szafy babuni Łyczakowej. I kryminału, dodała w myśli, nadal podziwiając bryłę budynku i zupełnie nie zaprzatając sobie głowy tym, że jest już spóźniona ponad godzinę. Przecież to i tak udawana praca, stwierdziła, przesadą zatem byłoby sprawiać wrażenie, że mi na niej zależy!

Aby oddać sprawiedliwość świeżo upieczonej dziennikarce „Kroniki Wadowickiej”, należy wspomnieć, że spóźnienia absolutnie nie miała w planach i w najmniejszym stopniu nie było ono związane z chęcią dopieczenia redaktorowi Kordeckiemu. Po prostu kiedy pomna złożonej wieczorem obietnicy wróciła się do lodówki po kawałek kiełbasy podsuszanej, pociąg pojechał sobie w najlepsze. I kto by się spodziewał, że PKP takie punktualne? A jednak właśnie takie się okazało i zdenerwowana kobieta, złożywszy aromatyczny podarunek pod odrapaną ławeczką, pobięła łapać inny środek transportu. Kiedy zziąjana dotarła na ulicę Barską, pot lał się po niej strumieniami i docierał w miejsca, o których krążą najbardziej soczyste dowcipy.

Oceniwszy nieruchomość pod kątem potencjalnych walorów literackich, Zojka odetchnęła głęboko i stwierdziła, że najwyższa pora wejść do budynku. Nie była pewna, co zastanie w środku. Czy Kordecki będzie na nią czekał, by przydzielić pozorowane obowiązki? A może odda ją pod opiekę kogoś z pracowników? Przycisnęła torebkę do boku i ruszyła w kierunku solidnych, drewnianych drzwi.

Ledwie przekroczyła próg redakcji, wpadła na redaktora. Kordecki niespokojnie krążył po korytarzu, a jego pociemniała z gniewu twarz nie wróżyła powitania z udziałem czerwonego dywanu czy rozsypanych płatków polnej róży.

– Przep... – zaczęła od razu, ale natychmiast jej przerwał.

– Spóźniłaś się!

Skrzywiła się, podchodząc.

– To wszystko przez pociąg.

– On też się spóźnił? – Kordecki zazgrzytał zębami.

– Wprost przeciwnie, przyjechał punktualnie – mruknęła cichutko.

– Dobrze wiem, o której przyjechał, bo sam codziennie jeżdżę nim do pracy!
– Hmm, ale to naprawdę nie moja wina, bo...
– Oczywiście, że nie twoja – parsknął. – Na pewno kota.
– Skąd wiesz? – zdziwiła się. Przełożyła torebkę na drugie ramię.
– Albo psa. Porannej herbaty. Bojlera z gorącą wodą. Byle nie twoja.
– Wiesz co? Nie zamierzam z tobą rozmawiać, bo jesteś okropnie napastliwy! – Zojka zrobiła obrażoną minę.

– No to masz problem, bo przez jakiś czas będę twoim szefem. Od tej pory nie tylko musisz ze mną rozmawiać, ale musisz też mnie słuchać! – wykrzyknął z wyczuwalnym triumfem w głosie.

Zojka przewróciła oczami, co naturalnie nie uszło uwadze redaktora. Łypnął na nią wściekle.

– Słuchać a usłuchać to jest różnica! – mruknęła cichutko.

Kordecki nie dosłyszał tych słów lub nie dał nic po sobie poznać. Wykonał ruch dłonią, zapraszając ją do dalszej części budynku. Zojka westchnęła głęboko i ruszyła we wskazanym kierunku. Mijając redaktora, posłała mu krzywe spojrzenie. Już teraz mogła powiedzieć, że ta współpraca nie będzie układać się kolorowo!

– Co będę robić? – zapytała.

– Och, mam dla ciebie zadanie! – Uśmiechnął się cierpko, wskazując jej nieduże zagracone biurko pod ścianą.

Zojka ze zgrozą zmierzyła spojrzeniem stary przedpotopowy pecet pokryty grubą warstwą kurzu.

– Jakie? – zapytała, odczuwając nagły niepokój.

– Początkowo zamierzałem zlecić ci prace porządkowe, ale to byłoby marnotrawstwem, bądź co bądź podobno skończyłaś studia dziennikarskie, więc chyba coś tam umiesz – odkaslnął.

– Oczywiście! – potaknęła z entuzjazmem, zaraz jednak zmarszczyła brwi. – Hej, co to znaczy podobno?

Kordecki nie zwrócił najmniejszej uwagi na jej oburzenie.

– No, więc napiszesz o lokalnej imprezie. Dasz sobie z tym radę? – Spojrzał na nią wyczekująco.

– Jasne – mruknęła. – A co to za impreza?

– Jakaś rolnicza. – Posłał jej kpiący uśmiešek. – Wystawa sprzętu, przemówienia uznanych hodowców, degustacja wędlin. Mają nawet wybierać najlepszą świnię.

– Ty tak serio? – zdziwiła się.

Kordecki wyszczerzył zęby.

– Serio, serio. Spójrz na to z innej strony. Możesz to potraktować jak wybory miss.

Iga Kozłowska była związana z „Kroniką Wadowicką” od sześciu lat i lubiła

o sobie myśleć jako o najbardziej doświadczonym jej pracowniku. To prawda, że przeżyła bolesne rozczarowanie, kiedy właściciel gazety pominął jej osobę przy wyborach nowego redaktora i powołał na to stanowisko zupełnie niezwiązanego z miastem Marcina Kordeckiego, jednak po czasie sama przyznała, że to była dobra decyzja. Kordecki znał się na rzeczy, a ona, Iga, była jego prawą ręką. Współpraca układała się doskonale. Uzupełniali się i chociaż nie zawiązała się pomiędzy nimi przyjaźń, Iga ceniła przełożonego i była dumna z tego, że cieszy się jego zaufaniem. To ostatnie zresztą bardzo często podkreślała w rozmowach ze współpracownikami, sprawiając wrażenie lepiej poinformowanej niż sam redaktor.

Iga zawsze wiedziała, co w „Kronice Wadowickiej” piszczy.

A przynajmniej tak myślała.

Dotychczas.

Pochylona nad srebrzystą klawiaturą swojego laptopa, dyskretnie obserwowała tę nową i usiłowała odpowiedzieć sobie na pytanie: co się tutaj do cholery jasnej wyprawia? Kiedy poprzedniego dnia opuszczała budynek redakcji, Zojka Tuszyńska w asyście policji odpakowywała kartonowe pudełko z butami, piszcząc przy tym jak siusiający szczeniak. Ujrzawszy parę ślubnych pantofelków, Iga stwierdziła, że nic ciekawego jej nie ominie, ale teraz nie była już tego taka pewna. Kordecki nie zająknął się ani słówkiem, że zamierza kogoś zatrudnić, zresztą Iga doskonale wiedziała, że „Kronika” nie potrzebuje dodatkowych dziennikarzy i obecność panny Tuszyńskiej w ich redakcji była zupełnie nielogiczna. Ba, była wręcz zbędna. Nieusprawiedliwiona. A przecież musiało istnieć jakieś proste wyjaśnienie tej absurdalnej sytuacji i Igę aż rozboleł żołądek na myśl, że ona go nie zna.

Kobieta oderwała wzrok od miotającej się przy zakurzonego biurku Zojki i utkwiała spojrzenie w drzwiach prowadzących do pokoju Kordeckiego. Zachowanie redaktora było dla niej kolejną zagadką. Zazwyczaj krążył po całej redakcji, zagadując do pracowników, omawiając z nimi teksty i niezbędne poprawki, czasami przystawał nad którymś biurkiem z nieodłącznym kubkiem mocnej kawy i dyskutował na temat sytuacji w mieście i powiecie. A dzisiaj schronił się za drzwiami swojego pokoju i nosa stamtąd nie wystawiał. Idze towarzyszyło przecucie, że ma to jakiś związek z nową pracownicą, ale dlaczego Kordecki miałby się chować przed dziewczyną, którą osobiście (i zupełnie bez sensu, oczywiście) sprowadził do „Kroniki”?

Iga westchnęła i opuściła wzrok na klawiaturę, postukując w nią palcami zakończonymi krótkimi, krwistoczerwonymi paznokciami. Skoncentrowała się na tekście, w którym opisywała zbliżający się festiwal literatury organizowany przez Bibliotekę Miejską, ale jej myśli nieustannie uciekały w kierunku Tuszyńskiej i redaktora. Nagle na jej biurko padł cień. Zaskoczona Iga podniosła głowę i napotkała roziskrzone ciekawością spojrzenie niebieskich oczu.

– Iga, kto to jest? – szeptem dopytywała Klaudia. Zza jej pleców wyglądał Karol Różalski odpowiedzialny za wiadomości sportowe.

– Hmm? – mruknęła.

– Ta nowa? Kto to? Po co Kordecki ją sprowadził?

Dziennikarze spoglądali na nią wyczekująco. Iga poczuła ogarniającą ją panikę. Ponad ramieniem koleżanki zerknęła w kierunku biurka Zojki. Dziewczyna usiłowała wyszorować stary monitor, wykorzystując w tym celu paczkę chusteczek dla niemowląt. Zupełnie nie zdawała sobie sprawy z tego, że stała się obiektem zainteresowania całej redakcji. Co mam im powiedzieć? – zastanawiała się Iga. – Przecież się nie przyznam, że nie mam pojęcia.

– A coś ty taka ciekawska? – próbowała grać na czas.

– A ty coś taka tajemnicza?

– Kordecki nie chce, żeby się rozniosło – powiedziała z ważną miną. – Nie mogę powiedzieć.

– Do tej pory jakoś ci to nie przeszkadzało – mruknęła obrażona koleżanka.

– A może po prostu nie wiesz? – Otworzyła szeroko oczy i uśmiechnęła się ciut złośliwie.

– Oczywiście, że wiem – warknęła Iga, postukując gwałtownie w klawisze. – Co nie znaczy, że każdy ma wiedzieć!

Klaudia gwizdnęła przez zęby i spojrzała znacząco na Karola. Iga udała, że tego nie widzi, ale kiedy dziennikarze oddalili się od jej biurka, posłała wrogie spojrzenie w kierunku nowej pracownicy. Czekał ty, pomyślała, już ja się dowiem, co tu robisz!

Pierwszy dzień nowej – co prawda udawanej, ale jednak – pracy przebiegł Zojce zaskakująco szybko. Prawdą jest, że ponad dwie godziny poświęciła na czyszczenie mokrymi chusteczkami zakurzonego sprzętu komputerowego, który najwyraźniej specjalnie z myślą o niej Kordecki wyciągnął z najbardziej zapomnianego kąta piwnicy. Ale kiedy jej wzrok spoczął na tłustawym osadzie pokrywającym klawiaturę, natychmiast przypomniała sobie nazwy wszystkich chorób zakaźnych i niezakaźnych, o jakich kiedykolwiek słyszała. Szorowała więc zawzięcie kolejne elementy peceta, klawiatury i monitora, jakby zakamuflowane mikroby miały ją zaatakować od samego kontaktu wzrokowego, przeklinając redaktora „Kroniki Wadowickiej” i własną głupotę. Dlaczego intuicja nie podpowiedziała jej, by zabrała prywatnego laptopa!

Kiedy całe stanowisko lśniło już czystością, z westchnieniem ulgi opadła na obrotowe krzeselko i wcisnęła guzik na urządzeniu. Po wyczerpujących porządkach czuła suchość w ustach i miała nadzieję, że zanim komputer zdąży się uruchomić, ona zlokalizuje coś nadającego się do ugaszenia pragnienia. Miała właśnie zapytać o to kobietę w rogowych okularach, która zerkała na nią znad srebrzystego laptopa, kiedy zorientowała się, że oddany jej do użytku komputer nie

wydaje z siebie żadnych dźwięków.

Noż, skurczybyk! – zakłęta w duchu, mając na myśli w równym stopniu złośliwy sprzęt, jak również mężczyznę, który jej go przydzielił. – Naprawdę czyściłam do połysku coś, co nie wydało z siebie najmniejszego szmeru? I za moment zostanie na powrót odtransportowane na piwniczną półkę?

Nie mogła na to pozwolić!

Zapomniawszy o dokuczliwym pragnieniu, zanurkowała pod biurko i zajęła się dociskaniem wszelkich wtyczek, kabli i podzespołów, jakie wystawały i nie wyglądały tak, jakby miały poczęstować ją kopniakiem, od którego wyląduje na schodach wadowickiej bazyliki. Po kilkunastu minutach bezskutecznego obmacywania komputera i okablowania rozgoryczona przysiadła na parkiecie i pograżyła się w czarnych myślach, wśród których groźba natychmiastowego opuszczenia budynku redakcji i wykonania telefonu do Chochołka w celu wygarnięcia mu, co myśli o jego durnych pomysłach, była, delikatnie mówiąc, najdelikatniejsza.

Wychyliła się nad biurkiem (udając, że nie dostrzega przepełnionego pogardą spojrzenia kobiety w okularach) i zerknęła w kierunku drzwi prowadzących do gabinetu Kordeckiego. Nie mogła uwierzyć, że był aż tak złośliwy i małostkowy! Czy naprawdę na każdym kroku musi udowodniać, jak bardzo jej nie lubi? Ona też nie pałała do niego sympatią, a jednak potrafiła zachować poziom i poskromiła żądze ukręcenia mu łba!

Na pewno chce, żeby przyszła i poprosiła o pomoc w uruchomieniu komputera!

Nic z tego, niech o tym zapomni!

Skoro do udawanej pracy udostępnił jej komputer, który udaje, że działa, ona będzie udawać, że na nim pracuje.

Rozzłoszczona podciągnęła się na krzesło i zastukała palcami w klawiaturę. Wpatrywała się przy tym w monitor, jakby przed jej oczami wyskakiwały literki układające się w słowa, zdania i frazy nowego artykułu. To będzie hit, uśmiechnęła się pod nosem, uderzając w klawisze. Nagle dotarło do niej, że w pokoju zapadła nienaturalna cisza. Rzuciła spojrzeniem za siebie i stwierdziła, że wszyscy dziennikarze w pokoju wpatrują się w nią z wyrazem oszołomienia na twarzach. Kobieta w okularach wymieniła porozumiewawcze spojrzenie z przysadzistym mężczyzną zajmującym biurko przy drzwiach. Zojka powoli odwróciła się w kierunku monitora, dziękując fortunie, że Kordecki nie wyściubiał nosa ze swojego pokoju. Dopiero by triumfował, widząc, jak ona błądzi się przed współpracownikami.

– To jakaś specjalna metoda? – usłyszała nagle roześmiany głosik. Nad jej biurkiem pochylała się rudowłosa piękność z błękitnymi oczami i wydatnymi wargami.

– Aha. Na moim starym pececie czasami skutkowało – potwierdziła, czerwieniąc się po korzonki włosów.

– Mojemu pomagało tylko to. – Rudowłosa wymierzyła w komputer tęgiego kopniaka. – Ale jest łatwiejszy sposób. Mamy tu informatyka, wiesz?

– Och! – spłoszyła się Zojka. – Powinam była się domyślić. Gdzie go znajdę?

– W tej chwili jest nieosiągalny. – Ruda wzruszyła ramionami. – Dzielimy go z biurem rachunkowym po drugiej stronie ulicy. U nas pracuje od dwunastej do szesnastej, a u nich od rana. – Zachichotała.

– To co ja mam teraz zrobić? – Zojka odruchowo spojrzała w kierunku drzwi Kordeckiego.

– Cóż, masz blisko godzinę. Możesz jeszcze trochę poczyścić swoje narzędzie pracy – kobieta zawiesiła głos, znacząco spoglądając na lśniący monitor – albo potowarzyszyc mi w mieście. Mam coś do załatwienia.

– Ale... – Zojka zawahała się, myśląc o Chochołku, który wyraźnie zaznaczył, że ma trzymać się blisko redakcji, by psychopata od uciętych dłoni mógł nawiązać z nią kontakt. A co ja jestem, słoninka dla sikorek? – zbuntowała się nagle w myśli i zaraz zaczęła gramolić się z krzeselka i poszukiwać kremowej torebki, której nie zamierzała spuszczać z oka.

Chwilę później wraz z nową znajomą, która przedstawiła się jako Klaudia, wędrowała w kierunku rynku. Po drodze dowiedziała się, że dziewczyna pochodzi z Krakowa, a do Wadowic przybyła za swoją wielką miłością. Lubiła pracę w „Kronice”, gdzie odpowiadała głównie za wiadomości lokalne, ale po rychłym ślubie zamierzała zrezygnować z pracy i skoncentrować się na wiciu małżeńskiego gniazdka.

– Nie lubię niczego robić na pół gwizdka – wyznała Zojce z rozbijającym uśmiechem. – Jeśli pracuję, to myślę tylko o tym. Jeśli kocham, to też całą sobą. I właśnie to zamierzam robić po ślubie. Kochać, kochać, kochać!

– Chętnie przejąłabym po tobie stanowisko – chlapanęła Zojka, zanim zdążyła ugryźć się w język.

– Przecież masz własne! – Nowa znajoma się zaśmiała.

– No niby mam, ale... – próbowała szybko wymyślić jakieś wytłumaczenie – ...tak naprawdę przydałyby mi się dwa!

– Poważnie? Ale po co?

– Och, pisanie to moja pasja. – Zojka machnęła ręką lekceważąco. – Sama widziałas, że nie potrafię utrzymać palców w bezruchu. Jedno stanowisko to dla mnie o wiele za mało. Potrzebuję dwóch albo nawet dwóch i pół.

– O, mamusiu! – Klaudia spojrzała na nią z podziwem. – A myślałam, że to ja bez reszty poświęcam się pracy! Kordeckiemu trafił się prawdziwy skarb, mam nadzieję, że to doceni!

– Nie liczyłabym na to – mruknęła Zojka. Posłała w stronę nowej koleżanki pełne nadziei spojrzenie. – Jakim jest szefem? Despotycznym, prawda? Może planują go zwolnić w najbliższym czasie?

Klaudia parsknęła śmiechem.

– Wątpię, trzyma się mocno. Właściciel gazety go ceni, mówi się po cichu, że Kordecki sam ją odkupi od starego, ale wiesz, jak to bywa z plotkami. No, jesteśmy na miejscu! – Zadowolona z siebie wskazała ogródek kawiarni.

– Jak to? – zdziwiła się Zojka. – Miałaś coś załatwić.

– I załatwię. Ale najpierw napijemy się kawy. To moja ulubiona kawiarnia.

Spłoszona Zojka rozejrzała się na boki. Odkąd relaks z kawą stał się prelude do makabrycznego znaleziska w pociągu, wszelkich kawiarni – wadowickich i niewadowickich – miała po dziurki w nosie. A tej jednej konkretnej to miała po czubek czubków. Na dodatek zachodziła obawa, że przesłuchiwana przez Chochołka obsługa zaraz ją rozpozna i każe zostawić torebkę przy wejściu.

– Nie martw się. – Klaudia opacznie zinterpretowała wahanie Zojki i chwyciła ją pod ramię. – Kordecki o niczym się nie dowie. Przecież ci mówiłam, że kiedy pracuję, to na całego i nic mnie nie rozprasza. Ale kiedy piję kawę, nic nie zakłóci mi przyjemności. Nawet praca. To co? Biała czy czarna? – Spojrzała wyczekująco na Tuszyńską.

Zojka poczuła, że kapituluje.

– To ja może poproszę herbatę...

Dochodziła szesnasta trzydzieści, kiedy zmęczona Zojka dowlokła się na wzgórze. Babunia siedziała na koślawym krzeselku pod modrzewiem, popijając coś czerwonego z wysokiej szklanki. Wnuczka opadła na stojącą tuż obok ławeczkę, z ulgą zsuwając balerinki i zanurzając obolałe stopy w gęstą trawę. Zerknęła przelotnie na staruszkę. Babunia obserwowała obłoki przesuwające się po niebie z ponurym wyrazem twarzy.

– Skąd ta grobowa mina?

– Grobowa? – Staruszka zastanawiała się przez chwilę. – No, nie wiem, może i grobowa. Zważywszy na to, że połowa rodziny chętnie zobaczyłaby mnie w trumnie, to nawet pasuje.

– Co się stało? – Zaintrygowana Zojka otworzyła szeroko oczy.

– Zraniłam uczucia twojej kuzynki – obwieściła uroczystym tonem babunia.

– Zośki?

– A masz inną kuzynkę? – Staruszka utkwiała w Zojce kpiące spojrzenie.

– No nie, ale...

– To nie zadawaj głupich pytań. Oczywiście, że chodzi o Zosię.

– Hmm. – Zojka przyjrzała się babuni krytycznie. Staruszka znowu wpadła w charakterystyczny stan zaczepno-obronny. Polegał on na tym, że wszystkich naokoło zaczepiała drobnymi (lub nie) złośliwościami i broniła się przed każdym

cieplejszym słowem. Własnym bądź cudzym. Kiedy ogarniał ją podobny nastrój, najrozsądniejszym wyjściem było zostawienie jej samej sobie i przeczekać, aż sytuacja samoczynnie ulegnie unormowaniu. Zojka rozważała przez moment w myślach, by wejść do domku, odświeżyć się po ciężkim dniu i poczekać, aż starszej pani miną humory, ale ciekawość zwyciężyła i spojrzała wyczekująco na babunię.

– O co poszło?

– O co? – Staruszka upiła łyk napoju, który po dokładniejszych oględzinach okazał się kompotem truskawkowym. – Mogłabym powiedzieć, że o gówno, ale zachowam kulturę. O spodnie.

– O spodnie? – Zojka zdębiała. Spodziewała się czegoś... poważniejszego. Potrząsnęła głową. – Nie rozumiem.

– A co tu jest do rozumienia albo nierozumienia? Przyszła tutaj przed południem i szukała ciebie. A miała na sobie spodnie dżinsowe z wielkimi dziurami. Chciałam być miła – mruknęła babunia w głąb szklanki. – Więc sięgnęłam do portmonetki i dałam Zosińce pięćdziesiąt złotych. Mówię: kup sobie coś. A ona oczy na mnie otworzyła i że po co ja jej daję pieniądze, skoro ona jest dorosła i zarabia na siebie. Chciałam być miła – powtórzyła, usiłując dobyć językiem rozciapaną truskawkę.

Zojka skinęła głową.

– No – wtrąciła, bo inny komentarz nie przyszedł jej do głowy. – I co?

– I nie chciała tych pieniędzy wziąć, więc ja jej, że pewnie zbiera na wesele i odkłada każdą złotówkę, bo nawet na ubranie jej szkoda. A ona popatrzyła na mnie tak dziwnie i pyta, o co mi chodzi. Powiedziałam, że jeśli nie ma na nowe spodnie, zawsze może do mnie przyjść, a nie chodzić w dziurawych. Wtedy wpadła w szał i powiedziała, że ona takie z dziurami kupiła za dwieście złotych i że to tak specjalnie. Dasz wiarę?

Dam, pomyślała Zojka, przezornie gryząc się w język. Zamiast tego pogodnie zawołała:

– E, to nic strasznego, na pewno szybko zrozumie, że nie miałaś na myśli nic złego!

– No, nie wiem. – Babunia pokręciła głową z ponurą miną. – Bo widzisz, jak to usłyszałam, to zaoferowałam, że jej resztę portek potnę w promocyjnej cenie, nie musi płacić dwustu złotych. I zapytałam jeszcze, czy suknię ślubną też wybierze z dziurami. Na du... znaczy pośladkach.

– Babuniu! – Zojka nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać.

– I wtedy zarzuciła pupą i poszła, mamrocząc pod nosem, że już dawno nikt jej tak nie obraził.

– A mówiła, po co przyszła?

– Może chce cię na drużną zawołać?

– Wątpię – prychnęła Zojka. – Raczej jest jej głupio po tamtej imprezie, że

mnie nie zaprosiła i nie zatrzymała. Miałyśmy wypić razem kawę, ale jakoś tak nie w smak mi było iść tam, gdzie wcześniej mnie nie chcieli...

– Wierzę – przyznała babunia. – No, nic. Portki portkami, Zosia Zosią, lepiej powiedz, jak tobie zleciał dzień? I co to w ogóle za dziwna sprawa z tą całą pracą u Kordeckiego? Przecież go nie cierpisz!

– Owszem, ale jestem profesjonalistką. Skoro trafiła się taka robota, wykorzystam okazję.

– Jeśli chodzi o mnie, to w porządku. – Babunia uśmiechnęła się przebiegle. – Przynajmniej zostaniesz w Lipówce na dłużej. Może nawet na stałe?

– O, co to, to nie! – oburzyła się młoda kobieta. – Przecież wiesz, że już dawno postanowiłam się stąd wyrwać! To nie jest moje miejsce do życia!

Babunia poruszyła się na krześle, przybierając wygodniejszą pozę. Spojrzała na wnuczkę wymownie.

– Teraz to ty ranisz uczucia. Moje. Co ci się w Lipówce nie podoba? – zapytała wojowniczo.

– Wszystko mi się podoba, ale nie kiedy tu mieszkam.

– Mniejsza z tym. To jak ci minął dzień?

Zojka zawahała się, nie wiedząc, co odrzec. Nie zamierzała wtajemniczać babuni w arkana swojej udawanej pracy u Kordeckiego. Wróciła myślami do pierwszego dnia spędzonego w redakcji „Kroniki Wadowickiej”. Z całego zespołu tylko Klaudia okazała jej cień sympatii. Po wspólnie wypitej herbacie załatwiły sprawy dziennikarki i wróciły do redakcji, po drodze zahaczając o siedzibę informatyka i zgłaszając problemy ze sprzętem. Wysoki mężczyzna o wyglądzie nastolatka rzucił okiem na przydzielony Zojce komputer i machnął ręką, skazując go na ostateczną utylizację. Przywołany Kordecki podrapał się po brodzie, rzucił ponure spojrzenie na swoją nową podwładną i zaproponował, by pracowała na własnym laptopie, co przyjęła poniekąd z ulgą. Redaktor ponownie zniknął w czeluściach swojego gabinetu (który Zojka po cichu zaczęła nazywać norą tego, no... tchórza), by po chwili wychylić z niego końcówkę nosa i polecieć swojej zastępczyni (zza okularów w rogowych oprawkach padło triumfalne spojrzenie), by znalazła „nowej” coś do roboty. Resztę popołudnia Zojka spędziła, porządkując stare papiery wpięte w rozlatujące się segregatory, prychając i kichając nad kłębami kurzu. Nie, zdecydowanie nie zamierzała się przyznać przed babunią, jak wygląda jej nowa praca!

– Było w porządku – stwierdziła w końcu, gdy staruszka odchrząknęła ponaglająco. – Na początku mieliśmy małe problemy ze sprzętem, a potem zajmowałam się robotą papierkową. A jutro... – odetchnęła, zdmuchując z policzka pasemko włosów – ...jutro od rana zacznę się przygotowywać do imprezy, którą mam opisać.

– Imprezy? – Babunia niemal podskoczyła na poskrzypującym krzeselku. –

Jakiejś z gwiazdami? Filmu, sceny? Kto będzie?

– E, nie. To nie do końca taka impreza. Jakiejś targi rolnicze albo coś w ten deseń. Zupełnie bez sensu.

– Wszystko ma swój sens – stwierdziła filozoficznie babunia. – Nawet wybory najpiękniejszej krowy...

– Świni.

– ...albo najsmaczniejszej kremówki. Tylko jak uhonorować coś, co wcześniej zostało zjedzone? – dumiała babunia.

Zojka pomyślała, że filozofująca babunia Łyczakowa jest groźniejsza niż zaczepno-obronna, więc bez dalszej zwłoki podniosła się z ławki i ewakuowała w kierunku domku. Siedząca pod modrzewiem staruszka podparła się tymczasem pod brodą i mamrotała:

– Może przypiąć kotylion na brzuchu? Ale czyim? I skąd kremówka ma wiedzieć, że została wybrana? Przecież nie zobaczy...

Młoda kobieta uśmiechnęła się z rozczeniem, popatrując na starszą z wysokości ganku. Babunia była jedyna w swoim rodzaju, a mieszkanie z nią okazało się ekstremalną przygodą. Ale przygodą przyjemną, na swój sposób kojącą. Gdybym rzeczywiście zamieszkała w Lipówce na stałe, chciałabym mieszkać właśnie tutaj, z babunią – pomyślała. – To jednak niemożliwe, już dawno postanowiłam, że znajdę swoje miejsce w wielkim świecie. A to oznacza, że wkrótce ponownie pożegnam się z naszą wioseczką i babcią.

• Rozdział dziesiąty •

Zojka położyła na blacie biurka torbę z laptopem, a następnie podejrzliwym spojrzeniem zmierzyła opustoszałą siedzibę redakcji. Wszystkie biurka były wolne, jakby pracujących za nimi dziennikarzy uprowadziło UFO z serialu *Z archiwum X*. Czy dzisiaj jest jakieś święto narodowe? Próbowała wyteńczyć pamięć, który dzień miesiąca akurat przypadał, ale nie potrafiła przypisać do niego żadnego wyjątkowego wydarzenia. Jej spojrzenie zatrzymało się na drzwiach prowadzących do gabinetu Kordeckiego, w tej chwili szczelnie zasłoniętych żaluzjami.

Tego dnia Zojka wypadła z domu trochę wcześniej, by na pewno zdążyć na nieznośnie punktualny pociąg. Na peronie prędko ustawiła zabrane z kuchennej szafki plastikowy spodeczek, a na nim podzieliła kawałek kaszanki odnaleziony w czeluściach lodówki, udając, że nie dostrzega rozbawionych min grupki nastolatków. Wsiadając do pomarańczowego składu kolejowego, zadręczała się, że najprawdopodobniej pojedą z Kordeckim do pracy tym samym pociągiem. Jak ma się zachować, kiedy wysiądą już na dworcu w Wadowicach? Czy powinna poczekać na szefa i do siedziby „Kroniki Wadowickiej” udać się w jego towarzystwie? Na samą myśl zadrżała. Potrafiła sobie wyobrazić ten piętnastominutowy spacer wypełniony milczeniem, ponurymi spojrzeniami i prychnięciami redaktora, ale z drugiej strony jeśli pójdą do redakcji osobno, będzie to wyglądać idiotycznie. Kiedy pociąg zbliżył się do stacji i zaczął zwalniać, Zojka postanowiła, że zda się na swojego udawanego pracodawcę. Jeśli ją zlekceważy, jego sprawa. Jeśli uczyni choć krok w jej kierunku, uda się do pracy u jego boku i przynajmniej będzie wyglądać na to, że są zwyczajnymi współpracownikami, którzy potrafią ze sobą rozmawiać bez rzucania epitetami i zszywaczami do papieru!

Wyskoczywszy na peron, Zojka stwierdziła jednak, że Kordecki nie wysiadł z pociągu. Poczula irracjonalną mieszaninę ulgi i rozczarowania, i natychmiast zbeształa się w duchu za idiotyczne myśli. Nawet jeśli Kordecki zrezygnował z porannej jazdy pociągiem tylko dlatego, że ona miała nim jechać, nie powinna czuć złości. To świadczyło tylko o prezentowanym przez niego niskim poziomie, prawda?

Samotnie pokonała trasę pomiędzy dworcem a budynkiem redakcji przy ulicy Barskiej, pchnęła ciężkie drzwi i weszła do środka. Na miejscu przekonała się, że pokój, w którym na co dzień pracowali dziennikarze, świeci pustkami, a i głównodowodzący nie dotarł do pracy. Ki diabeł, zastanawiała się, usiłując zerknąć przez szpary w żaluzjach do pokoju szefa. Jakaś akcja w rodzaju uwolnić dziennikarza? Ale przecież ktoś musiał być w budynku, przecież drzwi były otwarte!

– Mogę w czymś pomóc? – usłyszała nagle za plecami. Odwróciła się gwałtownie, stając oko w oko z kobietą w okularach. Ida? Iwa? Iga? Tak, chyba Iga. Stała tak blisko Zojki, że do sytuacji pasowało bardziej określenie oddech w oddech.

– Och, szukam tego... to znaczy redaktora Kordeckiego.

– A nie łatwiej zapukać? – Iga uniosła brew.

Zojka spojrzała na tę brew zafascynowana. Czym ona ją namalowała? Flamastrem? Zaczepnęła mocno tchu, decydując się nagiąć odrobinę fakty. Czy nie tym zajmowali się dziennikarze?

– Pukałam.

– No, więc już wiesz, że szefa nie ma i bez sensu podglądać go przez żaluzje.

– Iga uśmiechnęła się półgębkiem. – Dziwna jesteś – rzuciła, obracając się na pięcie.

– Dzięki – mruknęła Zojka. Odprowadziła Ige spojrzeniem, aż ta zajęła swoje miejsce za biurkiem, a wtedy sama również wyszarpnęła z za stołu obrotowe krzeselko i opadła na nie z takim westchnieniem, jakby spędziła w redakcji już pięć godzin, a nie minut. Komputer, który przydzielił jej Kordecki, na powrót został odtransportowany do rupieciarni, więc biurko było puste. Zojka wydobyła laptopa i ustawiła go na blacie. Wcisnęła przycisk i czekając na załadowanie systemu, kręciła się na krzeselku i lustrowała spojrzeniem wewnątrz redakcji. Nieobecność zespołu nie dawała jej spokoju. Zerknęła w kierunku stanowiska Igi i przyłapała kobietę na tym, że ją obserwuje z nad klapy własnego komputera.

– Mogę o coś zapytać?

– Skoro musisz – padła uprzejma odpowiedź.

Zojka przewróciła oczami. Najwyraźniej właścicielka okularów w grubych oprawkach miała z nią jakiś problem.

– Dlaczego mnie nie lubisz?

Iga parsknęła pozbawionym wesołości śmiechem.

– To twoje pytanie?

– Nie, ale wymusiły je okoliczności.

– Cóż. – Iga zdjęła okulary i przetarła szkła chusteczką higieniczną, nie patrząc na swoją towarzyszkę. Zojka kręciła się na krzeselku, czekając na odpowiedź. – Nie rozumiem, skąd się tutaj wzięłaś. Stąd moja nieufność.

– I chodzi tylko o to?

– A o co innego?

Zojka wzruszyła ramionami. Poczowała się zobowiązana wytłumaczyć przed Igą.

– Kordecki postanowił dać mi szansę. Mogę teraz zdobyć szlify – perorowała. – Po studiach za cholerę nie potrafiłam znaleźć pracy w zawodzie. Na pewno wiesz, jakie to trudne.

– Szczerze? Nie wiem. Na studiach załatwiłam sobie staż. Pokazałam się z jak najlepszej strony, a potem wskoczyłam na swoje stanowisko. – Iga uśmiechnęła się z wyższością. Zojka ledwie powstrzymała się, by zaprezentować jej całą długość języka.

– Więc dlaczego... – zaczęła.

Iga uniosła gwałtownie głowę znad komputera.

– To kolejne pytanie?

– Nie, jeszcze nie zdążyłam zadać pierwszego – wyjaśniła dziewczyna i szybko, by tamta nie zdołała jej przeszkodzić, wyrzuciła z siebie: – Dlaczego nikogo nie ma? To znaczy nikogo poza nami dwiema?

– Cóż. – Po ustach Igi błąkał się uśmiezek. – Pewnie dlatego, że nie ma dzisiaj redaktora. On załatwia własne sprawy, a oni wykorzystują okazję. Różalski odsypia wieczorne pijaństwo, Klaudia umówiła się na kolejne cudowne pazurki, a inni też mają do załatwienia coś ważnego i zjawiają się koło południa – wyjaśniła koleżance kpiącym tonem.

Zojka skinęła głową na znak, że rozumie i bez dalszych pytań odwróciła się w kierunku rozświetlonego ekranu laptopa. Połączyła się z wi-fi redakcji i zamierzała właśnie rozpocząć poszukiwania informacji na temat imprezy, którą miała opisywać, kiedy Iga ją przywołała:

– Zojka?

Odwróciła się, wprawiając krzeselko w uporczywe skrzypienie.

– Tak?

– Powód twojego przyjścia do redakcji to się w ogóle kupy nie trzyma.

Zojka bez słowa wróciła do przeglądania internetu, czując, jak jej policzki płoną. Cóż za wścibskie babsko! – pomyślała. – Dlaczego tak ją gniecie, że Kordecki pozwolił mi tutaj pracować? Po chwili jednak wzruszyła ramionami, mówiąc sobie, że to nie jej problem. Chochołek to wymyślił, niech więc Chochołek się martwi, by sprawa nie wyszła na jaw!

Życzeniu panny Tuszyńskiej stało się zadość.

Chochołek martwił się, jednak nie faktem, że Iga Kozłowska w końcu się dowie, co naprawdę w redakcji „Kroniki Wadowickiej” robi Zojka, a tym, że o improwizowanej pracy niespełnionej dziennikarki właśnie dowiedziała się pani prokurator. Wanda Niewiadomska zadzwoniła do aspiranta z samego rana, gdy akurat przełykał bułkę z serem, przyprawiając go o niestrawność, ból głowy i chęć wymordowania całego kobiecego gatunku.

– Dlaczego ja nic o tym nie wiem? – wrzasnęło w słuchawce.

– Niemożliwe, osobiście sporządziłem dla pani raport.

– Mam go przed sobą. Jest w nim wszystko o przeszukaniu domu Zojki Tuszyńskiej i o przesyłce, która nadeszła dla niej na adres siedziby „Kroniki Wadowickiej”. O zawartości też. Ale nie ma ani słowa o tym, że Zojka Tuszyńska

jest od wczoraj częścią redakcji. Dlaczego ja nic o tym nie wiem?

– Jak pani nie wie, skoro wie? – zdziwił się Chochołek, rozgryzając wraz z ziarenkiem sezamu kobiecą logikę.

– Ale nie wiem od pana! Chcę wiedzieć, o co chodzi!

Nic z tego, pomyślał Chochołek mściwie, w gryzając się w bułkę. To moje śledztwo, nie pozwolę dłużej się upokarzać i wodzić za nos. Czuł się dumny, że do głowy wpadł mu tak fantastyczny pomysł, by obsadzić Zojkę w zespole Kordeckiego i czekać na kolejny ruch zbrodniarza. Bo, w przeciwieństwie do tej pyszałkowej prokuratorce, był przekonany, że to nie Zojka Tuszyńska stoi za tą całą makabrą, choć przyciągała kłopoty jak lep głupie muchy i prawdopodobnie cieszyła się względami tego psychopaty. Chochołek chciał mieć Zojkę pod ręką i na oku, dlatego wołał, by siedziała na tyłku w budynku redakcji i psuła krew Kordeckiemu. Nie wątpił, że prędzej czy później otrzyma kolejną makabryczną przesyłkę.

– To sprawa Kordeckiego, kogo bierze sobie do zespołu – mruknął do słuchawki. – A nam to jest na rękę, pani prokurator. Będziemy mieć tę Tuszyńską na oku!

– Może ma pan rację – odparła po chwili zastanowienia Wanda Niewiadomska. Chochołek usłyszał szelest przewracanych kartek. – Proszę jej pilnować, komisarzy. Myśli, że jest sprytna, adresując do samej siebie przesyłkę z zegarkiem, ale to stara zagrywka. Najwyraźniej chce zwrócić na siebie uwagę i zagrać nam na nosie. Ale nie ze mną takie numery, aspirancie Chochołek. Nie ze mną. Jeśli trzeba, proszę przydzielić funkcjonariusza, który stanie się cieniem Zojki Tuszyńskiej.

– Tak. – Chochołek zaśmiał się w duchu, że to on zagra na nosie pani prokurator. Rozmowa telefoniczna z Niewiadomską to pikus. Byle schować się przed tymi przenikliwymi oczkami, pomyślał.

– Ach, jeszcze jedno: kiedy rozmawia pan ze mną przez telefon, będzie pan łaskaw odłożyć śniadanie i nie mlaskać do słuchawki. Do widzenia.

Chochołek spojrzął z niechęcią na trzymaną słuchawkę, a potem na bułkę z serem. Miał ochotę rzucić jednym i drugim, ale obawiał się uszkodzić aparat telefoniczny. Śniadanie wylądowało w koszu z głośnym plaśnięciem.

Po powrocie z pracy Zojka spałaszowała talerz gołąbków w sosie pomidorowym, pomrukując przy tym z zadowoleniem. Już dawno nikt jej tak nie rozpieszczał kulinarnie, jak w ostatnich tygodniach babunia Łyczakowa. A trzeba przyznać, że staruszka była prawdziwą mistrzynią w swoim fachu. Jeszcze do niedawna chodziła po weselach i gotowała tradycyjne dania polskiej kuchni. Nie znała słowa fit, więc przygotowywane przez nią rarytasy były smakowite i bardzo kaloryczne. Kiedy Zojka pochyliła się nad stołem, by sięgnąć po kolejnego gołąbka, poczuła, jak pasek szortów boleśnie wpija się jej w brzuch. Oho! Oto

pierwsze efekty pomieszkiwania pod dachem babuni! Spodnie się skurczyły!

– Może wybiorę się na przejażdżkę rowerową? – zastanawiała się głośno, odsuwając talerz. Babunia wzruszyła ramionami, sięgając po naczynia, ale Zojka odpędziła ją zniecierpliwiona. – Ja pozmywam, babuniu. Dość się napracowałam, stojąc cały dzień przy garach!

– Co prawda, to prawda! – zgodziła się starszka, opadając na krzeselko. – A jak tam było dziś w pracy? – dopytywała zaciekawiona.

– Bardzo dobrze. – Zojka podniosła się z miejsca i zaczęła zbierać talerze. Co prawda miała ochotę jeszcze trochę posiedzieć i poczekać, aż jedzenie ułoży się w żołądku, ale obawiała się, że jeśli pozwoli sobie na dłuższą chwilę relaksu, trudniej będzie jej się zmobilizować do zmywania i jakiegokolwiek innej aktywności. Odkręcając kurek z ciepłą wodą, snuła opowieść o dniu spędzonym w „Kronice Wadowickiej”: – Kordeckiego nie było dzisiaj w pracy, więc panowała bardzo luźna atmosfera. Większość pracowników przyszła później, na lunch zamówiliśmy sobie pizzę i było wesoło. Nawet zastępczyni Kordeckiego, sztywna Iga, skubnęła kawałek. Choć jestem przekonana, że po kryjomu wypluła go do kosza...

– Lancz? – Babunia zaniósła się suchym śmiechem. – Nie potrafisz mówić po polsku?

– Tak się mówi. – Młoda kobieta zarumieniła się. – To teraz popularne.

– Popularne to twój dziadek palił.

– Podoba mi się tam. – Zojka subtelnie zmieniła temat, by nie drażnić babuni obco brzmiącymi słówkami. – Pracują tam naprawdę fajni ludzie. Z małymi wyjątkami – zastrzegła, opłukując talerz pod strumieniem wody. – Spędziłam całutki dzień za biurkiem, potrzebuję ruchu. Jest tu gdzieś mój rower?

– W chlewiku.

Młoda kobieta opłukała resztę naczyń, ustawiła je na metalowej suszarce, zakręciła kurki i wytarła dłonie w kraciastą ściereczkę. Chlewik znajdował się za stodołą i odkąd w gospodarstwie na wzgórzu przestano hodować zwierzęta, pełnił rolę rupieciarni. Zojka założyła balerinki i sweterek z długim rękawem. Na dworze wciąż panował skwar, jednak na samą myśl, że jakaś pajęczyna miałaby dotknąć jej gołej skóry, dostawała dreszczy. Spacerkiem ruszyła w kierunku budynków gospodarczych. Odpoczywający w cieniu leszczyny Burek natychmiast zdecydował się jej potowarzyszyć i przytruchtał z głośnym sapaniem.

Uchyliła skrzypiące drzwi i ostrożnie przestąpiła próg chlewika. W pomieszczeniu panował półmrok, więc chwilę odczekała, by oczy się do niego przyzwyczaiły. Tak jak się spodziewała, wewnątrz było porządnie zagracone, ale szybko zlokalizowała swój stary rower. Po tym, jak przejażdżki na jednoślądzie przyczyniły się pośrednio do dramatycznego zerwania zaręczyn Zosi, Zojka zrezygnowała z jazdy na ulubionym pojeździe. Zamelinowała rower w obejściu babuni Łyczakowej i na długi czas zapomniała, jak bardzo lubi tę odmianę

aktywności. W Krakowie czasami pożyczala starego „górala” od współlokatorki i przemierzała nadwiślańskie bulwary lub wybierała się na wycieczkę do Lasku Wolskiego, ale przy okazji pobytu w Lipówce nigdy nie wskakiwała na siodełko. Nie chciała budzić złych wspomnień i sprawiać kuzynce przykrości, jednak teraz, gdy Zosia ma nowego narzeczonego, chyba nie było takiego zagrożenia?

Przerzuciwszy stary piekarnik, dwa szpadle i wielką torbę wypełnioną po brzegi słoikami na ogórki, Zojka nie bez trudu wytaszczyła rower na podwórko. Widząc zakurzony, oblepiony szarymi strzępkami pajęczyn pojazd, o mało nie załamała ręk, ale za bardzo zależało jej na zażyciu ruchu (i pozbyciu się wrażenia, że dżinsowe szorty stały się ciut za obcisłe), by zrezygnować. Nie teraz, kiedy zadała sobie tyle trudu, by w ogóle wyciągnąć jednośląd z chlewika.

– Pod pompę! – wrzasnęło coś od domku.

Zojka oderwała wzrok od przykurzonych opon i przekonała się, że babunia rozsiała się na ganeczku ze szklanką kompotu w dłoni. Wskazała wnuczce starą pompę przy stodole i wykonała znaczący ruch ręką. Zojka zrozumiała. Podprowadziła pojazd we wskazane miejsce i zaczęła pompować lodowatą wodę. Przy szorowaniu tak się zgrzała, że zrzuciła sweterek. Po chwili rower lśnił czystością, a młoda kobieta zastanawiała się w duchu, czy jeśli natłuści łańcuch i pedały olejem kujawskim, narazi swoje życie na niebezpieczeństwo i skręci kark przy pierwszym zjeździe z górki.

Niedługo potem pedałowala w kierunku wsi. Minęła przystanek kolejowy, wypatrując na peronie rudego kocurka, sklep i dom rodziców. Skręciła w kierunku młyna i powoli przejechała drogą pomiędzy dwoma stawami, których brzegi bujnie porastała szumiąca trzcina. W dzieciństwie często się tutaj bawili, obserwując poruszające się na płyciźnie kijanki i puszczając płaskimi kamieniami na wodzie „kaczki”. Zziajana Zojka dotarła na skrzyżowanie i przez moment uspokajała oddech, zastanawiając się, gdzie pojechać. Ostatecznie wybrała drogę na Zarąbki i mocno pedałowując pod górę, podziwiała rozciągniętą po swojej prawej stronie Lipówkę. Nie spieszyła się. Pierwsza od bardzo dawna wycieczka rowerowa sprawiała jej prawdziwą przyjemność. Czula, że krew szybciej krąży jej w żyłach i miała ochotę roześmiać się w głos. A właściwie to dlaczego nie? Przejeżdżała właśnie przez niezabudowany teren, jedynymi świadkami jej spontanicznego wybuchu radości mogły być porastające skraj drogi drzewa. Zojka zaniósła się głośnym, radosnym śmiechem, uniosła się z siodełka, stając na pedałach, i natychmiast poczuła, że z rowerem dzieje się coś niedobrego. Z przerażeniem wpatrywała się w luźno zwisający łańcuch, bezradnie poruszając pedałami. Rower zachwiał się i runął wprost w kępę wysokich łopianów. Zojka w ostatniej chwili złapała równowagę, ale i tak boleśnie stłukła siedzenie.

Chwilę później ze zmarszczonymi brwiami i żądzą mordy w oczach pochylała się nad rowerem, usiłując wcisnąć łańcuch tam, gdzie pierwotnie się

znajdował. Jej dłonie pokryły się tłustym osadem i kurzem pobocza. Odruchowo otarła je o nogawki spodenek i z rozpaczą stwierdziła, że właściwie już nie potrzebuje ruchu, by swobodnie się w nich zapinać, ponieważ prawdopodobnie i tak wylądują w koszu na odpadki. Równie dobrze mogła zostawić złośliwy pojazd na pastwę zbieraczy złomu i spacerkiem wrócić do Lipówki.

Nagle drgnęła. Czy tylko jej się zdawało, czy naprawdę usłyszała przytłumione głosy?

Znajdowała się na odcinku drogi biegnącym wśród łąk i zagajników. Nie było tu ani jednego domu i w późnopopołudniowym świetle miejsce to wyglądało trochę strasznie. Zojka zatrzymała wzrok na ścianie pobliskiego lasu. Czy to tutaj widziano borsuka?

Na drodze pojawiły się trzy malutkie punkciki, które szybko się powiększały. Najwyraźniej nie tylko ona wpadła na pomysł, by spędzić ten wieczór na siodełku roweru. Z napięciem obserwowała zbliżające się postacie. Trzej mężczyźni, to dobrze! Prędzej poradzą coś na poluzowany łańcuch niż jakaś matka z dzieckiem czy starsza pani. Zojka przyoblekła słodki uśmiech i oczekiwała rowerzystów. Im jednak byli bliżej, tym uśmiech powoli zniknął z jej twarzy. Czy naprawdę musi mieć takiego pecha?

– Cześć, siostra! – powitał ją Janek, zeskakując z roweru. Często ją tak nazywał, w końcu w dzieciństwie ich trójka była praktycznie nierozłączna i obcym ciężko było wskazać, która z dwóch przyklejonych do boku Janka dziewczynek jest jego rodzoną siostrzyczką. – Mały wypadek?

– Uhm. – Zojka kiwnęła głową i spuściła oczy na łańcuch, by nie patrzeć na mężczyzn towarzyszących kuzynowi. Janek przekazał kierownicę roweru Kordeckiemu i przykucnął przy pojeździe dziewczyny. Chwilę gmerał, klnąc pod nosem, aż w końcu naprowadził łańcuch na właściwe miejsce.

– To tylko łańcuch, można jechać dalej – stwierdził, ocierając brudne dłonie w trawę porastającą pobocze. – Tylko tak nie szusuj, bo jeszcze w rowie wylądujesz!

– Zapamiętam. – Uśmiechnęła się przyjaźnie. Zerknęła ukradkiem na dwóch pozostałych mężczyzn. Kordecki przyglądał się jej z neodgadnionym wyrazem twarzy, a sołtys uśmiechał się szeroko, drapiąc przypieczone słońcem czoło. Oj, chyba nie posmarował się kremem z filtrem, przemknęło jej przez myśl, Zosia będzie musiała zrobić okład z kwaśnego mleka.

Zojka wsunęła się na siodełko, ale nie ruszała. Na myśl, że musiałaby pochylić się nad kierownicą i ruszyć, prezentując pozostającym za nią mężczyznom swoje pośladki, zrobiło się jej zimno. Zdecydowała, że zasłoni się krótkim odpoczynkiem i ruszy, kiedy ich już nie będzie. Janek jednak jej wahanie wziął za chęć dłuższej pogawędki. Sięgnął po bidon z wodą przytwierdzony do ramy, upił kilka łyków i zagaił rozmowę:

– No, jak tam w nowej pracy? Kordecki daje ci wycisk? – zażartował.

Zojka spojrzała z wahaniem na szefa. Nie miała pojęcia, że kuzyn wie o jej pracy w „Kronice Wadowickiej”! Zresztą, dlaczego miałby nie wiedzieć, z pewnością cała rodzina, ba, cała wieś plotkuje już o jej nowym zajęciu, oczywiście nie wiedząc o jego prawdziwym charakterze!

A może jednak nie cała?

Milczący dotychczas sołtys zrobił wielkie oczy i obejrzał się na redaktora.

– Zojka pracuje u ciebie w „Kronice”?

Kordecki skrzywił się, jakby ugryzł go wyjątkowo upierdliwy komar. Zerknął na młodą kobietę, a następnie na oczekującego odpowiedzi towarzysza. Wzruszył ramionami i wymamrotał:

– Akurat zwolniło się jedno miejsce w redakcji...

– Po kim? – zdumiał się Mikołaj.

– Nie znasz.

Sołtys przyglądał się redaktorowi spod zmarszczonych brwi. Sprawiał wrażenie niezadowolonego z uzyskanych informacji, jednak nie drażył dłużej tematu. Przeniósł swoje zainteresowanie na Zojkę, uśmiechając się szeroko i zbliżając o kilka maleńkich kroczków. Akurat mijał ich jakiś samochód, więc Zojka wykorzystała okazję i nieco się cofnęła.

– I jak?

– To znaczy? – Nie wiedziała, o co mu chodzi.

– No, jak się pracuje z Kordeckim!

– Dobrze. – Przełknęła ślinę.

– Skoro codziennie bywasz w mieście, koniecznie musimy umówić się na kawę. Albo na obiad. I bliżej się poznać. W końcu wkrótce zostaniemy rodziną! – Mrugnął do niej łobuzersko.

Spanikowana Zojka zerknęła w kierunku Janka, ale kuzyn wpatrzony w ekran swojego smartfona nawet nie usłyszał skierowanych do niej słów. Spojrzała na Kordeckiego i przekonała się, że ten kręci głową wyraźnie zniesmaczony. Patrzył na sołtysa jak na paskudnego robaka. Zojką wstrząsnął dreszcz. Sołtys natychmiast to zauważył.

– Oj, chyba komuś zimno! – zawołał i zaczął się szarpać z zamkiem polarowej bluzy.

Młoda kobieta poczuła się jeszcze bardziej skrępowana. Na szczęście nie musiała paradować w ubraniu narzeczonego kuzynki i wzbudzać fali plotek, ponieważ w tej samej chwili z impetem uderzyło w nią inne okrycie. Jęknęła.

– Proszę! – usłyszała uprzejmy głos redaktora. Podziękowała, zarzucając mięką, bawełnianą bluzę na ramiona.

– Kordecki, prawdziwy z ciebie dżentelmen! – Sołtys przyoblekł krzywy uśmiezek.

– Dbam o zdrowie swoich pracowników. – Redaktor wzruszył ramionami. – Pierwszy tydzień i od razu na zwolnienie lekarskie? To nie w moim interesie!

– Ty poganiaczu niewolników! – zarechotał Maliszewski.

Kordecki wzruszył ramionami, zerkając przelotnie na Zojkę. Czy tylko jej się wydawało, czy naprawdę przez jego twarz przemknął cień uśmiechu? Pomyślała, że dzielą tajemnicę, o której dwaj pozostali mężczyźni nie mają najmniejszego pojęcia i nie wiedzieć czemu, sprawiło jej to przyjemność. Ulżyło jej również, że nie musiała zakładać bluzy zaferowanej przez sołtysa. Ten cały Mikołaj był bardzo miły, ale wprawiał ją w zakłopotanie. Już raz miała do czynienia z narzeczonym Zosi i nie skończyło się to dobrze. Tym razem nie zamierzała popełnić tego błędu!

– Jedziemy? – Janek oderwał oczy od ekranu telefonu i nieprzytomnie zerknął na kompanów i kuzynkę. – Przyłączysz się do nas, siostra?

– Nie, nie. Ja wydobyłam dziś rower po bardzo długiej przerwie i mam kiepskie tempo – zaczęła się bronić. – Jedźcie sobie, a ja wolno popedałuję do domu.

Naturalnie mężczyźni zaczęli protestować i dowodzić, że żółwie tempo Zojki absolutnie nie stanowi dla nich problemu, ale w końcu udało jej się ich przekonać. Nie miała ochoty na ich towarzystwo. Po pierwsze, na pewno przepuściliby ją przodem, jak na dżentelmenów przystało, a potem całą drogę gapiliby się na jej siodełko. A po drugie doskonale wiedziała, jak z cierpliwością u mężczyzn bywa. Najpierw powie taki jeden z drugim, że absolutnie mu nie przeszkadza, a potem wzdycha, prychnie i robi znaczące miny, przewracając oczami nad kobiecym rytmem jazdy. O, nie, nie! Nie zamierzała się na to narażać!

Odczekała, aż trzech cykliści odjadą spory kawałek, opatulila się bluzą, konstatuując, że Kordecki używa bardzo ładnej wody zapachowej, i wskoczyła na siodełko. Piętnaście minut i będę w domu, pomyślała zadowolona. Ciekawe, czy zostało coś z obiadu?

Dalsza droga upływała bez przykrych niespodzianek ze strony roweru. Zapadły ciemności. Zojka pedałowala delikatnie, by nie zadzierać z pojazdem, bądź co bądź on też wyruszył na przejażdżkę po bardzo długiej przerwie i zasługiwał na ulgowe traktowanie. Równocześnie nie mogła się już doczekać Lipówki i świateł domku na wzgórzu. Póki co jednak musiała zmierzyć się z innymi światłami...

Samochód jadący z naprzeciwka zatrzymał się na poboczu i włączył długie światła, omiatając nimi samotną cyklistkę. Zojka zasłoniła oczy ręką i zakląła szpetnie. Co to za wariat? Zeskoczyła z siodełka, bo przed oczami tańczyły jej czerwone plamy. Kątem ucha zarejestrowała, że samochód rusza i szybko ją mija. Odwróciła się, ale zniknął już za pobliskim zakrętem.

Dziewczyna poczuła się nieswojo i pożałowała, że nie skorzystała z

propozycji kuzyna. Znajdowała się na nieprzyjemnym odcinku szosy, gdzie domy co prawda się zdarzały, ale nieliczne i przeważnie w pewnym oddaleniu od drogi. Dobrze, że już pojechał, można się przestraszyć! – pomyślała, wskakując na siodelko i ruszając dla odmiany w szybszym tempie. Nie zamierzała dłużej oszczędzać roweru, choć mogło się to zakończyć kolejną awarią i wizytą w rowie. Chciała jak najszybciej znaleźć się w bezpieczniejszej okolicy!

Pedałowała w najlepsze, gdy za plecami usłyszała szum zbliżającego się samochodu. Zerknęła przelotnie za siebie i z niepokojem stwierdziła, że ponownie towarzyszy jej pojazd z długimi światłami. Zojka zatrzymała się na poboczu, niemal wchodząc do rowu, aby przeczekać moment, gdy auto ją minie, ale samochód zwolnił i powoli toczył się w jej stronę. Poczowała narastającą panikę. Dłonie trzymające kierownicę pokryły się wilgocią, a ona sama niemal siłą musiała się powstrzymać, by nie zostawić roweru na pastwę losu i nie czmychnąć w okoliczne zarośla.

Samochód zatrzymał się jakieś pięć metrów od niej. Jego silnik miarowo pomrukiwał, a światła paliły tak mocno, że Zojka musiała odwrócić twarz, by jej nie oślepiły.

Zachowaj spokój, nakazała sobie stanowczo, przecież to wszystko musi mieć logiczne wytłumaczenie! Z pewnością ktoś rozmawia przez komórkę i zatrzymał się na kilka minut. A światła? Może nie zdaje sobie sprawy, że w ogóle je ma?

Jednak w głębi duszy doskonale wiedziała, że spotkanie z tym dziwnym pojazdem nie jest przypadkowe! Zbyt wiele okropnych rzeczy działo się w jej bezpośrednim sąsiedztwie!

Poza tym lubiła czytywać Stephena Kinga i pamiętała Christine...

Ponownie przełknęła ślinę i prowadząc rower, zrobiła kilka kroków.

Samochód drgnął i leniwie potoczył się za nią.

Zabawa w kotka i myszkę, pomyślała przerażona, przystając. Samochód znieruchomiał.

Zojka w panice rozejrzała się naokoło. Znajdowała się w miejscu, gdzie nad drogą wznosiła się dość stroma skarpa porośnięta krzakami jeżyn i innymi kłującymi zaroślami. Próbowwała oszacować swoje szanse na wdrapanie się po tej skarpie, jednak w półmroku było to bardzo trudne. Obejrzała się w kierunku szemrzącego nieopodal samochodu, ale była w stanie dostrzec jedynie dwie rozmazane plamy światła. Uszy jej jednak nie myliły, pojazd ruszał...

Zojka skuliła się nad ramą roweru, instynktownie chowając w ramionach głowę. Słyszała trzask kamieni miażdżonych na poboczu i oczami wyobraźni ujrzała opony samochodu zjeżdżające z asfaltu, by zmieść ją z powierzchni Ziemi. I taki będzie mój koniec? – pytała samą siebie w myślach. – Zostanę rozjechana na drodze jak żaba, której zachciało się kąpieli w deszczowy dzień? Dlaczego? Co zrobiłam, że ten psychopata upatrzył sobie właśnie mnie? Czy kiedy już mnie

rozpląszczy jak naleśnika, wróci, by obciąć sobie moją dłoń, stopę albo małżowinę uszną w charakterze trofeum i... upominku dla kolejnej pasażerki PKP?

Tak pochłonięły ją rozważania związane z tragiczną i zupełnie idiotyczną śmiercią na drodze, że nawet nie zauważyła, kiedy samochód szybko ją wyminął i ruszył dalej, stopniowo nabierając prędkości. Gdy uniosła głowę i spojrzała za nim, był już bardzo daleko, poza tym i tak nie dostrzegłaby żadnych szczegółów, ponieważ przed oczami tańczyły jej kolorowe plamy. Mimo to stwierdziła, że auto porusza się dość dziwnie i dopiero po chwili dotarło do niej, że najprawdopodobniej kierowca stracił panowanie nad samochodem. Kiedy rozległ się huk, Zojka z mściwą satysfakcją pomyślała, że rozwalił się na przydrożnym drzewie, co prawdopodobnie zakończy tę całą farsę z dziwacznymi przesyłkami i podrzuconymi częściami ciała. Zaraz pojęła jednak, że jej nadzieje były próżne, a koszmar ani myśli skończyć się ot tak, bo ona wyraziła takie życzenie. Świadczył o tym podłużny kształt rozciągnięty na jednym pasie jezdni. Zojka puściła rower, nie zwracając uwagi na to, co się z nim dzieje, i sięgnęła do kieszonki po telefon. Gorączkowo wybierała numer pogotowia, biegnąc w kierunku nieruchomej ofiary wypadku.

Chochołek gramolił się z wnętrza samochodu, główkując nad tym, co go podkusiło podarować Zojce Tuszyńskiej numer prywatnej komórki. Siedział sobie w najlepsze przed telewizorem, podziwiał karkołomne wyczyny piłkarzy polskiej ekstraklasy, pogryzając orzeszki i cmokając przy ciekawszych akcjach, kiedy zadzwoniła i pochlipując do telefonu, wyznała, że zabiła człowieka.

Aspirantowi stanęły na głowie wszystkie włosy. Czyżby Niewiadomska miała rację, podejrzewając młodą kobietę? Czy Zojkę ruszyły wyrzuty sumienia? Szybko otrząsnął się z szoku i rozpoczął przesłuchanie, w wyniku którego dowiedział się o wypadku na drodze. Natychmiast zapomniał o wszystkich bramkach, tych strzelonych i niestrzelonych, zarzucił na grzbiet pierwszą lepszą koszulę i pognął w kierunku miejscowości wskazanej przez roztrzęsioną Tuszyńską.

Dostrzegł ją, gdy tylko stanął na wyprostowanych nogach. Kucała przy leżącym na poboczu rowerze i wyglądała jak kupka nieszczęścia. Albo nawet dwie kupki. Aspirant rozejrzał się naokoło, by ocenić sytuację. Po drugiej stronie drogi parkował ambulans, jego błyskające światła rozświetlały twarze rozgorączkowanych gapiów zbitych w ciasną gromadkę. Chochołek uśmiechnął się krzywo na ten widok. Gdy rozmawiał z Zojką, wyjaśniła mu, że do wypadku doszło na „prawie kompletnym bezludziu”. Najwyraźniej, kiedy chodzi o ludzką ciekawość, nawet na bezludziu zainteresowanych nie brakuje.

Zbliżył się do ekipy technicznej, dokonującej na drodze pomiarów. Przywitał się z policjantami, podając im rękę, i zapytał o ofiarę.

– Ofiara? – Uśmiechnął się pod nosem zapytany. – Spuści z obiegu trochę

bąbelków, zalepi plastrem guza na czole i będzie żyła. Czy raczej żył. To miejscowy konsument, dobrze znany naszym patrolom w związku ze spożywaniem w miejscach zabronionych.

– Tacy skrupulatni jesteście? – zdziwił się Chochołek, który dotychczas sądził, że policji brak czasu i energii na podobne interwencje.

– Dzwonią, to jeździmy. – Stróż prawa błysnął zębami. – Z panem Kowalczykiem jest taki problem, że nie tylko spożywa, ale także się pokłada. Gdzie wypije, tam się pokłada. A że uznaje zasadę, by do snu rozbierać się co najmniej do kałesonów, to dzwonią...

– Rozumiem. – Chochołek wołał nie wnikać w dalsze zwyczaje pana Kowalczyka. Interesował go bardziej dziwny związek wypadku na drodze z jego, hmmm, podopieczną. – A co możecie powiedzieć o samym wypadku?

– Młoda osoba zadzwoniła do dyspozytorki pogotowia z wrzaskiem, że psychopatyczny morderca właśnie usiłował ją zabić, ale nie trafił w nią i potracił śmiertelnie inną ofiarę. – Policjant zerknął do notatek. – Po odebraniu zgłoszenia przyjechaliśmy na miejsce i natrafiliśmy na pana Kowalczyka, który właśnie gramolił się na nogi, złorzeczając pod nosem, że – cytuję – „chuj roztrzaskał mi flaszkę”.

– Dobrze, dobrze – niecierpliwił się Chochołek. – A sam wypadek?

– Hmmm, ślady zgadzają się z wersją tej pani. Samochód stał na poboczu, ruszył, rozpędzając się, minął ją o parę centymetrów i stracił przyczepność. Uderzył w Kowalczyka i odjechał, nie zatrzymując się na miejscu wypadku.

– Usiłowanie morderstwa? – Aspirant nachylił się nad kolegą w oczekiwaniu.

– Ha, ha, ha! – parsknął śmiechem policjant. – Pan też? Czy wyście wszyscy poszaleli? Już ta młoda usiłowała nam sprzedać bajeczkę, że jakoby czyha na nią zwyrodnialec, który lubi sadystyczne zabawy. I co? Pomylił ją z Kowalczykiem, który właśnie wracał do domu z ostatnią flachą w kieszeni?

– Sam pan powiedział, że auto minęło ją o kilka centymetrów – zauważył Chochołek.

– Bo tak tu jeżdżą! Co rusz jeden z drugim w rowie lądują. Albo na drzewie. Jak jest ograniczenie do 50, to dawaj 70, jak jest 70, to 100 i tak dalej...

– Więc co się wydarzyło?

– Według mnie ktoś zatrzymał się na poboczu, by pogadać przez komórkę. Albo nie wiem, wyciągnąć coś ze schowka. Ruszył, nie zobaczył dziewczyny, bo swoją drogą ubrała się jak na własny pogrzeb, ciemne spodenki, bluza granatowa, światła przy rowerze nie ma, dobrze, że choć nogi ma blade... Ruszył, jak mówię, w ostatniej chwili ją dostrzegł, odbił i stracił panowanie, by klepnąć Kowalczyka. Mogło dojść do tragedii. – Policjant pokiwał głową ze zmartwioną miną,

postukując długopisem o trzymany w dłoni notes.

Chochołek obejrzał się w kierunku Zojki. Rzeczywiście, ubrała się na ciemno, odblasków pewnie nie miała, nic tylko wytargać taką za uszy...

– Żeby pan wiedział! – Pokiwał głową. – Żeby pan wiedział.

• Rozdział jedenasty •

Tej nocy Zojka nie zmrużyła oka. A przynajmniej póki sen jej nie zmorzył i nie zasnęła mocno, ściskając jedną dłonią telefon komórkowy z opcją szybkiego wybierania numeru Chochołka, a wałek babuni Łyczakowej drugą. Obudziła się przed szóstą, rześka i wypoczęta, i na paluszkach zakradła się do kuchni, by odłożyć kuchenne akcesorium na swoje miejsce.

– A tu żeś jest, cholero! – usłyszała za plecami i przestraszona podskoczyła w miejscu.

– Ja? – zapytała na wszelki wypadek.

– On! – Babunia wskazała sękatym palcem na drewniany osprzęt w dłoni Zojki. – Szukałam go pół nocki!

– A po co ci w środku nocki wałek, babuniu? – zainteresowała się wnuczka.

– A tobie? – odpowiedziała pytaniem na pytanie starsza kobieta. – Chyba nie...? – Odchrząknęła.

– Nie! – wykrzyknęła oburzona dziewczyna.

– Czasami gniotę po nocy makaron. Gdy nie mogę zasnąć i mam coś do przemyślenia – wyjaśniła babunia, sięgając po wałek. – Ale po co on tobie?

– Dla ochrony. Przed komarami.

– Bijesz komary moim wałkiem do ciasta? – zdenerwowała się babunia. – Kup sobie własny!

– Tak zrobię... – mruknęła Zojka, podchodząc do kuchni i sięgając po czajnik. – Co chciałaś przemyśleć, babuniu?

– Sporo rzeczy. Chociażby to, dlaczego moją wnuczkę po nocy przywozi do domu policja.

– A to nic takiego. – Zojka mimowolnie zadrżała, stawiając napełniony czajnik na kuchenkę. – Byłam świadkiem wypadku.

– Nic ci nie jest? – zaniepokoiła się babcia.

– Wszystko w porządku – mruknęła młoda kobieta. Przynajmniej fizycznie, dopowiedziała w myślach. Babunia nie wyglądała na przekonaną, ale wzruszyła ramionami i wrzuciwszy wałek do szuflady, westchnęła.

– Zawsze przyciągałaś kłopoty, dziecko! Widać taki twój urok...

– Na psa urok – mruknęła Zojka, odgryzając piętę mocno przypieczonego chleba. Burek natychmiast zmaterializował się u jej stóp. – No co jest? Nie wołałam cię przecież! Tak się tylko mówi!

Czworonóg nie dał się jednak przekonać i ponagliana zamaszystymi ruchami ogona Zojka sięgnęła w końcu po kawałek kiełbasy. Sprawiedliwie podzieliła przysmak na dwie równiutkie części i odłożywszy jedną dla rudowłosego mieszkańca peronu, resztą uszczęśliwiła kudłate psisko. Jedno kłapnięcie paszczy,

jeden ruch języka i po kielbasie! Zojka zalała wrzątkiem kawę i pospieszyła do łazienki. Babunia śledziła ją podejrzliwym spojrzeniem.

Blisko dwie godziny później Zojka przemykała zacienioną ulicą Barską w kierunku siedziby „Kroniki”, nerwowo rozglądając się na boki. Tego ranka Kordecki również nie jechał do pracy pociągiem, co przyjęła z pewnym rozczarowaniem. Choć sama przed sobą usiłowała grać odważną, wypadki poprzedniego wieczoru wytrąciły ją z równowagi. Ci zidiociali policjanci mogli sobie mówić, co im się żywnie podobało, ale ona, Zojka, wiedziała swoje. To nie był wypadek, przypadek, ani żaden inny incydent. Kierowca samochodu rozmyślnie ją oslepił, a potem gwałtownie ruszył w jej kierunku. Może chciał ją tylko przestraszyć (choć skłaniała się ku dramatyczniejszej wersji, że chodziło o rozpląszczenie jej jak naleśnika), ale w efekcie ucierpiał na tym Bogu ducha winny mężczyzna. I równie Bogu ducha winna butelka.

Czy mogło chodzić o coś innego niż o kolejną odsłonę przygód z szubrawcem, który najpierw podrzucił jej do torebki ludzką dłoń, a następnie dostał jeszcze zegarek? Nie wiedziała, czym naraziła się temu psychopacie, ale najwyraźniej w którymś momencie życia nadepnęła mu na odcisk. Może nie pożyczyła mu kredek w zerówce? Albo gruchnęła łokciem w kolejce na zjeżdżalnię przed starą podstawówką?

Nie miała pomysłu, co mogło kierować tym człowiekiem, ale wiedziała już o nim kilka rzeczy. Po pierwsze: był mordercą. Świadczyła o tym odcięta dłoń. No, chyba że przysłał jej własną, ale nic na to nie wskazywało. Po drugie i to było jeszcze gorsze niż pierwsze: obserwował ją. Śledził. Wiedział, kiedy jest sama. Jak poprzedniego wieczoru.

Jak teraz.

Serce Zojki boleśnie zatłukło się w piersi, a spanikowana dziewczyna rzuciła się do biegu. Ostatnie kilkaset metrów pokonała pędem, z impetem pchnęła skrzydło bramy i drzwi prowadzące do budynku, by wpaść do siedziby redakcji z rozwianym włosiem i głośnym sapaniem. Na miejscu oparła się o drzwi, uspokajając oddech i popatrzyła po współpracownikach. A oni spojrzeli na nią.

Kordecki opuścił trzymany w dłoni skoroszyt i wyprostował się znad biurka Igi. Zojka dostrzegła w jego oczach rozbawienie. Oderwała się od drzwi i mamrocząc pod nosem mieszankę przeprosin i powitań, pospiesznie zajęła swoje miejsce i sięgnęła do torby po laptopa.

Na wierzchu leżała bluza Kordeckiego.

Niewiele myśląc, Zojka odwróciła się z krzeselkiem i wyciągnęła rękę w kierunku redaktora.

– Dziękuję – rzuciła pogodnym tonem. W pokoju zapadła grobowa cisza, a zaskoczona Zojka stwierdziła, że wszystkie spojrzenia są utkwione właśnie w nich. Grubasek spod drzwi wpatrywał się w Zojkę z uchylonymi ustami, a Iga złapała

ołówek i zaczęła go obgryzać. Zojka miała ochotę palnąć się w głowę. Najpierw pomyśl, potem zrób, powtarzała jak mantrę. Teraz wszyscy stwierdzą, że łączy ją z szefem coś więcej niż praca! Dłoń trzymająca bluzę lekko zadrżała. Kordecki zawahał się na ułamek sekundy, po czym wyciągnął rękę po swoją własność.

– Nie ma za co – mruknął, nie patrząc na nową pracownicę. Ołówek w ustach Igi trzasnął tak niespodziewanie, że Klaudia wzdrygnęła się na swoim krzeselku.

– Chyba mamy przeciąg! – zawołała, zrywając się zza biurka. Jej uwaga rozładowała napięcie. Redaktor zarzucił bluzę na ramię i ponownie nachylił się nad stolikiem Igi, pęknięty ołówek wylądował w koszu na śmieci, a Zojka uruchomiła komputer i zajęła się poszukiwaniem informacji na temat hodowanych w powiecie świń, wyzywając samą siebie od idiotek.

Temat imprezy zainteresował ją do tego stopnia, że nawet nie zauważyła, kiedy redaktor zatrzymał się przy jej stanowisku.

– Rozmawiałem z Chochołkiem – powiedział przyciszonym głosem. – Wszystko w porządku?

– Tak – odparła.

Skinął głową i odszedł w kierunku Klaudii. Zojka odprowadziła go spojrzeniem, po czym zerknęła za siebie. Tak jak się spodziewała, Iga wpatrywała się w nią z triumfującym wyrazem twarzy. Już wiem, mówiła jej mina.

Guzik tam wiesz, odpowiedziała jej w duchu Zojka, otwierając kolejną kartę w przeglądarce. Zupełnie jak ja.

– Zojka Tuszyńska znajduje się na celowniku mordercy – obwieścił zadowolonym tonem Chochołek, smarując dżemem truskawkowym bułkę grahamkę. Jego kanarek, Kleofas, zaczął radośnie w klatce, jakby chciał potwierdzić słuszność stwierdzenia swojego opiekuna. Chochołek uśmiechnął się do ptaszka i odgryzł solidny kęs pieczywa. – I bałdzo dobsze, bo dzięki temu wysztarczy ją obszerwowacz i czekacz, asz ten psychopata zdecydjuje się wyjszcz z ukrycza. I żgarnącz go. A wiesz, czo to oznacza? Nie? To ja cię uszwiadomię! To oznacza, sze Wanda Niewiadowszka uszre się w ten gupi jęzor!

Aspirant Paweł Chochołek lubił swoją pracę. Spędzał spokojne dni na komendzie powiatowej w Wadowicach, rozwiązując mało skomplikowane sprawy związane z sąsiedzkimi bójkami i kradzieżami. Wiódł całkowicie zwyczajne, może nawet odrobinę nudne życie, i zupełnie mu to nie przeszkadzało. I z pewnością wiódłby je jeszcze kilka latek, ciesząc się wygodną posadą, mało uciążliwym szefem i bliskością piekarni Dom Chleba z całkiem dobrym asortymentem słodkich bułeczek, od których rósł mu brzuch, gdyby nie zmiany personalne w miejscowej prokuraturze. Wanda Niewiadowska wkroczyła w jego życie jak wichura, burząc spokój i rutynę. Na każdym kroku udawiała mu swoją wyższość, przyszpilając go przenikliwym spojrzeniem starannie umalowanych oczu i uśmiechając się

cieniutkimi wargami, które wydawały się ostre jak żyłotka. Chochołek wiedział jednak doskonale, że prawdziwe ostrze kryje się za nimi, w postaci ciętego języka pani prokurator. W życiu Pawła Chochołka – zarówno osobistym, jak i zawodowym, w tym drugim jednak znacznie częściej – przewijały się już różne kobiety, ale żadna nie potrafiła rozgrzać go do czerwoności jak Wanda Niewiadomska. Nienawidził jej. Myślał o niej w pracy, gdy z głupawą miną przeglądał dokumenty związane ze sprawą Zojki Tuszyńskiej, myślał o niej po powrocie do domu, gdy zakładał znoszone kapcie i karmił Kleofasa ulubionymi ziarenkami. Myślał o niej nawet, kiedy miał wolny dzień i wybierał się na ryby! Przypominał sobie o niej za każdym razem, kiedy otwierał pudełko z robakami i całe wędkowanie trafiał szlag. Wiadomo, że z wędką to tylko spokojnie i cierpliwie, a jak miał być cierpliwy i spokojny, skoro przed oczami miał jej znaczący uśmiezek?

Potrzebował czegoś, czym uda mu się zetrzeć tę zadowoloną minę z twarzy prokuratora.

Zojka Tuszyńska nadawała się do tego znakomicie.

Aspirant Chochołek otarł brodę z okruszków grahamki, zastukał delikatnie w pręty klatki, by Kleofas wiedział, że pańcio bardzo go kocha, a następnie pochylił się nad zeszytem w kratkę kupionym w sklepie papierniczym na Zatorskiej. Z pomocą mocno zaostzonego ołówka zaczął rysować wykres składający się z osób zamieszanych w sprawę podrzuczonej dłoni. Nazwisko Tuszyńskiej zajmowało centralne miejsce, ale policjant dobrze wiedział, że nie chodzi o nią. Z miejsca, w którym ją umieścił, cieniutkie strzałki rozpełzały się w różnych kierunkach, wskazując kolejnych podejrzanych. Jego zadaniem było odkryć, która z nich wskazuje prawidłowo. I był pewien, że uda mu się zrealizować to zadanie.

Czwartkowy wieczór Zojka zamierzała spędzić w ogrodzie babuni Łyczakowej. Obawa, że za którymś drzewem czai się morderca z samochodu, czyhający na ludzkie części ciała, skutecznie pozbawiła ją ochoty na odbywanie wycieczek po wsi. Najpierw rozsiadła się na ławeczce z laptopem na kolanach, ale po kilkunastu bezowocnych próbach złapania zasięgu sieci bezprzewodowej zrezygnowała i z głośnym westchnieniem zamknęła klapę urządzenia. Przez moment rozkoszowała się promieniami słabo świecącego słońca, mrużąc oczy i poruszając rytmicznie lewą stopą, aż w końcu z nudów wylądowała na klęczkach w gęstej trawie i zaczęła pełnymi garściami wyrywać porastające rabatkę chwasty.

– Dlaczego wyrywasz mój groszek pachnący? – zagrzmiała babunia, materializując się nagle między drzewami.

– To? – zdziwiona Zojka spojrzała na uzienione ręce. – Nie wyrywam, tylko przerywam. Żeby lepiej rosło. Nudzi mi się.

– To idź na spacer i nie demoluj mi ogrodu!

– Nie mogę pójść na spacer. – Zojka wzruszyła ramionami, na powrót

zajmując miejsce na ławeczce.

– Dlaczego?

Dlaczego? – powtórzyła Zojka w myślach. Nie chciała wciągać babuni w ciemne sprawki, w które sama wdepnęła. Staruszka może i czuje się młodo, ale serce już nie to. Nie powinna zamartwiać się o wnuczkę i jej zabawę w kotka i myszkę z jakimś tam wariatem od rozczłonkowanych ciał.

– Czekam na ważny telefon, a nie chcę, żeby komórka mi się rozładowała – skłamała bez mrugnięcia okiem i nagle poczuła, że jeśli jeszcze chwilę spędzi na kontemplowaniu chmurki przesuających się po niebie, to oszaleje. Naprawdę potrzebowała przechadzki! Babunia najwyraźniej czytała w jej myślach, bo klepnęła ją otwartą dłonią po kolanie.

– Nie siedź w domu, dziecko! Odwiedź rodziców albo Zosię. Sprawdź, co mają w promocji w delikatesach. Zrób cokolwiek, tylko nie pozwól zamknąć się w domu!

– Ale... – próbowała zaprotestować Zojka, jednak babunia nie chciała słyszeć słowa sprzeciwu.

– Telefon zostaw mnie, w razie czego odbiorę. Znam się na tym – oświadczyła z dumną miną. – Potrafię obsługiwać komórkę. Raz, jak Guzikowa złamała nogę, dzwoniłam na pogotowie!

– Naprawdę? – Młoda kobieta uśmiechnęła się pod nosem.

– Noooo. Tylko palec mi się omsknął, jak wybierałam numer, i dodzwoniłam się na straż. Cztery jednostki do Guzikowej przysłali. Jedną chyba z Andrychowa.

– Babuniu... – Zojka poczuła, że zaraz popłacze się ze śmiechu. Z babunią Łyczakową nie sposób było się nudzić czy smucić. Przy babuni Łyczakowej najstraszniejsze upiory chowały się w ciemne kąty. Pewnie się bały, że przepędzi je siekierką...

– No co: babuniu, babuniu! Powiedziałam im, żeby się pospieszyli, bo Guzikowa ma straszne gazy, a oni zrozumieli, że chodzi o jakiś wyciek... uszu nie myli? – mruknęła.

Zojka bez dalszej zwłoki ruszyła w kierunku wsi, kręcąc głową i podśmiewając się pod nosem. Babunia rozparta na ławeczce odprowadzała ją wzrokiem. Chociaż dziewczyna nie zostawiła jej swojego telefonu, nie oponowała. Zdawała sobie sprawę, że tak naprawdę nie chodzi o ważną rozmowę, lecz o coś zupełnie innego. Nie naciskała. Wiedziała, że prędzej czy później wnuczka się przed nią otworzy i wyrzuci z siebie zmartwienia. Zawsze tak było. To do domku na wzgórzu przybiegła, kiedy na półroczce nauczycielka wystawiła jej ocenę dopuszczającą z matematyki i bała się gniewu rodziców. To u babuni szukała schronienia, gdy w zabawie w dwa ognie rozbili staremu Filipowi okno w ganku i ganiał za nimi po całej wsi z paskiem w ręku, podciągając co rusz opadające do kolan spodnie. I właśnie tutaj wyplakiwała swój żal, gdy odkryła, kim naprawdę

jest poznany na wycieczce rowerowej chłopak.

Tym razem też tak będzie. Po prostu była starsza i potrzebowała trochę więcej czasu, aby do tego dojrzeć.

Tymczasem Zojka powoli schodziła wąwozem w kierunku wsi. Nie miała przygotowanego planu, dokąd pójść, więc po prostu podążała przed siebie, ciesząc się spacerem. Co rusz niespokojnie rozglądała się na boki, ale wszystko wydawało się w jak najlepszym porządku. Mieszkańcy Lipówki wylegli do przydomowych ogródków, gdzie podlewali rośliny lub po prostu siedzieli na rozbudowanych huśtawkach, ciesząc się ostatnimi promieniami słońca. Środkiem drogi przemknął czarny kot, błyskając zadziwiająco zielonym spojrzeniem.

Myśli Zojki natychmiast poszybowały w stronę kociego mieszkańca peronu. Zapomniała o zagrożeniu, którego cały dzień starała się unikać i przyspieszyła kroku, równocześnie gmerając w kieszeni w poszukiwaniu drobnych pieniędzy. W delikatesach kupiła pęto kiełbasy i plastikowy nożyk. Obsługująca ją ekspedientka miała taką minę, jakby Zojka zamierzała skonsumować wędlinę na miejscu. Krakowska maniera – wyczytała z jej oczu rozbawiona klientka i nie tracąc już ani chwili, zawróciła w kierunku przystanku PKP.

Podchodząc do peronu, zawahała się. Najwyraźniej nie ona jedna postanowiła tego wieczoru odwiedzić to miejsce, bo o żółtą, mocno przybrudzoną ścianę budynku oparto rower. Pojazd wydał się Zojce dziwnie znajomy i poczuła, że jej serce zaczyna mocniej bić. Ukryła się za załomem muru i ostrożnie wyjrzała na peron.

W pierwszej chwili niczego nie dostrzegła i poczuła rozczarowanie. Zaraz jednak ciszę przerwało donośne miauknięcie, potem jeszcze jedno i jeszcze. Zojka wyciągnęła szyję i w końcu go dostrzegła. Kordecki! Kuczał na peronie w tym swoim rowerowym wdzianku, z fioletowym kaskiem na głowie i kiciał. Tak, kiciał. Kici, kici. A kot wydierał się, jakby go żywcem z futra obdzierali. Więc on taki? – rozłościła się Zojka. – Dręczyciel zwierząt zafajdany? Już ja ci dam, psychopato!

I już, już odrywała się od odrapanej ściany budynku, by ruszyć zwierzęciu z odsieczą i przyłożyć Kordeckiemu po nerkach kupioną kiełbasą (nie najświeższą, więc twardą, swoją drogą), gdy zmroziła ją nagła myśl. Kordecki jest psychopata. To nasuwało pewne skojarzenia. Bo czy mogła mieć aż takiego pecha, by w jej bliskim otoczeniu pojawili się psychopaci w liczbie mnogiej? Nie ma szans, to było statystycznie niemożliwe. Drugi psychopata musiał przysługiwać komuś innemu. Ale gdyby wszystkich psychopatów w otoczeniu Zojki sprowadzić do wspólnego mianownika? Albo osobnika?

Jak skamieniała wpatrywała się w poruszające się nad peronem plecy mężczyzny. Czy to możliwe, by Kordecki odpowiadał za te wszystkie okropne wydarzenia? Dokonywała w głowie pospiesznych analiz, zyskując kolejne potwierdzenia dla swojej tezy. Wszystko wskazywało na niego. Niechęć

ukierunkowana na Zojkę od pierwszego spotkania w pociągu. Możliwość podrzucenia części ciała, gdy zagadała się z Tomkiem. Paczka zaadresowana na jej nazwisko dziwnym trafem została odnaleziona w redakcji „Kroniki Wadowickiej”. Nawet wypadek na drodze – wszak Kordecki dobrze wiedział, gdzie ona się znajduje i najwyraźniej prędko zawrócił do domu po samochód, aby zmieścić ją z powierzchni ziemi!

I jeszcze miał czelność pytać, czy wszystko w porządku!

A może sprawdzał, czy ona coś pamięta?

Czy dostrzegła coś niepokojącego lub... znajomego?

Zatopiona w myślach Zojka nie zauważyła, że na peron wtoczył się pociąg. Powoli wracała do rzeczywistości, wpatrując się w opustoszałe wagony. Nagle tuż obok jej nogi przemknął rudy kocurek. Czmychnął w zarośla, a Zojka pomyślała, że na razie jest bezpieczny, ale będzie musiała mieć go na oku. Na peronie zachręściły kamienie. Kordecki wracał po zostawiony przy budynku stacji rower. Nie może mnie zobaczyć! – pomyślała spanikowana kobieta i nie zastanawiając się, wskoczyła w krzaki w ślad za kotem. Przy okazji boleśnie poparzyła się pokrzywą i teraz przeklinała pod nosem Kordeckiego i własne pomysły.

– Koniec zabawy! – mruzczała, zdmuchując z nosa lepłą pajęczynę. – Już ja się z tobą rozprawię, że nawet nie miaukniesz...

• Rozdział dwunasty •

Aspirant Paweł Chochołek zalewał sobie właśnie herbatę owocową w ulubionym kubku z żółtym ptaszkiem i sięgał po bułkę z pasztetówką, kiedy w pokoju socjalnym pojawił się młody funkcjonariusz.

– Aspirancie, szuka pana jakaś kobieta.

– Kobieta? – przeraził się Chochołek. Z samego rana miał zadzwonić do szefowej prokuratury i zdać jej relację z postępów w śledztwie, ale tego nie uczynił z tego konkretnego powodu, że postępów nie było. A jeśli nawet były, to tylko takie, o których wiedzieć nie powinna.

Nie powiadomił jej nawet o wypadku drogowym, który prawdopodobnie miał na celu wyeliminować Zojkę Tuszyńską, a teraz aż się cały trząsał na myśl, że dowiedziała się o nim z własnych źródeł i wpadła do budynku, aby wytargać go za uszy. Albo kosmyki włosów. Chochołek był potwornie przewrażliwiony na punkcie swojej snopkowatej fryzury.

– Czy to prokurator Niewiadomska? – dopytywał niespokojnie.

Młody policjant wzruszył ramionami. Pracował od niedawna i niemal nie podnosił nosa znad klawiatury, na której wystukiwał miliony różnych dokumentów, więc nawet nie miał pojęcia, jak wygląda Niewiadomska. Chochołek usiłował się skupić i opisać szefową prokuratury, ale w końcu machnął lekceważąco ręką i odłożył odpakowaną ze sreberka bułkę na plastikową podkładkę. To nie Niewiadomska. Ta baba jest zbyt ostra, by czekać na korytarzu, aż jakiś żółtodziób poda jej Chochołka na tacy!

Aspirant obejrzał się z żalem na drugie śniadanie i zbiegł na parter. Nieopodal dyżurki dostrzegł Zojkę Tuszyńską. Dziewczyna krążyła po korytarzu, niedbale podrzucając kremową torebką. Na ten widok Chochołek głośno przełknął ślinę. Zojka dostrzegła go i podbiegła z promiennym uśmiechem.

– Już wiem! – oświadczyła zduszonym szeptem.

– Że co? – Policjant poczuł się zdezorientowany.

– No kto za tym stoi!

– Co?! – Otworzył szeroko oczy. – Za czym?

– Za wszystkim – sprecyzowała. – Za ręką, paczką i wypadkiem samochodowym. Odkryłam to przypadkiem. Wczoraj.

– Nie może być – zdenerwował się Chochołek. – Proszę za mną. Chyba musimy porozmawiać.

– Tylko szybko – zastrzegła. – Bo jak się spóźnię do pracy, to mnie ten tamten przechrzci. Albo ukatrupi. Choć może po tym, co powiem, to już nie będzie miało większego znaczenia...

Chochołek złapał Zojkę za ramię i poprowadził do zajmowanego przez

siebie pokoju. Poczul, jak z emocji jego czoło pokrywa się potem. Młoda kobieta opadła na wskazane krzesło, a aspirant zajął się przetrząsaniem szuflady biurka w poszukiwaniu chusteczek higienicznych. Jak na złość, żadnej nie było i musiał zadowolić się paczką pomiętych serwetek, które najwyraźniej zostały po jakiejś imprezie. Ocierał nimi czoło, posapując. Zojka obserwowała go bez słowa, kołysząc się na krześle. Nagle wystawiła w jego kierunku palec.

– Kordecki! – wykrzyknęła.

– Gdzie? – Chochołek o mało nie podskoczył w miejscu. Paczka serwetek wypadła mu z ręki i soczyście zielone kwadraciki sfrunęły na podłogę.

– Żadne: gdzie – oburzyła się Zojka. Chochołek opadł na kolana i zajął się zbieraniem serwetek. Młoda kobieta przez chwilę obserwowała jego ruchy, aż w końcu zsunęła się z krzesła i zaczęła mu pomagać. Razem uporali się z tym raz-dwa i Chochołek mógł na powrót zamknąć serwetki w szufladzie. Odetchnął głęboko i usiadł za biurkiem, zerkając wyczekująco na Tuszyńską. Zojka przybrała triumfującą minę. – Kordecki – powtórzyła. – To on za tym stoi!

Chochołek pokręcił głową zniesmaczony.

– I przerywa mi pani śniadanie, by opowiadać takie dyrdymały?

– Dyrzymały? – Zojka posłała mu obrażone spojrzenie. – To nie są żadne dyrdymały. Ja to wszystko logicznie przemyślałam. Przeanalizowałam. Oka nie zmrużyłam, całą noc główkowałam!

– I do jakich wniosków pani doszła?

Zojka przyjęła wygodniejszą pozycję na krześle, dłonie splotła na kolanach i zaczerpnęła tchu. Następnie punkt po punkcie wyszczególniła, dlaczego uważa, że za ostatnie zdarzenia odpowiada redaktor Marcin Kordecki. Chochołek z trudem powstrzymał się, by nie parsknąć śmiechem. Pokręcił głową, jakby był świadkiem wyjątkowego dziwactwa. Urażona Zojka nie zamierzała się poddać.

– To wszystko było starannie zaplanowane! – przekonywała gorąco. – Nawet fakt, że przyjął mnie do pracy. A pan mnie, jak na tacy, takiemu psychopacie...

– Przecież wcale pani tam nie chciał. Sprzeciwiał się z całych sił! – zachnął się aspirant.

– Dla niepoznaki! Tak naprawdę zaciera ręce na myśl, że w każdej chwili może mnie... kyk! – Wykonała znaczący ruch dłonią na wysokości szyi. – Pan mi musi zapewnić ochronę! Zanim on mnie ubije! Już raz próbował, samochodem, a kto wie, na jaki pomysł jeszcze wpadnie? – złościła się.

– Kordecki nie próbował pani przejechać! – oburzył się Chochołek. Poczul, że zaczyna boleć go głowa i próbował przypomnieć sobie, gdzie też mógł włożyć pudełko z ibupromem.

Zojka cmoknęła zirytowana.

– Myślałam, że już uzgodniliśmy, że to nie był zwyczajny wypadek i że chodziło o...

– Tak, tak – przerwał jej niecierpliwie. – Ale Kordecki nie ma samochodu.

– Och – stropiła się Zojka.

– Więcej. Nie ma nawet prawa jazdy – rozochocił się policjant. – Sześć razy podchodził do egzaminu i sześć razy go oblali. Jest antytalentem motoryzacyjnym i dziwię się, że jeździ chociaż rowerem...

– Nie wiedziałam. – Zojka przygryzła wargę. – To stawia tę sytuację w nieco innym świetle, bo widzi pan...

– Pani Zojko! – W głowie Chochołka rozbłysły fajerwerki, a on sam skrzywił się boleśnie i złapał za czoło pod snopkową grzywką. – Proszę wracać do pracy i udawać, że coś pani robi! A ja będę udawał, to znaczy będę działał przy śledztwie i robił wszystko, by odkryć, kto za tym stoi. W porządku?

– No w porządku. – Zojka z ociąganiem podniosła się z krzesła. Posłała aspirantowi ostatnie błagalne spojrzenie. – Ale jest pan pewien, że to nie Kordecki...?

– Jestem pewien – zawołał, myśląc o bułce z pasztetówką i czując napływającą do ust ślinkę.

– ...bo ja nie jestem taka pewna i zamierzam go poobserwować – rzuciła, kładąc rękę na klamce. – Ale nie będę panu wchodzić w drogę! – zastrzegła szybko i zanim zdążył zareagować, zniknęła za drzwiami.

Aspirant Paweł Chochołek uniósł się z fotela, jednak natychmiast opadł nań z powrotem. Delikatnie masował czoło, ale ból głowy nie mijał, wyszarpnął więc szufladę i namierzył opakowanie środków przeciwbólowych. Przy okazji znalazł pęknięte lusterko kieszonkowe i podniósł je na wysokość oczu. Parsknął rozłoszczony, wpatrując się w zafarbowane na zielono czoło.

Zojka opuściła budynek komendy i ulicą Lwowską potoczyła się w kierunku rynku. Nie była usatysfakcjonowana rozmową z Chochołkiem, co to, to nie. Oczywiście nie liczyła, że na wysnutą przez nią teorię aspirant zareaguje klaskaniem w dłonie i radosnym fikołkiem, ale nie spodziewała się, że tak szybko obali przedstawione przez nią argumenty i że podejdzie do sprawy tak obojętnie. A przecież gra toczyła się o jej życie! Czy nie potrafił tego pojąć swoim małym rozumkiem ukrytym pod strzechą żółtych włosów?

Wyjaśnienia policjanta w ogóle do niej nie przemawiały. Że niby Kordecki nie potrafi kierować samochodem? Aby kogoś przejechać, wcale nie trzeba umieć jeździć. Ba, „nieumienie” jest nawet wskazane! Powie potem taki, że mu się pedały pomyliły albo że chciał wycieraczki włączyć i mu się stopa obsunęła, gdy się na nich skupił. Albo że zając na drogę wyskoczył i nie chciał biednego kicusia załatwić. A dziewczyna? Jaka dziewczyna? – zapyta z niewinną miną, a potem wróci do swojej piwnicy czy innej sekretnej skrytki, jak to nie raz widziała na filmach, i zakreśli duży czerwony krzyżyk na jej zdjęciu.

Z ponurych rozmyślań wyrwał Zojkę donośny dźwięk klaksonu. Tak się

poświęciła rozmyślaniami na temat *modus operandi* Kordeckiego, że na wysokości Galicjanki o mało nie wlaża przed maskę dużego dostawczaka. Kierowca zamachał na nią zniecierpliwiony, więc szybko przebiegła i ruszyła dalej, czując krople potu spływające po plecach.

Do rozważań powróciła dopiero na Barskiej, gdy pozostawiła za sobą wszystkie przejścia dla pieszych, legalne i nielegalne. Zrozumiała, że na Chochołka nie ma co liczyć i musi zdemaskowaniem Kordeckiego zająć się sama. To nie będzie łatwe zadanie, westchnęła, ale ktoś się musi tego podjąć. Co prawda wolałaby, żeby jej przeciwnikiem okazał się ktoś inny, ale jak się nie ma, co się lubi...

Przedpołudnie upłynęło jej na zbieraniu informacji na temat świni rasy Hampshire i dyskretnym obserwowaniu Kordeckiego. Redaktor zachowywał się całkiem normalnie. Kręcił się pomiędzy dziennikarzami, dyskutując o tym i owym. Zawędrował nawet do Zojki i widząc na ekranie laptopa sympatyczny świński ryjek, pokiwał głową i pochwalił za skrupulatne przygotowanie do powierzonego tematu. Wbrew sobie dziewczyna ucieszyła się z miłych słów przełożonego i natychmiast zganiła się za te myśli. Nie ma co szczerzyć zęby, westchnęła w duchu. Jeśli moja teoria się potwierdzi, już wkrótce kto inny zajmie stołek Marcina Kordeckiego.

Mimo to z nowym przyływem sił zabrała się do poszukiwania dalszych informacji i przeglądając kolejne fachowe artykuły, podśpiewywała sobie pod nosem.

– Masz dziś dobry humor! – zauważyła pogodnie Klaudia, przystając przy biurku.

– Mam swoje powody! – Dziewczyna uśmiechnęła się tajemniczo.

– A wyskoczysz ze mną do urzędu miasta? – Rudowłosa dziennikarka mrugnęła okiem, co pozwoliło Zojce domyślić się, że nie chodzi wyłącznie o sprawy zawodowe. – Kiedy szłam do pracy, zobaczyłam na wystawie bajeczną sukienkę. Chciałabym ją przymierzyć, ale potrzebuję drugiego babskiego oka. Sama rozumiesz – uśmiechnęła się szelmowsko – że dla mojego misia chcę wyglądać szalowo!

– Pewnie, że rozumiem, ale dzisiaj akurat nie mogę – westchnęła smutno Zojka. – Mam coś do sprawdzenia – wyjaśniła dwuznacznie.

– Szkoda. – Koleżanka wyglądała na zmartwioną, ale zaraz jej twarz rozjaśnił promienny uśmiech. – Nic to. Doradzisz mi następnym razem, a dzisiaj zdam się na sprzedawczynię. Choć one zawsze wychwalają wygląd człowieka pod niebiosa. Nawet jeśli przypomina słonia w stylonowej podomce!

Zojka parsknęła śmiechem i wróciła do artykułu na temat ras trzody chlewnej. Klaudia poszwendowała się jeszcze od biurka do biurka, aż w końcu zawędrowała do własnego stolika i zatonała w pracy. W redakcji zapanował

spokój. Młoda kobieta pomyślała właśnie, że to naprawdę przyjemne zajęcie, ta cała praca w „Kronice Wadowickiej”, choć tylko udawana. Zastanawiała się właśnie, do kogo powinna się zwrócić o ewentualne wynagrodzenie, spędzała tu bądź co bądź osiem godzin. Do Kordeckiego? Na samą myśl zadrżała. A może powinna wystawić rachunek komendzie powiatowej? Musi koniecznie zapytać o to przy najbliższym spotkaniu Chochołka...

Akurat roztrząsała w myśli, jak nawiązać do tego w rozmowie, gdy za drzwiami wybuchło małe zamieszanie. Dziennikarze podnieśli głowy znad komputerów, wpatrując się w ścianę, zza której dobiegał hałas. Nagle drzwi gwałtownie się otworzyły, a w progu stanął czerwony ze złości Kordecki.

– Panno Tuszyńska, mogę panią prosić na momencik?

Zojka uchyliła usta, chcąc zapytać, czego od niej chce, do cholery, ale jedynie poruszyła nimi kilkakrotnie i na powrót zamknęła. Spłoszona rozejrzała się po pomieszczeniu. Zalekciona Klaudia posłała jej współczujące spojrzenie. Iga uśmiechnęła się złośliwie, poprawiając na nosie okulary, a dziennikarz od wiadomości sportowych sapnął, jakby przeszkodzono mu w wyjątkowo smacznej drzemce. Zojka spojrzała na redaktora. Kordecki patrzył na nią ponaglająco, a w jego oczach pojawiły się gniewne błyski. Bez dalszej zwłoki zaczęła gramolić się z krzeselka, ale zanim zdążyła uczynić choć kroczek w kierunku przełożonego, zza pleców Kordeckiego wychylił się uśmiechnięty sołtys. Zojka zakłęła bezgłośnie i mimowolnie się cofnęła.

– Ma pani gościa – warknął Kordecki, oglądając się na stojącego z tyłu mężczyznę.

– Dzień dobry! – Maliszewski wyminął redaktora i teatralnie skłonił się zebranym w pokoju dziennikarzom, a następnie zwrócił się w kierunku oniemiałej Zojki: – Pomyślałem sobie, że zabiorę cię na ten obiecany obiad.

– Dzisiaj? – stropiła się młoda kobieta. Przez myśl przemknęło jej, że najwyraźniej narzeczony Zosi nie lubi tracić czasu. Ile minęło od spotkania na drodze? Miała wrażenie, że tysiąc lat, ale tak naprawdę upłynęły dopiero... dwa dni!

Kordecki pomyślał chyba o tym samym, bo pokręcił głową z niedowierzaniem i mruknął:

– Zojka jest teraz w pracy...

– Nie bądź taki zasadniczy! – zaśmiał się sołtys, nie patrząc na Kordeckiego. Uśmiechnął się do Zojki prosząco. – To co? Dasz się namówić? Nie przychodzę z pustymi rękoma! – I jak na zawołanie wyciągnął do przodu ukryty za plecami ogromny bukiet słoneczników. Zojka zaczerpnęła mocno tchu.

– Och! – wykrzyknęła Klaudia.

– Fiu! – wyrwało się Kozłowskiej i zastępczyni Kordeckiego spojrzała na Zojkę jakoś inaczej. Młoda kobieta pokryła się buraczkowym rumieńcem. Zerknęła

przelotnie na szefa i potrząsnęła głową.

– Nie mogę. Mam dużo pracy...

– E tam, Kordecki raz przytknie oko. Co, stary? – Poklepał przyjaciela po ramieniu, aż ten zagryzł zęby. – Nie można tak od razu rzucać pracownika na głęboką wodę! Nie przemęczaj dziewczyny i pozwól jej zjeść porządny posiłek!

Kordecki spojrzał na Zojkę pytająco. Dziewczyna poczuła, jak ogarnia ją panika. Jeszcze chwila i sołtys przekona redaktora do swojego pomysłu, a ten wypchnie ją za drzwi redakcji i każe iść na ten nieszczęsny obiad. A ona nie chciała. Sołtys był miły i sympatyczny, ale był też, a może przede wszystkim, narzeczonym Zosi! I ona, Zojka, nie zamierzała włączyć się z nim po żadnych restauracjach i obiadkach.

– Nie mogę. – Kręciła głową.

– Przestań. – Maliszewski nie przyjmował odmowy i wciskał jej słoneczny bukiet. Odłożyła wiązanekę na blat biurka i kichnęła. – Chcę cię zabrać do restauracji należącej do moich przyjaciół. Dzisiaj serwują wyśmienite kotlety wieprzowe! – kusił.

– Och! – Uczepiła się tego jak ostatniej deski ratunku. – To się idealnie składa. Właśnie piszę o hodowli świń. Spójrz – odwróciła w jego stronę laptopa, by mógł zerknąć na zdjęcie malutkich świnek – jakie słodkie ryjki. Myślisz, że właściciele restauracji będą mieć coś przeciwko, jeśli pokażę ich gościom, z czego powstają smaczne kotlety, które mają na talerzu? – zapytała niewinnie. Kątem oka zauważyła, że Kordecki dyskretnie odkasłuje i przeciera oczy.

Sołtys wyglądał jak przekłuty balonik. Splótł dłonie na plecach i spojrzał na nią prosząco.

– To może skoczmy do budki na kebaba? Albo frytki? Może frytki lepiej?

– Przykro mi – uśmiechnęła się przepraszająco – ale naprawdę nie mam dziś czasu.

– Odprowadzę cię – wtrącił Kordecki. Sołtys otworzył usta, chcąc coś dodać, ale w końcu jedynie wypuścił nagromadzone w płucach powietrze i rozłożył bezradnie ręce, jakby chciał zaznaczyć, że nic nie może poradzić na kobiecy upór. Ponownie uklonił się zebranym i opuścił pokój. Kordecki wyszedł za nim i dokładnie zamknął drzwi, a Zojka opadła na krzeselko z uczuciem nagłego zmęczenia. Udała, że nie dostrzega spojrzeń koleżanek i na powrót zatoneła w świetle hodowli trzody chlewnej.

Jak zaplanować weekend, by nie myśleć o tym, że prawdopodobnie psychopatyczny morderca inicjuje z nami zabawę w kotka i myszkę, zonglując przy okazji częściami ciała? Najlepiej trzymać się z dala od makabrycznych wydarzeń, odciąć się od nich za pomocą biletu kolejowego i automatycznie rozsuwanych drzwi składu PKP. I właśnie na to zdecydowała się Zojka. Wyposażona w znalezioną w domowej bibliotece powieść Chmielewskiej,

błogosławieństwo Chochołka, do którego zwróciła się o pozwolenie, i kilka kawałków ucieranego placka z truskawkami wyruszyła do Krakowa, aby sprawdzić, co słychać w mieszkaniu, które dotychczas zajmowała.

Kiedy dotarła do niewielkiej kawalerki w Dębnikach, z westchnieniem ulgi oparła się o drzwi. Lubiła to ciasne mieszkanko ulokowane na przedostatnim piętrze bloku wciśniętego między dwa wysokie wieżowce. Najpierw zajmowała je do spółki z koleżanką, a odkąd ta wyjechała, aby odwiedzić ciotkę zamieszkałą we Francji, cztery kąty miała tylko dla siebie. Chociaż dzięki temu zyskała przestrzeń tylko dla siebie i nie obijała się o nikogo łokciami przy robieniu kanapek i porannej kawy, Zojce brakowało koleżanki. Zawsze to łatwiej złożyć się na jogurt naturalny do ziemniaków czy paczkę papieru toaletowego. O czynszu i rachunkach już nawet nie wspominając.

Zojka zrobiła obchód mieszkania. Nie było jej niecałe dwa tygodnie, ale w tym czasie niewiele się tutaj zmieniło. Podłogę w kuchni zaściełały zasuszone liście paprotki, a w kącie między lodówką a oknem powstała imponujących rozmiarów pajęczyna. Młoda kobieta skwitowała ją krótkim przekleństwem, ponieważ od dziecka panicznie bała się pajaków. Zdecydowała się udawać, że pajęczyna wcale nie istnieje, może jakimś dziwnym cudem się zdematerializuje i następnym razem wcale jej tu nie będzie? Zamiast tego uchyliła drzwiczki lodówki i natychmiast je zamknęła. Wydobyła z torebki paczuszkę z ciastem ucieranym i zajęła się przygotowaniem kawy.

Chwilę później zrelaksowana usiadła na mikroskopijnym balkoniku, wyciągnęła przed siebie nogi, sprawnie wciskając je między doniczkę z zaschniętym badylem pomidora a rower współlokatorki, i zapatrzyła się w kawałek trawnika pomiędzy dwoma budynkami, gdzie w jej przekonaniu powinna znajdować się Wisła. Jak dobrze było znaleźć się z dala od wszelkiej maści morderców, odciętych kończyn, makabrycznych podarunków, gburowatych redaktorów i nadskakujących sołtysów! Myśleć wyłącznie o smaku ucieranego ciasta i widoku na rzekę, którego nie było. Nie przejmować się, że zza krzaku bzu wyskoczy psychopata z maczetą czy innym sekatorem i zechce jej upitolić nogę w kostce! Rozluźniona Zojka sięgnęła po powieść Joanny Chmielewskiej i przekonała się, że nie tylko w jej życiu przydarzają się absurdalne historie kryminalne. Otworzyła szeroko oczy, potrząsnęła książką i zapytała samą siebie, czy to ma być jakaś dziwaczna literacka wróżba? Bo jeśli tak, to mogła lepiej wziąć ze sobą jedną z powieści z dwoma serduszkami, od których wprost roilo się w biblioteczcze babuni Łyczakowej.

Mimo to lektura okazała się ciekawa i optymistyczna, więc po chwili zatoneła w świecie książkowych bohaterów. Siedziała na balkonie tak długo, aż kawa w kubku pokryła się lekkim nalotem, a pośladki zdrętwiały od twardego siedziska. Zojka zamknęła książkę, poprawiła się na niewygodnym stołeczku i

zamysłona spojrzała na krakowskie osiedle. A potem szybko zaczęła szykować się do drogi.

Ostatni pociąg z Krakowa przyjeżdżał do Lipówki przed dwudziestą pierwszą, ale widok babuni Łyczakowej rozpartej w krześle na ganku, skąpanej przytłumionym światłem lampy, wcale Zojki nie zdziwił. Również staruszka nie okazała najmniejszego zaskoczenia, widząc wnuczkę ukazującą się u wylotu biegnącej wąwozem drogi. Uśmiechnęła się tylko pod nosem i nim Zojka zdążyła postawić stopę na drewnianym schodku prowadzącym na ganek, zniknęła w głębi domu, by zakrzętnąć się przy parzeniu herbaty i przygotowywaniu kanapek.

• Rozdział trzynasty •

„Będziesz następna”.

Zojka zmarszczyła brwi, wpatrując się w trzymaną w dłoni karteczkę.

Zaraz po przyjściu do redakcji dostrzegła kopertę leżącą na swoim biurku. Przekonana, że chodzi o zaproszenie na jakąś imprezę kulturalną lub charytatywną, rozerwała ją niecierpliwym ruchem i wydobyła złożoną na pół kartkę w linie. Pośrodku znajdowały się dwa słowa wyklejone wyciętymi z gazet literami. Zojka przeczytała je kilka razy i potrząsnęła głową zdezorientowana. Następna, no dobrze, ale w czym?

Nagle pojęła, co trzyma w dłoni i ze zduszonym okrzykiem upuściła kartkę na podłogę. Stojące nieopodal koleżanki zerknęły na nią zaniepokojone. Klaudia zmarszczyła brwi.

– Co się dzieje?

– Nic, to tylko mrówka. – Zaczerwieniona z emocji Zojka schyliła się i szybko zgarnęła z podłogi karteczkę.

– Mrówka? – Iga Kozłowska poprawiła na nosie okulary i parę razy strzepnęła elegancką bluzeczkę z kołnierzykiem. – Mam nadzieję, że to cholerstwo nam się nie zalęgło w redakcji. Potem rozpleni się wszędzie, znajdziemy je w cukrze i w ogóle. I trzeba będzie wezwać deratyzatora! Już raz to przerabialiśmy, kiedy Michnik pisał o antykach i przyniósł ze sobą korniki.

Klaudia przyjrzała się zdenerwowanej Zojce badawczo.

– Wszystko w porządku? Co to za kartka?

– To? – Zojka obróciła kilka razy karteczką, jakby musiała się jej dokładnie przyjrzeć. – Zaproszenie na wybory najpiękniejszej świni – skłamała gładko.

– Pójdiesz? – Brwi rudowłosej dziennikarki uniosły się nieznacznie.

– Muszę – teatralnie westchnęła Zojka. – Taki temat dostałam od tego... szefa.

Odczekała, aż dziennikarki powrócą do przerwanej rozmowy i usiadła na swoim miejscu. Znalazioną w kopercie karteczkę położyła przed sobą na biurku i wsparłszy łokcie na blacie, przyglądała jej się z ponurą miną. Dwa słowa, a w nich ukryta groźba. Zojka doskonale wiedziała, co chciał jej przekazać autor tej krótkiej notatki. Będzie następna. Następna po właścicielce podrzuconej do torebki dłoni i przysłanego w paczce zegarka. Następna w kolejce do unicestwienia. Następna do rozczłonkowania.

Na myśl o członkach natychmiast przypomniła sobie o Chochołku.

Musi do niego zadzwonić i zgłosić kolejne nietypowe znalezisko. Tylko co mu powiedzieć? Jakie okoliczności przedstawić?

Zojka przygryzła wargę i jeszcze raz obróciła w dłoni karteczkę, ale nie

odkryła na niej nic nowego. Odłożyła ją i wzięła do ręki kopertę, z którą przyszła. Była to zwyczajna żółta koperta, zaadresowana: „Kronika Wadowicka”. Ulica Barska. Kod pocztowy. Wadowice. A pod spodem ktoś odręcznie dopisał prostymi drukowanymi literami: Zojka Tuszyńska. Zojka? Nie Zofia, jak miało to miejsce w przypadku pierwszej przesyłki, ale właśnie Zojka. Młoda kobieta podniosła kopertę do oczu i dokładnie zlustrowała znaczek. Zwyczajny, niebieski znaczek pocztowy z literką A. Ostemplowany czarnym tuszem, z wyraźną datą dziewiętnasty maja, wskazujący na to, że list został wysłany na lokalnej poczcie. Nic charakterystycznego, westchnęła głęboko. Nieomal potrafiła sobie wyobrazić, jak koperta trafia do redakcji z codzienną pocztą i w wyniku segregacji czynionej każdego ranka przez Igę ląduje na jej biurku. Zojka zerknęła ukradkiem na drzwi prowadzące do gabinetu redaktora. To on, pomyślała rozzłoszczona. To oczywiste, że nie podrzucił jej liściku bezpośrednio. Brak znaczka wskazywałby na to, że autor wiadomości jest częścią zespołu „Kroniki Wadowickiej”, a tak to szukaj wiatru w polu!

Zojka wsunęła liścik i kopertę do torebki, po czym wyszła do łazienki i wybrała numer policjanta. Pokrótce nakreśliła mu sytuację i zadowolona z siebie wróciła na miejsce. Chochołek nie mógł w dalszym ciągu ignorować jej sugestii. Zbrodniarz – kimkolwiek był, a na pewno był nim Marcin Kordecki – poczynił sobie coraz zuchwalej i należało go unieszkodliwić.

Jedno trzeba Chochołkowi przyznać, pomyślała Zojka, przygryzając paznokieć kciuka. Działa naprawdę szybko!

Nie minęło pięć minut od wykonania telefonu do aspiranta, a ten już wkroczył do siedziby „Kroniki Wadowickiej” z butną miną i rozwianą grzywką. Zojka poderwała się z krzeselka i złapawszy Chochołka pod ramię, udzieliła gorącej pochwały.

– Byłem naprzeciwko – przyznał policjant, ocierając czoło kraciatą chusteczką. – W domu pielęgniacyjnym. Przyjmowałem zgłoszenie dotyczące kradzieży sztucznej szczęki i szlafroka męskiego rozmiar czterdzieści cztery.

– A ja myślałam, że pan tak się przejął! – Młoda kobieta oklapła jak słabo nawadniana surfinia w upalne popołudnie. – Że się pan tak przejął, że ja będę następna! – dodała, podtykając mu pod nos liścik.

– Cicho! – upomniał ją Chochołek. – Nikt nie może wiedzieć!

– O czym?

– O niczym. Najlepiej, żeby nikt nie wiedział o niczym, to będziemy w domu.

– W jakim znowu domu! – zdenerwowała się Zojka. – Do domu to ja nawet wrócić nie mogę. Przez pana i tego tamtego psychopatę! A pan mówi, że się nie przejmuje...

– Ciszej! – parsknął ponownie Chochołek. – Nic takiego nie powiedziałem.

Idziemy.

– Gdzie? – zdumiała się Zojka i zanim zdążyła zareagować, aspirant wepchnął ją do pokoju Kordeckiego. Zaskoczony redaktor podniósł na nich oczy znad przeglądanych papierów. Na widok miny Zojki przez jego twarz przemknął cień rozbawienia. Młoda kobieta spiorunowała policjanta wzrokiem. To ona mu zdradza swoje podejrzenia dotyczące udziału Kordeckiego w całej sprawie, a ten ją wpycha w paszczę lwa? Z wyrazem oszołomienia na twarzy słuchała, jak Chochołek wyjaśnia siedzącemu za biurkiem mężczyźnie, jaką przesyłkę otrzymała. A miało być jeszcze gorzej. Po przedstawieniu sprawy doręczonego listu Chochołek wyjawiał rozbawionemu redaktorowi, że ona podejrzewa właśnie jego.

Zojka spurpurowiała.

– Dyskrecja nie jest najmocniejszą stroną polskiej policji, co to, to nie! – mruknęła rozeźlona. – Ja do pana jak na spowiedzi, a pan wszystko wypaplał!

– Porzućmy absurdalne teorie spiskowe i skupmy się na faktach – zasugerował Chochołek. – Ten psychopata właśnie dał nam odczuć, że pani będzie następna. I dla niego nie ma znaczenia, czy pani podejrzewa Kordeckiego czy Kubę Rozpruwacza.

– Skoro mam być następna, niech ta cała prokuratorka da mi ochronę!

– To nie takie proste – sprzeciwił się aspirant. – Są odpowiednie procedury, to wymaga czasu... poza tym ona akurat podejrzewa panią.

– Mnie? – Zojka z wrażenia niemal podskoczyła w miejscu. Zrobiło się jej nieprzyjemnie. Co prawda sama pomyślała, że ta cała Wanda nie lustruje jej tak bez powodu, ale co innego sobie dumać, a co innego usłyszeć to od kogoś innego. Młoda kobieta poczerwieniała. – Jak może mnie podejrzewać? Przecież nie podrzuciłam samej sobie odłupanej ręki. Nie wysłałam sobie zakrwawionego zegarka, nie próbowałam się przejechać samochodem i nie pisałam głupich liścików jak w tandetnym kryminale!

– Ja też nie, a jednak ty mnie podejrzewasz – wtrącił z przekąsem redaktor.

– Cicho siedź! – skarciła go Zojka. – Jak ona to sobie w ogóle wyobraża? – drażyła temat.

Chochołek podrapał się po głowie, żałując w duchu, że nie potrafił ugryźć się w język. Wcale nie planował zdradzać Zojce Tuszyńskiej, co na jej temat sądzi Wanda Niewiadomska, ale jakoś tak wyszło. Teraz należało naprawić szkody wyrządzone przez bezmyślnie rzucone słowa.

– Pani prokurator jest zdania, że mogła pani to zaaranżować sama.

– A nie umiecie pobrać odcisków palców i wskazać sprawcy? Na filmach tak robią. Tych z torebki chociażby?

– Na torebce to było tyle odcisków palców, że technik wziął podwójne nadgodziny! – zaśmiał się Chochołek. – Pani i redaktora, i tego chłopaka od

kielbasy, i jeszcze chyba z piętnastu innych osób. Ja nie wiem, co pani z tą torebką robiła, ale dotykała jej chyba cała pielgrzymka pod bazyliką.

– Second hand. – Zojka pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Co hend, co hend? – ożywił się aspirant.

– Żadne hend. Ciucholand.

– Nadal nie rozumiem.

– Odzież z drugiej ręki – wtrącił Kordecki. – Zojka kupiła tam torebkę.

– Właśnie. – Młoda kobieta uśmiechnęła się promiennie. – Kosztowała całe osiem złotych. A może osiem pięćdziesiąt?

– I niby dlatego dotykało jej tyle osób?

– No wie pan co, to bardzo szykowna torebka. To oryginalna podróbka Chanel. Albo jakiegoś innego Wersacza. – Na myśl o torebce Zojka skrzywiła się boleśnie. – Była szykowna, była. Dopóki ktoś nie nafaszerował jej częściami ciała jak kaczkę pomarańczą.

Chochołek przesunął dłonią po żółtych kosmykach i westchnął.

– To nie zmienia faktu, że nie możemy zidentyfikować odcisków sprawcy. Następnym razem z łaski swojej proszę wybierać mniej popularne torebki.

– Postaram się – ironizowała Zojka.

– Zabezpiecz list, może tym razem dopisze nam szczęście i sprawca pozostawił piękny odcisk kciuka albo ślinę...

– Ble!

– ...na znaczku. Zajmę się tym.

– A tymczasem chciałabym wiedzieć, co z moim bezpieczeństwem. Ja tu jestem, jak by to powiedzieć, wystawiona na zagrożenie.

– Kordecki panią ochroni – zawołał wesoło Chochołek.

– To tak, jakby machnąć psu przed nosem parówką i powiedzieć, żeby przypilnował...

Chochołek rozłożył ręce w geście bezradności i ruszył w kierunku drzwi. Odprowadzały go spojrzenia dwóch par oczu. Zojka spoglądała za aspirantem ze złością, a redaktor z wyraźnym rozbawieniem. Kiedy za policjantem zamknęły się drzwi, Kordecki utkwiał wzrok w swojej pracownicy.

– Naprawdę mnie podejrzewasz?

– A mam powody? – odrzekła pytaniem.

– Cóż, chyba musisz poczekać i się przekonać... – zaśmiał się krótko, wracając do pracy. Wściekła Zojka wyparowała z gabinetu szefa i zamknęła się w łazience. Oplukała zimną wodą twarz i ochłodziła rozpalone policzki. Oczywiście, że poczeka i się przekona, a wtedy...

– I wtedy ona powiedziała: przygarnęłaś wnuczkę, jak ją z domu wyrzucili. Ja się jej pytam normalnie grzecznie: jak wyrzucili i za co. A ona, że za rozczłonkowywanie zwłok. I że nikt nie chce mieć wariatki w rodzinie, a już

mordującej to w ogóle. No to ją łupnęłam.

Babunia Łyczakowa wzruszyła niedbale ramionami, sięgając do kieszonki na prawym boku w poszukiwaniu chusteczki, a Zojka odwróciła się w kierunku okna, aby ukryć parsknięcie śmiechem. Matka nie dała się na to nabrać i gdy młoda kobieta ponownie spojrzała na zgromadzonych w pokoju, posłała jej pełne wyrzutu spojrzenie.

Kiedy tego popołudnia Zojka wróciła z pracy, na podwórzu przed domkiem babuni zastała dziwaczne zbiegowisko. Ojciec, wraz z mamą, wujem i ciotką, usiłował sforsować schody prowadzące na ganek. Babunia stała w drzwiach, dzierżąc miotłę z długim kijem i wymachiwała nią złowrogo, wrzeszcząc do rozszczekanego Burka: bierz ich, goń ich, a ogłupiałe psisko latało to do babuni, to do ojca, nie wiedząc, czy szczyrzyć kły, machać ogonem, czy łąsić się o coś dobrego.

Zebrani przez jakiś czas nawet nie dostrzegli pojawienia się Zojki, więc musiała kilkakrotnie krzyknąć, aby przyciągnąć ich uwagę, a i to z marnym skutkiem. Zrobił to w końcu sam Burek, który dostrzegł dziewczynę i z radosnym jazgotem rzucił się jej do nóg. Babunia Łyczakowa z ulgi aż złamała kij od miotły i zawołała rozpaczliwie:

– No jesteś nareszcie! Ratuju, przyszli mnie zabrać do psychiatryka!

Jak się okazało po gorączkowych wyjaśnieniach, nie przyszli zabrać do psychiatryka, ale przyszli interweniować w sprawie pewnego incydentu. Podczas porannych zakupów – czy raczej pogaduszek pod sklepem – babunia podbiła sąsiadce oko.

Zojka poczuła, że robi jej się gorąco, potem oblał ją zimny pot, a na koniec z wrażenia potknęła się na schodach i obdarła ze skóry lewe kolano. Ojciec pomógł się jej pozbierać, a matka rzuciła pełne wyrzutu spojrzenie.

– Miałaś jej pilnować! – syknęła szeptem tak, że wszyscy usłyszeli. Babunia zapowietrzyła się z emocji i wydawało się, że wybuchnie, ograniczyła się jednak jedynie do ciśnięcia w matkę złamanym kijem od miotły. Zojka pospiesznie zagoniła towarzystwo do środka. Obrażona babunia poczłapała pierwsza, pomstując pod nosem, że we własnym domu nie ma nic do gadania i potem schodzi się takie szemrane towarzystwo.

Usadzona za stołem i poinformowana, że rodzina sąsiadki zamierza złożyć skargę na policję, nie przejęła się zbyt i udzieliła, jak sama stwierdziła, wyczerpujących wyjaśnień. Matka Zojki potarła czoło, potem potarła przedramię, o które otarł się rzucony przez babunię kij, w końcu pokręciła głową wyraźnie zniesmaczona i ciężko usiadła za stołem. Usiłowała spojrzeć starszej pani w oczy.

– Możesz mieć kłopoty. Z policją. Nie rozumiesz tego?

– Oczywiście, że rozumiem, tępą nie jestem! – zachnęła się babunia. – Ale ja się policji nie boję. Ręka rękę myje – obwieściła tajemniczo.

– Że co, proszę? – zdumiał się ojciec. – Co masz na myśli?
– Jak to: co? Mówię przecie. Że się policji nie boję. Mam tam teraz znajomości – wyjawiała z dumą – a na koniec dodałam z mściwym błyskiem w oku:
– Już mi nic nie zrobicie, bo na was poskarżę!
– Nie masz żadnych znajomości w policji! – wykrzyknął wuj.
– A my nie chcemy ci nic zrobić! – dodała z rozpaczą matka.
Babunia wzruszyła ramionami.
– Ziemię mi chcecie zachachmęcić. A znajomości może ja nie mam, ale Zojka ma!

– No to mnie akurat nie dziwi – wtrąciła z przekąsem ciotka. – A ze znajomości Zojki, jak wiadomo, potem same kłopoty!

Młoda kobieta unosiła właśnie do ust szklankę z kompotem truskawkowym. Z wrażenia aż prychnęła, rozlewając słodki napój na siebie i podłogę wokół. Odstawiła szklankę, wytarła podłogę znalezionej w zlewie szmatką i dopiero wtedy spojrzała na ciotkę.

– Co ciocia ma na myśli?
– To, że nie byłoby całej sprawy, gdybyś nie wplątała się w aferę kryminalną!

– Przecież nie prosiłam się o to! – zdenerwowała się Zojka. – Nie dołożyli mi tego gratis do biletu kolejowego! Czy ktokolwiek z was zapytał choć raz, czy jestem bezpieczna, skoro psychopata zdecydował się przewieźć w mojej torebce rozczłonkowane ciało? – zapytała rozżalona.

– O to to! – Babunia Łyczakowa aż podskoczyła na krzeselku. – Nic was nie interesuje, czy biedna dziewczyna jest bezpieczna. A o jej dobre imię musi dbać stara babka! – Odwróciła się w kierunku wnuczki i posłała jej pełne oburzenia spojrzenie. – A ty mogłaś mi powiedzieć, że nie jesteś bezpieczna! Bądź co bądź mieszkamy pod jednym dachem, więc i mnie może trafić szlag...

– Babuniu... – Zojka pokręciła głową i parsknęła śmiechem.

Ponownie sięgnęła po szklankę i powłócząc nogami, ruszyła w kierunku wyjścia. Starła się przybrać pogodną minę, by nie pokazać, jak bardzo dotknęła ją uwaga matki Zosi, ale poczuła nagłe zmęczenie. Zyskała kolejny dowód na to, że historia nieudanego zamążpójścia kuzynki nadal stanowi bolesną zadrę. Nie zaproszono jej na zaręczynowe przyjęcie Zosi i sołtysa, a teraz usłyszała dwuznaczną wypowiedź, która zabolęła. Nagle zapragnęła zakopać się w pościeli z powieścią swojej ulubionej autorki Fannie Flagg i przestać myśleć o pokrojonych zwłokach, udawanej pracy w redakcji, Chochołku, Kordeckim i śledzącym każdy jej krok psychopacie.

Zamknęła się w łazience, usiadła na desce sedesowej i dokończyła kompot. Potem rozebrała się i wsunęła pod chłodny strumień prysznica. Od razu poczuła, jak spływa z niej napięcie całego dnia. Orzeźwiona zarzuciła na siebie cienką

sukienkę w kwiaty i przyglądając wilgotne włosy, opuściła maleńkie pomieszczenie. Zajrzała do kuchni, ale nie zastała tam nikogo, więc ruszyła na bosaka w kierunku ganku.

Babunia z gradową miną siedziała na krześle, wachlując się złożoną „Kroniką Beskidzką”. Na widok Zojki na jej ustach zagościł przelotny uśmiech.

– Widzisz, jak to wygląda? – zagała. Wnuczka skinęła głową, opadając na krzesło obok i opierając bosc stopy o drewnianą poręcz.

– Poszli? – zapytała krótko.

– Poszli, ale tylko dlatego, że zaczęli się kłócić między sobą. Jak myślisz, ile może kosztować elektryczny pastuch? Najlepiej niewidzialny?

– Dużo – parsknęła Zojka. – Poza tym kochasz zwierzęta i nie chcesz, by stała im się krzywda...

– Zwierzę nie jest głupie, żeby wleźć w pastucha, za to moje córki...

– Babuniu, proszę.

– Dobrze, już dobrze. Opowiadaj, co w pracy. I co z tym niebezpieczeństwem. Bardzo jestem podekscytowana. Ostatni raz tak podniecona byłam, gdy twój dziadek...

– Babuniu!!!

– ...kupił mi liliputkę na jarmarku. No co? Co? Czemu rżysz jak głupia?

Zojka rzeczywiście wybuchnęła takim śmiechem, że przez moment nie mogła złapać oddechu. Z jej oczu trysnęły łzy i po chwili zaskoczona stwierdziła, że już nie płacze rozbawiona słowami staruszki, ale odreagowuje ostatnie stresy. Strach, niedowierzanie i emocje związane ze sprawą znaleziska w jej torebce oraz fakt, że nie mogła z nikim rozmawiać na temat dalszych wydarzeń, skumulowały się w niej i zbiły w ciemną masę, jak burzowe chmury na niebie. A teraz z tych chmur popłynął deszcz słonych łez. A razem z łzami popłynęła opowieść. Babunia wysłuchiwała bez słowa, a na koniec wyciągnęła w kierunku Zojki ramiona. Wnuczka przyklękła na jedno kolano na chropowatych deskach ganku i wtuliła zapłakaną twarz w przesiąknięty zapachem truskawek fartuch. Poczowała spokój.

W momencie, kiedy Zojka wypłakiwała z siebie nagromadzone emocje w fartuch babuni Łyczakowej, aspirant Paweł Chochołek kolejny raz przeglądał zgromadzone akta w nadziei, że umknął mu jakiś szczegół. Naturalnie szczegół ten miał być ogromnej wagi dla prowadzonego śledztwa i od razu naprowadzić śledczego na trop sprawcy. Tak było we wszystkich filmach i serialach kryminalnych oglądanych przez Chochołka. Gdy sprawa wydawała się już beznadziejnie beznadziejna, zdolny i sprytny detektyw odkrywał jakieś niespodziewane połączenia lub ślady, które szczęśliwym zbiegiem okoliczności doprowadzały do zatrzymania zbrodniarza. Aspirant w skupieniu wpatrywał się w zgromadzone papiery, pocierając czoło. Sprawa odnalezionej dłoni miała wszelkie znamiona beznadziejnej, więc kto wie?

Przerzucił zeznania Zojki i Kordeckiego, i skupił się na zeznaniach obsługi baru. To właśnie tam musiało dojść do podrzucenia obciętej części ciała. Niestety obsługa niczego nie zauważyła. Chochołek bezwiednie pomasaował się po żołądku, wspominając zjedzone w przydworcowym lokalu pierogi. Pyszne były, to fakt, ale odstał dobre dziesięć minut w kolejce, zanim jakaś zapracowana dusza wyjrzała z kuchni i przyjęła zamówienie. Potrafił więc sobie wyobrazić, że nie zauważono, że ktoś grzebał przy pozostawionej pod stołem torebce.

Westchnął głęboko i sięgnął po kolejny dokument. Jeśli szybko czegoś nie wymyśli, szefowa prokuratury odpiłuje mu newralgiczne części ciała przy użyciu zardzewiałej tarki do ziemniaków. Tylko co? Nagle ożywił się nieznacznie. Otrzymał przez Zojkę liścik ratował mu życie. I części ciała, do których był bardzo przywiązany. Sięgnął po telefon.

– Poślijcie kogoś do „Kroniki Wadowickiej”, ale tak w try miga. Trzeba pobrać odciski palców od wszystkich pracowników. Darujcie sobie Tuszyńską i redaktora Kordeckiego, ich już mamy. A wyniki mają być prio... priorytetowo. Gdyby nie chcieli współpracować, poproście o interwencję Kordeckiego. Niech ich postraszy obcięciem premii albo nakazem używania własnych tonerów do drukarki. Odciski mają być, rozumiano?

Zadowolony z siebie odłożył słuchawkę i rozparł się w krzesło. To powinno mu dać kilka dodatkowych dni, zanim huragan Wanda zmiecie go z powierzchni ziemi. Sięgnął po kubek z resztką zimnej herbaty i wypił ją, głośno przełykając. Następnie ponownie pochylił się nad dokumentami. Dzwonek telefonu wprowadził go w irytację.

– Słucham, Chochołek – warknął nieprzyjemnie.

– Aspirant Chochołek? Z tej strony młodszy inspektor Mateusz Myśliwski z Komendy Powiatowej w Wieliczce. Doszły nas słuchy o waszym osobliwym śledztwie. Chyba znamy właścicielkę tej dłoni...

Zojka zamknęła system i odczekała, aż ekran laptopa pograży się w ciemnościach. Kiedy wsuwała komputer do torby, zerknęła w kierunku drzwi prowadzących do gabinetu szefa. Redakcja „Kroniki Wadowickiej” opustoszała, z całej załogi zostali tylko oni. Przez szpary w żaluzjach dostrzegła cień poruszającego się Kordeckiego. On również zbierał się do wyjścia.

Zojka chwyciła torbę i pobiegła w kierunku wyjścia. Kordecki stanął w progu, kiedy właśnie zbliżała się do drzwi. Oboje przystanęli, jakby widok tej drugiej osoby był ogromnym zaskoczeniem. Kobieta zrozumiała, że prowadzili tę samą grę: próbowali opuścić budynek redakcji jedno przed drugim, byle tylko nie zostać skazanym na swoje towarzystwo podczas drogi na stację kolejową! A teraz stali w przejściu, gapiąc się na siebie z głupimi minami. Kordecki uczynił zapraszający gest, chcąc przepuścić Zojkę przodem. Machnęła ręką lekceważąco.

– Nie, nie. Leć, na pewno spieszysz się na pociąg.

– A ty się nie spieszysz? – zakpił.
– A nie, ja dzisiaj jadę... następnym.
– Następnym? – Uniósł pytająco jedną brew. – Następny odjeżdża dopiero po dwudziestej. Co zamierzasz zrobić przez ten czas?

Zojka posłała mu chmurne spojrzenie.

– A to chyba nie twoja sprawa! Jestem po pracy!
– Zasadniczo nie moja, ale jak już kiedyś wspominałem, troszcę się o swoich pracowników. Nie chciałbym, żebyś wpakowała się w kłopoty. Straciła rękę albo... głowę.

Prychnęła gniewnie, poprawiając na ramieniu pasek torebki.

– O moją głowę nie musisz się martwić. O inne części ciała również nie. Potrafię o siebie zadbać.

– Taaak. Tak właśnie mi się wydawało. – Spojrzał na nią z politowaniem i ponownie wskazał jej wyjście. Zojka ruszyła przodem. Na ulicę wyszli razem i razem skierowali się w stronę dworca. – A może wybierasz się na obiecany obiad?
– Kordecki spojrzał na Zojkę z ukosa.

– Nie, dziękuję – mruknęła pod nosem. – Obiady czekają na mnie w domu i nie muszę nigdzie chodzić. A z sołtysiem obiad zjem, owszem, ale na jego przyjęciu weselnym. O ile mnie zaproszą – zaśmiała się ponuro.

– Hmm. Jeśli nie zaproszą, obiecuję zabrać cię w charakterze osoby towarzyszącej. Utrzesz im nosa.

Zojka posłała redaktorowi zaskoczone spojrzenie. Ten nagły przejaw sympatii był podejrzanym. I miły. Od razu stała się czujna i badawczo przyjrzała się mężczyźnie idącemu u jej boku. Wydawał się jakiś przygaszony i zmęczony.

– Jesteś jakiś ponury... – wyraziła głośno swoje spostrzeżenia.

– Miałem ciężki dzień – westchnął.

Zojka przygryzła dolną wargę i ku własnemu zdziwieniu powiedziała:

– Możesz się wygadać. Podobno jestem dobrym słuchaczem.

– Serio? – zaśmiał się. – Więc to było tak. Najpierw jedna wariatka ubzdurzyła sobie, że jestem odpowiedzialny za prawdopodobnie najohydniejsze morderstwo, jakie kiedykolwiek zostało popełnione w tym powiecie. A potem okazało się, że właściciel zamierza ciąć koszty i każe mi zwolnić jednego dziennikarza. Wystarczający powód, by być ponurym?

– To nie było miłe – zauważyła z wyrzutem.

– Wyobraź sobie, że pomyślałem to samo, gdy...

Słowa Kordeckiego zginęły w jazgocie samochodowego klaksonu. Zojka oderwała wzrok od jego twarzy i spojrzała w kierunku jezdni. Przy krawężniku jednokierunkowej ulicy zatrzymał się kanarkowożółty ford ka. Znad opuszczonej szyby szczyrzył do nich zęby zadowolony z siebie Chochołek.

– Gdzie się państwo tak spieszą? – zagaił.

– Na pociąg – odparła Zojka, zapominając, że wcześniej usiłowała wmówić Kordeckiemu, że wcale nie zamierza wracać do domu składem o 16.14.

Mężczyzna posłał jej pełne politowania spojrzenie.

– Teraz to już na pewno nie zdążymy!

– Trzeba było dłużej kokosić się przy drzwiach!

– Trzeba było trzymać się prawdy i powiedzieć prosto z mostu, że chcesz nim jechać!

– Trzeba było powiedzieć, że nie chcesz jechać ze mną!

– Trzeba było...

– Cisza!!! – wrzasnął Chochołek, gwałtownie czerwieniąc się pod grzywą słomianych włosów. Gdy spojrzeli na niego przestraszeni, uśmiechnął się pogodnie i wskazał samochód. – Zapraszam państwa. Mamy do pogadania.

• Rozdział czternasty •

Zojka przejechała szczotką po włosach. Choć jej oczy były utkwione w odbiciu w lustrze, tak naprawdę myślami wędrowała zupełnie gdzie indziej, a konkretnie po kanarkowożółtym samochodzie Chochołka. Aspirant zgarnął ich wprost z ulicy, wprawiając tym kobietę w ogromne zdenerwowanie. Była przekonana, że wiezie ich na komendę albo co gorsza do siedziby tej antypatycznej prokuratorce, ale zapowiedział, że podrzuci ich na pociąg i tak też zrobił. Po drodze podzielił się z nimi nowymi ustaleniami dotyczącymi śledztwa i zadał kilka pytań.

Zojka przełknęła głośno ślinę i odłożyła szczotkę na blat starej toaletki z zaśniedziałym lustrem. Dotychczas traktowała znalezisko z torebki jako element makabrycznej gry narzuconej przez psychopatę, zupełnie zapominając, że ucięta ręka musiała przecież do kogoś należeć. Do żywej, a przynajmniej do czasu, osoby, która podobnie jak ona sama szczotkowała włosy i wklepywała rano krem BB, by ustrzec się przed działaniem podstępnych zmarszczek. Teraz ręka zyskała twarz, jakkolwiek to brzmiało, i nazwisko. Zyskała wiek i powód, dla którego znalazła się właśnie w Wadowicach. Nie zyskała za to powodu, by znaleźć się akurat w torebce Zojki, a przynajmniej na razie nic o tym nie wiadomo.

– Czy jest pani znane nazwisko Edyta Lizak? – zapytał Chochołek, zerkając na tylne siedzenie, gdzie wciśnięta pomiędzy torbę z laptopem a klatkę zalatującą ptasim gówienkiem Zojka walczyła właśnie z mdłościami.

– Nie, a powinno? – wysapała.

Chochołek wzruszył ramionami i spojrzał pytająco na zajmującego siedzenie pasażera Kordeckiego. Redaktor pokręcił głową.

– To ona? To jej ręka?

– Wszystko na to wskazuje – westchnął Chochołek. – Nie powinienem wam tego mówić, a przynajmniej nie przed oficjalnym przesłuchaniem, na które oczywiście zostaniecie zaproszeni przez panią prokurator. Ale nie mogłem się doczekać, by sprawdzić, czy ktoś z was ją znało. Zaginięcie tej młodej kobiety zostało zgłoszone przez rodziców zaledwie dwa dni temu. Oni... – zawahał się, skręcając w ulicę Legionów – ...rozpoznali zegarek. Dostała go od ojca na osiemnastkę.

Z dalszych wyjaśnień Chochołka – który traktował ich bardziej jak pomocników przy śledztwie niż potencjalnych podejrzanych – dowiedzieli się, że dziewczyna wyjechała jakiś czas temu, aby spotkać się z mężczyzną. Rodzice nie znali wybranka córki, ale wiedzieli, że jest z nim w związku od dłuższego czasu i że on mieszka właśnie w Wadowicach. Edyta często zostawała u kochanka na noc, więc początkowo się nie martwili, szczególnie że dostawali od niej krótkie wiadomości tekstowe. Później wiadomości się urwały, a gdy próbowali zadzwonić

na komórkę dziewczyny, automat odpowiadał, że abonent znajduje się poza zasięgiem sieci. Natychmiast zgłosili zaginięcie córki.

– To by się nam zgadzało z ustaleniami lekarza co do... hmm, wieku znalezionej dłoni – stwierdził Chochołek. Spojrzał na Zojkę z lekkim uśmiechem. – Myślę, że prokuratorka nie będzie pani dłużej podejrzewać. Co do reszty... nadal jesteśmy w lesie – westchnął.

– Głowa do góry, aspirancie. Na pewno odkryjecie, kto za tym stoi – wtrącił Kordecki.

Zojka westchnęła głęboko, wracając do rzeczywistości. Sięgnęła do kosmetyczki po tubkę kremu z wyciągiem z pietruszki. Mechanicznym ruchem rozprowadziła kosmetyk pod oczami i na powiekach. Przejrzała się w lustrze i zadowolona poklepała po policzku. No, zmarszczki unieszkodliwione. Teraz pora unieszkodliwić również groźnego psychopatę, który sprowadził na manowce, zamordował, a następnie poćwiartował biedną mieszkankę Wieliczki, a jakby tego było mało, zdecydował się w całą sprawę wmieszać także ją, Zojkę. Podrzucił jej uciętą kończynę, podesłał zegarek i niezawołowane pogrożki w formie liściku. Próbował ją przejechać. Według Chochołka świadczyło to o tym, że miał do niej osobisty stosunek, żeby od razu nie powiedzieć: pretensje.

Po raz kolejny wyteżyła pamięć, by wyszperać w jej odmętach jakieś podejrzone wydarzenia z przeszłości. Czy zadarła z jakimś facetem na tyle, by chciał ją zrobić w morderstwo, a nawet zabić? Policzyła na palcach jednej ręki liche podboje miłosne i momenty, gdy była zmuszona dać delikwentowi kosza.

Sławek Nowak w podstawówce, ale do cholery jasnej zjadał kozy, do tego nie zawsze z własnego nosa. To było na swój sposób psychiczne, warto chłopaka wziąć pod lupę.

W liceum kochał się w niej taki jeden Patryk, ale musiała go pogonić, bo chwalił się, że jego stary ma „klamkę” i przy śniadaniu bawi się w rosyjską ruletkę z własnymi stopami. To nie wróżyło dobrze ich związkowi, więc bez żalu pogoniła syna wiejskiego mafiosa. Taki to na pewno potrafili się zemścić, ale jego umysł o strukturze żeberka od kaloryfera nie byłby w stanie stworzyć planu podstępnej gry, jaką prowadził z nią zbrodniarz.

Na studiach też było kilku, na ogół liczyli na wsparcie w pisaniu prac zaliczeniowych i praniu skarpet. Nie potrafili ogarnąć ani jednego, ani drugiego, nie byliby w stanie zaadresować przesyłki listowej bez zrobienia błędu ortograficznego w słowie WADOWICE.

Był także Wojtek, któremu osoba Zojki pokrzyżowała plany matrymonialne. Co prawda na własne życzenie, ale przez lata mógł przecież o tym zapomnieć, czyż nie? Babunia twierdziła, że po aferze zaręczynowej szukał Zojki, a ona naiwnie sądziła, że chciał jej wyznać wielką gorącą miłość... A co jeśli przyjechał, by odłupać jej głowę siekierą?

A sołtys? Taki sympatyczny, troskliwy, podwozi autem, obiady proponuje, polarem chce się dzielić. Czy poczuł się urażony, że ona go tak zbywa? Eee, to akurat się kupy nie trzyma, jak lubi mawiać Kordecki, przecież ucięta ręka pojawiła się w jej torebce, zanim zaczęła go unikać. No, chyba że chciał się na niej odegrać za zabranie mu komórki pod sklepem. Niektórzy faceci nie lubią, gdy dotyka się ich zabawek.

Kordecki.

Zojka westchnęła mimowolnie. Wciąż nie potrafiła rozgryźć tego gada. Raz zachowywał się całkiem przyzwoicie, innym razem sprawiał, że z gniewu rozgrzewała się bardziej niż pralka zaprogramowana na pranie pościeli bawełnianej. Było w nim coś szorstkiego i... pociągającego. Potrząsnęła głową, ganiąc się za tak idiotyczne myśli. Kordecki miał w sobie tyle uroku co psia kupa pod butem. Dokuczał jej. Upokarzał. Nie chciał jej w swojej redakcji, a potem przydzielił reportaż na temat wyborów najpiękniejszej świni! I do tego nie lubił zwierząt, dręczył bezdomnego kota! Całkowicie zasłużył na to, by podejrzewać go o psychopatyczne skłonności!

Na myśl o rudym mieszkańcu peronu Zojka potwornie się zdenerwowała.

– Muszę go stamtąd zabrać – mruzczała, wchodząc do kuchni i naciągając sportową bluzę.

– Co tam mamrociesz? – Babunia podniosła wzrok znad artykułu w kolorowym pisemku.

– Babuniu, co ty na to, żebyśmy miały kota?

– Żebyśmy miały? My? Kota? – Starsza pani z niedowierzaniem popatrzyła na Zojkę. Dziewczyna nie zrozumiała znaczącego spojrzenia i zanurkowała w głębi lodówki, poszukując szynki, kaszanki albo czegoś o podobnym aromacie.

– No, kota, kota. Rudego, z białymi łapkami. Bardzo czysty jest, wciąż się myje.

– Nie wiem, musisz zapytać Burka – zaśmiała się babunia.

– Burek jest facetem, a faceci nie mają nic do gadania.

– Bój się Boga, feministkę wykarmiłam własnym plackiem drożdżowym!

– Nie gorączkuj się tak babuniu, ja mam tyle z feministkami wspólnego co Kordecki z baletem.

– A czemu Kordecki?

– A czemu z baletem?

– No, ja nie wiem, to twoje słowa, więc ciebie pytam.

– Nie pytałaś o balet.

– Ale pytałam o...

– Muszę już iść.

I pospiesznie wybiegła z kuchni, ściskając w dłoniach zapakowane w papier śniadaniowy wędliny. Babunia Łyczakowa nigdy nie kupowała folii aluminiowej,

twierdząc, że Amerykanie uszczelniali nią rakiety. Była naszpikowana tablicą Mendelejewa i to pewnie odwróconą do góry nogami...

Kiedy Zojka dotarła na miejsce, natychmiast dostrzegła rower oparty o budynek dawnych kas. Chwilę później usłyszała rozpaczliwe miauczenie. Tym razem nie zamierzała puścić płazem torturowania biednego zwierzaka. Rozejrzała się dookoła i złapała za pierwszą rzecz, jaka wpadła jej w oko: kawałek zardzewiałej rynny, który najwyraźniej oparł się najbardziej spostrzegawczym zbieraczom złomu. Tak wyposażona ruszyła na odsiecz rudemu kocurkowi.

Podobnie jak ostatnim razem, zauważyła plecy pochylonego redaktora i fioletowy kask. Zanim jednak zdążyła wziąć zamach trzymanym żelastwem lub wykrzyczeć jeden z obraźliwych epitetów przyklejonych na końcu języka, mężczyzna odwrócił się bokiem i zauważyła, co trzyma w ręce. Była to charakterystyczna fioletowa saszetka z kocią karmą. Rudy kot okrążał Kordeckiego, kręcąc ósemki wokół jego nóg, od czasu do czasu wspinając się na tylne łapki i wbijając pazury w okolice kolan. Darł się przy tym tak przeraźliwie, jakby faktycznie obdzierano go ze skóry. Zojka zawstydzona się nagle. Posądziła redaktora o nieczne postęпки, a on po prostu dokarmił bezdomne zwierzę. Nawet miseczkę przyniósł, cholera! Ładnie by wyglądała, gdyby roztrzaskała mu czaszkę tak bez powodu!

Nie namyślając się dłużej, cisnęła kawałkiem rynny w krzaki i wytarła dłonie o nogawki spodenek. Uczyniła to w samą porę, bo redaktor właśnie odwrócił się w jej stronę. Nie okazał najmniejszego zdziwienia na jej widok, skinął lekko głową i pochylił się, by wsypać zawartość saszetki do różowej miski. Kocur natychmiast opadł na cztery łapy i nie zaszczycił ludzi ani jednym spojrzeniem, zajął się konsumpcją kolacji.

– Widzę, że spóźniłam się z cateringiem – zauważyła nieśmiało.

– O, ten brzusek poradzi sobie z każdą dostawą jedzenia! – zaśmiał się Kordecki. – Czasami mam wrażenie, że dokarmiam dziesięć kotów, bo to przecież niemożliwe, by jedna dziesiąta mojej pensji lądowała w jednym kocim żołądku, prawda?

– Nie prościej zabrać go do domu? – zainteresowała się. Podeszła do stojącej nieopodal ławki i usiadła, przyglądając się jedzącemu kotu i stojącemu nad nim mężczyźnie.

– Próbowałem, zawsze tutaj wraca. Może ty będziesz mieć więcej szczęścia? – zaproponował.

– Pomyślę o tym. Babunia mieszka blisko, mógłby odwiedzać stare kąty, gdyby miał ochotę.

– Babunia... – zaśmiał się Kordecki, siadając obok Zojki. – Babunia mieszka blisko, a ty nie?

– To nie jest moje miejsce – sprzeciwiła się szybko.

– Dlaczego?
– Bo... nie. Postanowiłam, że zamieszkam w...
– W wielkim świecie – zakpił.
– Właśnie tak – potwierdziła zaczepnym tonem. – Nigdy nie czułam przynależności do Lipówki. Chciałam stąd uciec i udało mi się. Dlaczego miałabym to zaprzepaścić?

– Właśnie. Dlaczego?

Zojka zaniemówiła wpatrzona w jego twarz. Jeszcze nigdy nie byli tak blisko. No może pominąwszy sytuacje, kiedy wpadła na niego na wadowickim peronie albo gdy wskoczyła mu na plecy w lesie. Na samo wspomnienie zachichotała. Kordecki zmarszczył brwi.

– Dlaczego się śmiejesz?

– Przepraszam, coś mi się przypomniało. O czym mówiliśmy?

– Nieważne – westchnął. – Ty znalazłaś swoje miejsce tam, a ja właśnie tutaj. Powiedz lepiej, co sądzisz na temat nowych ustaleń Chochołka.

Na myśl o zamordowanej dziewczynie Zojka mimowolnie zadrżała.

– To okropne.

– To było okropne od samego początku – zauważył trzeźwo.

– Ale teraz... teraz to już nie jest tylko ręka.

– No tak, to wszystko stało się jeszcze brutalniejsze.

– Myślisz, że znajdą się inne części ciała? – Zojka z trudem przełknęła ślinę. Kordecki zaśmiał się cicho.

– Pytasz, bo nadal jestem podejrzany i chcesz mnie wybadać?

– Nie! – zaprzeczyła gwałtownie, pokrywając się buraczkowym rumieńcem. I zaraz dodała spokojniej, odwracając oczy w kierunku oblizującego się kota: – Już cię nie podejrzewam...

– O! Co wpłynęło na twoją ocenę? – zadrwił.

– Po prostu zmieniłam zdanie, w porządku? Nie bądź taki dociekliwy! – zdenerwowała się.

– Nie podoba mi się ta sprawa. Nie podoba mi się, że ten ktoś wziął cię na celownik – powiedział wolno, a kiedy młoda kobieta spojrzała na niego zdumiona, dodał: – I że wmieszał w to moją gazetę!

– No tak.

– Będę się zbierał. Przede mną trudny dzień. Z samego rana muszę zwolnić jednego członka zespołu.

– Przykro mi.

Uśmiechnął się, poprawiając mocowania kasku.

– Ale nie ciebie. Jeszcze nie.

Zojka obserwowała, jak mężczyzna podchodzi do kota, gładzi rude futerko, zabiera opróżnioną miskę i odchodzi. Gdy wsiadał na rower, obejrzał się w jej

kierunku i pomachał dłonią. Uczyniła niedbały gest ręką i przybrała wygodniejszą pozycję. Rudy kocur wskoczył na ławkę i pomrukując, przylgnął jednym bokiem do jej nogi, mile łaskocząc skórę futerkiem. Zojka wyciągnęła na próbę dłoń i ze wstrzymanym oddechem powoli pogładziła jedwabistą sierść zwierzęcia.

– Trzeba dać ci jakieś imię! Może Filip?

Kocie spojrzenie łaskawie przesunęło się po Zojce i powędrowało w kierunku pobliskich zarośli. Coś tam zaszumiało. Kot zastrzygł uszami i podniósł się na łapach, jakby szykując się do skoku. Młoda kobieta poczuła ciarki na plecach i pozornie bez pośpiechu podniosła się z ławki. Ruszyła w kierunku opustoszałego budynku, ale po kilku krokach odwróciła się i odezwała do kota:

– To co? Idziesz?

Ale zwierzaka już nie było, tylko zarośla kołysały się nieznacznie w miejscu, gdzie najpewniej znikło jego gibkie, rude ciało. Zojka wzruszyła ramionami i ruszyła do domu. Nie dziś, może nie jutro, ale kiedyś na pewno pójdzie z nią do chatki na wzgórzu i znajdzie tam kochający dom.

• Rozdział piętnasty •

– Witam państwa. Zapraszam na krótkie spotkanie redakcyjne.

Zojka oderwała wzrok od ekranu laptopa, na którym właśnie dyskretnie przeglądała profil facebookowy kuzyna i nieprzytomnie spojrzała na przełożonego. Kordecki niecierpliwie zamachał trzymanym w dłoni plikiem kartek, a dziennikarze z jękiem zaczęli podnosić się zza biurka. Zojka przygryzła wargę. Nie wiedziała, co robić. Nie miała najmniejszej ochoty uczestniczyć w tym spotkaniu, bo podejrzewała, że to właśnie na nim redaktor obwieści, że musi zwolnić jedną osobę. Już sobie wyobrażała spojrzenia, jakie po tym skierują się na nią. Bądź co bądź przylazła nie wiadomo skąd i zajęła cały jeden etat...

– A dla panny Tuszyńskiej potrzeba wystosować specjalne zaproszenie?! – huknęło gdzieś nad uchem Zojki. Pospiesznie zerwała się z obrotowego krzesła i sięgnęła po wydruk reportażu, który przygotowywała. Mijając szefa, posłała w jego stronę lodowate spojrzenie. A taki się przyzwoity wydawał wieczorem! Ale tak to już bywa o zmroku, najgorsza maskara przybiera postać księcia z bajki.

Kiedy weszła do pokoju konferencyjnego, przekonała się, że wszystkie miejsca są już zajęte, z wyjątkiem dwóch foteli po boku redaktora. Na ten po lewej właśnie osuwała się Iga, więc chcąc nie chcąc Zojka poczłapała w kierunku tego drugiego. Zapadła się w miękkie gąbczaste siedzisko i pochyliła głowę nad trzymanymi na kolanach kartkami. Będę udawać, że wcale mnie tu nie ma. W udawaniu mam przecież całkiem niezłą wprawę – myślała.

Po krótkiej chwili do sali wszedł Kordecki. Zajął swoje miejsce, nie zaszczycił Zojki ani jednym spojrzeniem, i rozpoczął długą przemowę, przerywaną jedynie krótkimi zerknięciami nazymane w dłoniach papiery.

– Panie Różalski, to dobra pora, by napisać pierwsze podsumowanie lokalnych rozgrywek. Na pierwszy ogień Skawa, oczywiście. Może jakiś wywiad z trenerem, zawodnikami? Iga, nadal zajmujesz się festiwalem literatury w bibliotece? Skontaktuj się z autorami, którzy zostali zaproszeni, Grochola, Puzyńska, wybierz kogoś, porozmawiaj, może mają jakieś skojarzenia z naszym miastem. Przybliź ich sylwetki czytelnikom, chętniej sięgną po książki, chętniej wybiorą się na spotkania autorskie. Pani Klaudio, u pani nadal aktualne jest dzikie wysypisko śmieci? Doskonale, to gorący temat, czytelnicy są nim zainteresowani. Warto poprosić ich w artykule o odzew, niech piszą na adres „Kroniki” i mówią, co o tym sądzą. Zojka... Panno Tuszyńska, mam złe wiadomości...

Zojka, która dotychczas bujała w obłokach i w ogóle nie skupiała się na przemowie Kordeckiego, gwałtownie poderwała głowę. Przez myśl przemknęło jej, że redaktor zamierza ją zwolnić. Pytanie: czy skoro jej praca była udawana, to czy zwolnienie będzie na serio czy nie bardzo?

– Impreza, o której miała pani pisać, została odwołana. Organizator zatrul się jadem kiełbasianym. Paskudna sprawa.

– Nie będzie świń? – zmartwiła się.

– Nic nie będzie – uściślił Kordecki. – Dopóki nie zostanie pani przydzielony nowy temat, sugeruję pomóc kolegom z redakcji...

Skinęła głową, starając się ukryć rozczarowanie. Fakt faktem, początkowo była wściekła, że przydzielił jej taki temat i doszukiwała się w tym czystej złośliwości. Ale śledząc nowinki dotyczące hodowli świń, oglądając skomplikowane aparaty w chlewniach i podziwiając słodkie malutkie ryjki, odkryła, że to na swój sposób ciekawe. Poza tym poświęciła temu tematowi naprawdę sporo czasu i włożyła w to mnóstwo pracy. Nie dalej jak przed godziną czytała artykuł o niemieckim hodowcy, który poświęcił sześćdziesiąt lat życia (i cztery małżeństwa), by wyhodować rasę o jedwabistej szczecinie...

– Dziękuję, to wszystko – podsumował Kordecki i Zojka poderwała się z miejsca z westchnieniem ulgi. Nikogo nie zwolnił, krzyczała z radości w myślach, nikt nie będzie miał do mnie pretensji. Spieszyła do wyjścia, ale w drzwiach została zatarasowana obfitymi pośladkami Karola Różalskiego i wbrew sobie odwróciła się ku Kordeckiemu. Redaktor przywołał do siebie Klaudię. – Panno Szczypczyk, czy może pani na chwilę zostać?

Zniechęcona Zojka wypchnęła się z pokoju konferencyjnego na korytarz i pospieszyła do swojego biurka. Z rozżaleniem wpatrywała się w ekran laptopa. Dlaczego musiało paść akurat na Klaudię? Ta dziewczyna jako jedyna okazała Zojce cię sympatii. Jak teraz ma jej spojrzeć w oczy? Przecież Klaudia nie wie, że ona, Zojka, jest tylko udawanym pracownikiem, przynętą na psychopatę od uciętej ręki. Z pewnością pomyśli, że zjawiała się w redakcji i podstępnie zajęła jej miejsce!

Z niepokojem oczekiwała na powrót koleżanki, jednak kiedy rudowłosa dziennikarka zjawiała się w pokoju, była spokojna i opanowana. Zojka przyjrzała się jej badawczo. Może błyszczały jej oczy i dostała rumieńców, ale wyglądała bardziej na podnieconą niż zmartwioną. Tuszyńska zerknęła podejrzliwie w kierunku drzwi szefa. Czy oni...? Uświadomiła sobie, że nic nie wie o prywatnym życiu redaktora, a i Klaudia niewiele wspominała o swoim „misiu”. Czy mógłby być nim Kordecki? Nie, to niemożliwe. Klaudia wyrażała się o przełożonym dość bezosobowo, a on z kolei na pewno wiedziałby, jak ochronić swoją ulubienicę.

Podniosła się z krzesła i powoli zbliżyła się do biurka dziennikarki. Klaudia uśmiechnęła się blado.

– Wszystko w porządku?

– Wywalił mnie. – Rudowłosa wzruszyła ramionami. – Redukcja etatów czy coś w ten deseń. Decyzja z góry...

– Przykro mi. Ja...

Klaudia machnęła ręką lekceważąco. Jej oczy podejrzanie błyszczały,

najwyraźniej ta bagatelizująca poza była tylko zmyłką.

– Nie przejmuj się. I tak zamierzałam wkrótce odejść. Lubię tę pracę, ale wychodzę za męża, mówiłam ci przecież...

– No tak, ale...

– Nie ma żadnego „ale” – wykrzyknęła wesoło dziennikarka.

– Czy mogę coś dla ciebie zrobić? – zapytała cichutko Zojka.

– Możesz – stwierdziła po chwili namysłu Klaudia. – Słyszałam, że masz pomagać innym dziennikarzom, a ja chciałabym temat wysypiska zostawić w dobrych rękach. Mam się dzisiaj spotkać z informatorem. Pojedziesz ze mną na to spotkanie?

– No pewnie! – Zojka poczuła radosne podekscytowanie. Sama słyszała, jak Kordecki wychwalał ten temat jako gorący. To było lepsze od najpiękniejszej świni, ba, to było lepsze od wszystkich świń tego świata, nawet tych z jedwabistą szczecina! – Skoczę tylko do łazienki na szybkie... pudrowanie nosa!

– Spotkajmy się przy samochodzie. Parkuję pod drogerią. Czarna fiesta – rzuciła Klaudia, ruszając w stronę wyjścia.

Zojka wróciła do biurka i zamknęła klapę laptopa. Kiedy pakowała go do czarnej torby, do pokoju dziennikarzy weszła Iga.

– Gdyby ktoś mnie szukał, powiedz, że jadę z Klaudią robić reportaż o dzikim wysypisku śmieci – poprosiła Zojka.

Iga opadła na swoje krzesło, nie patrząc na młodszą koleżankę.

– Okej – mruknęła pod nosem, uderzając w klawiaturę. Zojka wzruszyła ramionami, sięgnęła po torebkę i pobiegła w kierunku łazienki. Podejrzewała, że obchodzi Igę mniej niż kidająca na lustro mucha, ale wolała pozostawić jakąkolwiek wiadomość na wypadek, gdyby Kordeckiemu przyszła ochota jeszcze powrzeszczeć i miał pretensje, że ona nie znajduje się w zasięgu jego strun głosowych.

Prokurator Wanda Niewiadomska wparadowała do pokoju Chochołka z miną królowej angielskiej. Obciągnęła na kolanach granatową spódnicę, po czym usiadła, zakładając nogę na nogę i prezentując ładne szpilki we wzorek z wężowej skóry. Aspirant przez moment gapił się na kostki siedzącej naprzeciwko kobiety, myśląc, nie wiadomo czemu, że ukłucie takiego obcasa musi być bardzo bolesne. Przypomniał sobie, że oglądał kiedyś scenę, w której kobieta w podobnych szpilkach przemaszerowała po nagich plecach mężczyzny. Poczuł, że z wrażenia czerwieni się i wilgotnieje pod pachami.

Nalał do szklanki wody i postawił naczynie przed przybyłą. Niewiadomska udała, że tego nie dostrzega.

– Czyli mamy zwłoki – mruknęła.

– Potencjalne – sprecyzował Chochołek. – Znamy nazwisko kobiety, do której najprawdopodobniej one należą, ale samych zwłok nadal nie mamy. – I nie

będziemy mieć, dopóki ten psychol nie zdecyduje się wysłać kolejnej poćwiartowanej części na adres Zojki Tuszyńskiej, dodał w myśli.

– A Tuszyńska? Jakie wyniki obserwacji?

– Bardzo dobrze. Zaobserwowaliśmy, że otrzymała kolejną przesyłkę, tym razem z pogrózkami...

– Ta kobieta ma kłopoty natury psychicznej!

– Nie sądzę. – Chochołek pokręcił głową, mierząc Niewiadomską nieprzychylnym spojrzeniem. – Zleciłem pobranie odcisków palców od wszystkich pracowników redakcji. Porównamy je z zabezpieczonym listem i przesyłką z zegarkiem. Poza tym rodzice Edyty Lizak są przekonani, że za morderstwo odpowiada tajemniczy adorator ich córki. Facet od początku wydawał im się śliski, ale dziewczyna była bardzo zakochana i nie słuchała ostrzeżeń.

– Poznali go?

– Nigdy się nie pokazał. Spotykali się u niego albo na mieście. Matka Edyty podejrzewa, że może być żonaty.

– Nadal uważam, że sprawa dotyczy Zojki Tuszyńskiej. Na wszelki wypadek proszę sprawdzić, kto z jej najbliższego otoczenia pasuje do profilu kochanka Edyty Lizak. Podpisałam już nakaz pozyskania bilingów z jej telefonu, ale to oczywiście potrwa. Proszę ten czas poświęcić na produktywne działanie, a nie kręcić się po „Kronice Wadowickiej” jak smród po gaciach. Odciski palców dziennikarzy? Naprawdę?

– Ale... – Chochołek pozieleniał na twarzy. Zamierzał właśnie wstać i wygarnąć prokuratorce, co sądzi o jej nieuprzejmych odzywkach, gdy rozległo się głośne stukanie do drzwi. Ma cholerne szczęście, pomyślał aspirant, popatrując ponuro na szefową prokuratury, bo tak bym jej wygarnął, że w kostki by jej poszło. Pięty znaczy. – Wejść! – wrzasnął głośniejszym głosem niż zamierzał.

– Panie aspirancie, mamy ekspertyzę odcisków palców. Na cito, jak pan prosił...

– Dawać! – warknął Chochołek, wyciągając rękę.

– Na kopercie i liście nie znaleziono żadnych śladów, ale ciekawie wypadła ekspertyza porównawcza odcisków z torebki i tych pobranych od dziennikarzy „Kroniki Wadowickiej”...

– Dawać! – powtórzył piskliwym głosem aspirant.

Wanda Niewiadomska nieznacznie wyprostowała się na krześle, wyciągając szyję w kierunku papierów trzymanyh przez przybyłego stróża prawa. Chochołek wyszarpnął policjantowi szarą kopertę, jakby obawiał się, że prokuratorka porwie ją w swoje zakończone śliwkowym manikiurem dłonie. Niecierpliwie przyłgął spojrzeniem do ekspertyzy.

– I co? – gorączkowała się Niewiadomska. – Mamy drania? Który to?

– Niech to szlag! – zaklął aspirant Paweł Chochołek. Sięgnął po szklanekę

stojącą przed prokuratorką i opróżnił ją jednym haustem, a następnie otarł usta rękawem i złapał leżącą na biurku czapkę.

– Ma pan... – Niewiadomska poklepała opuszką palca miejsce nad wargą.

Przerwał jej bezceremonialnie:

– Mam dość pani uwag! Albo zamknij pani buzię, albo... albo... albo...

Niewiadomska wytrzeszczyła oczy i uniosła się z krzesła. Sapała jak rozjuszony byk. Chochołek pospiesznie nacisnął czapkę i czmychnął w kierunku drzwi.

– Ładne ma pani buty! – wyrwało mu się, gdy stał już w progu. Szybko zamknął drzwi i przywarł do nich plecami, uspokajając oddech. Po chwili na wysokości jego głowy coś donośnie łupnęło. – Albo miała pani... – mruknął i czym prędzej pobiegł zbierać ekipę. Musieli natychmiast jechać do siedziby „Kroniki”. Aspirant nie rozumiał, dlaczego wyniki ekspertyzy wyglądały jak wyglądały i jaki miały sens, ale wiedział jedno: Zojka Tuszyńska znajdowała się w ogromnym niebezpieczeństwie!

Zojka, nieświadoma zamieszania, jakie właśnie powstało na Komendzie Powiatowej w Wadowicach, znajdowała się właśnie na przednim siedzeniu czarnej fiesty i gnała drogą krajową nr 28 w kierunku zbiornika w Świnnej Porębie. Coś mnie te świnie ostatnio prześladują, pomyślała rozbawiona i natychmiast podzieliła się swoimi spostrzeżeniami z Klaudią. Koleżanka uśmiechnęła się półgębkiem, nie odrywając oczu od jezdni. Prowadziła pewnie i szybko, mocno zaciskając dłonie na kierownicy.

– Z kim właściwie mamy się spotkać? – zainteresowała się Tuszyńska.

– Z mężczyzną, który na zlecenie swojego pracodawcy zakopywał w lesie niebezpieczne odpady. Farby, lakiery, takie tam. To gorąca sprawa. Chcą z tego miejsca zrobić drugi Zalew Żywiecki, a tu wychodzą takie kwiatki. Z ziemi, dosłownie.

– Pokaże nam, gdzie kopał?

– Więcej: pokopujemy trochę z nim – zaśmiała się rudowłosa dziennikarka. Rzuciła szybkie spojrzenie na jasne ubranie Zojki. – Możesz się trochę pobrudzić!

– To nieważne! – Machnęła ta ręką.

– Masz rację, to nieważne – zgodziła się Klaudia z szerokim uśmiechem, włączając kierunkowskaz i wjeżdżając na ubitą drogę prowadzącą do lasu. Przez chwilę jechały w milczeniu. Początkowo trakt był w dość dobrym stanie, ale po kilkuset metrach mizerne resztki asfaltu zastąpiły nierówne kamienie i Zojka zaczęła podskakiwać prawie pod sufit. – Jeszcze tylko kawałeczek – uspokajała kierującą pojazdem.

Wjechały na niewielką polanę ocienioną świerkami. Zojka rozejrzała się wokoło i mimowolnie zadrżała. Choć dzień był słoneczny, w to miejsce trafiało wyjątkowo mało światła i ciepła. Klaudia zatrzasnęła drzwiczki i podeszła do

bagażnika fiesty. Ze środka wydobyla dużą sportową torbę i łopatę. Torbę zarzuciła na ramię, a szpadel podała Zojce. Tuszyńska spojrzała niepewnie na trzymaną torebkę i torbę z laptopem, zerknęła na okoliczne drzewa i westchnęła.

– Zostawię to tutaj – powiedziała, wsuwając swoje rzeczy do bagażnika.

– Dobry pomysł – zgodziła się Klaudia.

Ruszyły między drzewa. Rudowłosa dziennikarka wskazała miejsce i wyciągnęła rękę po łopatę.

– Facet się spóźnia. Zaczniemy bez niego?

– Ale mamy tylko jedną łopatę – zmartwiła się Zojka. – Musimy się zmieniać.

– W porządku. Ty kop pierwsza, a ja sprawdzę, czy mamy tu zasięg telefoniczny, na wypadek gdyby ktoś chciał nas znaleźć.

Redaktor Marcin Kordecki przeglądał właśnie wydruk tekstu przygotowanego przez Zojkę na temat trzody chlewnej, zajadając się ulubionymi nektarynkami i pomrukując nad jej ciętym, ale naprawdę dobrym piórem, kiedy drzwi prowadzące do jego gabinetu otwarły się z hukiem i obity całkiem okazały kawałek ściany. Zaskoczony redaktor podniósł wzrok znad trzymanyh papierów, odłożył na spodeczek pozostałości owocu i z dezaprobatą spojrzał na zasapanego Chochołka.

– No, no, aspirancie. Niezłe wejście – zakpił. – Czyżby dał pan wiarę w teorię naszej Zojki, że jestem poszukiwanym zbrodniarzem, i wpadł tutaj, aby mnie zaarrestować?

– Zooo-jka... – wycharczał Chochołek.

– No, Zojka, Zojka. Te jej teorie spiskowe są nawet zabawne, nie uważa pan?

– Gdzie... ona... jest?

– Też chciałbym wiedzieć. Zabrała się i poszła. Nie powiedziała gdzie.

– Musimy...

– Musimy zakończyć tę farsę z jej pracą tutaj – wtrącił zdenerwowany Kordecki. – Dziennikarze patrzą na mnie krzywo, bo dzisiaj na polecenie góry wylałem człowieka. A równocześnie w ubiegłym tygodniu niby – zamachał rękoma w powietrzu, jakby robił znak cudzysłowu – zatrudniłem Tuszyńską. To się...

– Kupy nie trzyma – dodał Chochołek, opadając na krzesło. – Też tak uważam.

– Cieszę się, że jesteśmy zgodni. Poza tym teraz, gdy macie nazwisko ofiary, kwestią dni będzie ustalenie sprawcy! Nie potrzebujecie Zojki. I redakcji w formie przykrywki – poprawił się.

– Nic już nie po-po-potrzebujemy – wysapał Chochołek. – Mamy prawdopodobnego sprawcę. Zaraz dokonamy zatrzy-y-y-mania. Chciałem się tylko upewnić, że Zo-Zo-jka jest bezpieczna.

– Oczywiście, że jest bezpieczna! Pewnie polazła na kawę i ciastko, i wiesz na mnie psy za to, że odwołali tę nieszczęsną imprezę, z której miała zrobić reportaż!

– Ale...

– Przepraszam – zreflektował się nagle szef „Kroniki Wadowickiej”. – Pan chce dokonać aresztowania... u nas?

– Tak wynika z ekspertyzy. Pan wie, że pobieraliśmy odciski palców od pracowników redakcji po tym, jak Tuszyńska dostała pogróżki?

– Ale to się kupy nie trzyma! – warknął redaktor.

Aspirant spojrział na niego z politowaniem.

– Prokuratorka też tak mówiła. A teraz ciska butami ze złości.

Chochołek podniósł się z krzesła z głośnym stęknięciem i ruszył w kierunku drzwi. Obejrzał się na Kordeckiego i ponaglił go spojrzeniem.

– Wolałbym dokonać zatrzymania w bardziej, hm, kameralnym otoczeniu. Prosiłbym, aby zawołał pan tę osobę do swojego gabinetu. I wcześniej chciałbym porozmawiać z Zojką...

– Mówiłem już panu, że jej nie ma! – zirytował się redaktor, wymijając stróża prawa w drzwiach. – To uparte babsko wiecznie robi, na co ma ochotę i z nikim się nie liczy. Będę przeschęśliwy, kiedy nareszcie zabierze ją pan z mojej redakcji! Iga! – wrzasnął. – Igaaaa!

– Co? – wyrwało się przestraszonej Kozłowskiej.

– Gdzie jest Tuszyńska?

– Nie ma.

– Słyszał pan. Nie ma.

– Widzę, że nie ma. Ale ja chcę wiedzieć, gdzie jest. Ona może być...

– Gdzie jest Tuszyńska? – zagrział ponownie Kordecki.

– Nie wiem.

– Gdzie polazła?

– Nie mówiła.

– Słyszał pan... będę przeschęśliwy...

– A nie, już wiem. – Na twarzy Igi pojawił się wyraz olśnienia. – Pojechała robić reportaż.

– Słyszał pan... z kim pojechała?

– Z Klaudią.

– Słyszał pan, pojechała z Klaudią, jest bezpieczna. Aspirancie? Aspirancie? Gdzie on jest, Iga? Co się tutaj dzieje, do cholery!

Kozłowska wzruszyła ramionami i ponownie zatopiła wzrok w redagowanym tekście. Kordecki potarł twarz, zaklął pod nosem i pobiegł za Chochołkiem.

– A dużo musimy wykopać? – dociekała Zojka, ocierając pot z czoła i przy

okazji rozsmarowując na nim czarną smugę ziemi.

– Nie wiem. – Klaudia wzruszyła ramionami, sięgając po butelkę niegazowanej wody i upijając kilka małych łyčzków. – Ostatnio kopałam na dwa metry, ale to chyba było mało... chcesz wody?

– Dwa metry! – zachłysnęła się Zojka. Upiła malutki łyčzek, oddała koleżance butelkę i z rozpaczą spojrzała na niedużą dziurę, jaką udało jej się wykopać w ciągu ostatniej godziny. Bez sił opadła na leśne poszycie, nie myśląc o kleszczach, pająkach i zaskrońcach. Tak bardzo bolały ją ramiona i plecy, że było jej wszystko jedno. Spojrzała na rudowłosą dziennikarkę. – Twoja kolej.

– Mam lepszy pomysł. – Klaudia sięgnęła do przytaszczonej torby i rozpięła zamek. – Ja będę uderzać tym – zaprezentowała okazałą maczetę – a ty będziesz tylko wybierać ziemię i trochę odpoczniesz. Co ty na to?

– Może być. – Zojka skinęła niepewnie głową. Widok maczety przywołał u niej pewne skojarzenie, ale nie potrafiła wskazać jakie. Było zupełnie jak wtedy, gdy miało się na końcu języka łatwe słowo, ale nie umiało się go wypowiedzieć. – Och, wykopmy w końcu tę dziurę, mam dość krzaczków, lasu, łopaty i ziemi za paznokciami!

– Masz rację – powiedziała Klaudia, ale zamiast wziąć się do pracy, usiadła na korzeniu drzewa i oparła o nogę groźnie połyskujące ostrze. – Kop troszkę w lewo, tam są kamienie... – wskazała.

– Dobra – wysapała Zojka, nacierając szpadlem na kawałek darni. Nagle pociągnęła nosem. – Fuj, składują tu okropne odpady. Czujesz, jak śmierdzi?

– Nie przejmuj się. – Klaudia machnęła ręką, zabijając małego robaczka wędrującego po nodze. – Te odpady nie są specjalnie groźne. Tylko tak paskudnie pachną.

– Pachną? Potwornie capią! Właśnie tak wyobrażałam sobie zapach trupa! – warknęła Zojka, odrzucając grudę czarnej ziemi. Nagle drgnęła. Spojrzała na Klaudię ze zgrozą, a rudowłosa dziennikarka zaniósła się perlistym śmiechem.

– Cóż, musisz wybaczyć, ale Edyta jakiś czas temu przestała dbać o higienę...

– Na torebce Zojki Tuszyńskiej odkryliśmy odciski palców niejkiej Klaudii Szczypczyk – suchym tonem referował do telefonu aspirant Paweł Chochołek. – Wszystko wskazuje na to, że właśnie ona jest odpowiedzialna za podrzucenie odciętej dłoni. Według ustaleń podejrzana oddaliła się wraz z Zojką Tuszyńską w kierunku nielegalnego składowiska śmieci nad zbiornikiem w Świnnej Porębie. Jest niebezpieczna i prawdopodobnie uzbrojona. Zaraz ruszamy. Czekam na chłopaków. Musimy... – głos policjanta nagle się załamał – ...dokonać zatrzymania w trybie natychmiastowym, zanim kolejna dziewczyna zostanie poćwiartowana...

– Motyw? – padło suche pytanie.

– Motyw? Jeszcze nie znam... – przyznał Chochołek.

Redaktor Kordecki niecierpliwie pociągnął go za rękaw.

– Coś panu pokażę.

Poprowadził aspiranta do niewielkiego pokoiku zastawionego metalowymi szafkami niczym z amerykańskiego liceum. To tutaj dziennikarze pozostawiali okrycia wierzchnie i trzymali swoje prywatne rzeczy. Redaktor wskazał szafkę stojącą najbliżej okna. Policjant otworzył skrzypiące drzwiczki i zajrzał do środka. Szafka była pusta, ale na drzwiczkach przyklejono dużą kolorową fotografię uśmiechniętego mężczyzny. Jego twarz pokrywały niezliczone ślady czerwonej szminki. Pocałunki. Chochołek potrząsnął głową.

– Nie rozumiem.

– A ja tak...

Zojka wpatrywała się w dziennikarkę oniemiała. Najwyraźniej rudej brakowało którejś klepki, całkiem możliwe, że nawet kilku. Dziwnie mówiła. I uśmiechała się trochę makabrycznie.

– Ale co masz na myśli? Jaka Edyta? – wydukała. Choć imię nie było jej obce, nie chciała dopuścić do siebie przerażającej prawdy. To niemożliwe. Klaudia musiała gdzieś usłyszeć, że zidentyfikowano właścicielkę dłoni i teraz chce ją nastraszyć. Skutecznie, trzeba przyznać.

Klaudia zachichotała, kręcąc lekko głową. Spojrzała swojej towarzyszce prosto w oczy i niespodziewanie zmieniła temat.

– Czy wiesz, że nigdy nie miałam szczęścia do facetów?

Zojka głośno przełknęła ślinę. Nie wiedziała, co odpowiedzieć, ostatecznie postanowiła posłużyć się banałem. Przecież każda kobieta lubi, gdy troszkę się jej posłodzi. Te szalone na pewno nie są wyjątkiem...

– Trudno mi w to uwierzyć. Jesteś bardzo atrakcyjna.

– Och, nie zawsze tak było. – Klaudia przyjęła wyraz uznania z zadowolonym uśmiechem. – Tak naprawdę urodziłam się jako paskudne dziecko, a z niego wyrosła równie paskudna młoda kobieta. Byłam samotniczką, rówieśnicy stronili ode mnie, a ja czułam się taka... niezrozumiana. Szydzili ze mnie, rzucali znaczące spojrzenia, myśląc, że tego nie widzę. Nie mogłam być sobą... – Na krótką chwilę na jej twarzy zagościł smutek, zaraz jednak oczy zalśniły dziwnym blaskiem. – Ale na studiach poznałam JEGO! Przystojny, szarmancki, po prostu cudowny. Moja druga połówka. Prawdziwa bratnia dusza.

Zojka lekko skinęła głową. Powoli docierała do niej groza sytuacji. Znalazła się na kompletnym odludziu sam na sam z wariatką. Rudowłosa dziennikarka wydawała się nie zauważać emocji targających koleżanką. Oparła się wygodnie o pień drzewa, wyciągając przed siebie długie nogi i masowała rękajeść trzymanej maczety. Kiedy Zojka zawahała się z łopata w górze, uczyniła ponagląjący gest dłonią i kontynuowała:

– Kop, kop, nie obijaj się. Dla Edyty musiałam kopać sama i trochę za płytko mi wyszło... Wiesz, ja z miasta jestem i z łopata miałam do czynienia tylko raz: kiedy jakiś facet zdzielił mnie nią niechcący przy kasie w Castoramie...

– Zaszkoziło ci? – Zojka nie zdołała ugryźć się w język. Nagle dotarł do niej sens słów wypowiedzianych przez rudowłosą i poczuła przerażenie. Fakt przylgnął do faktu, elementy układanki wskoczyły na swoje miejsce jak w puzzlach z Kubusiem Puchatkiem, które namiętnie układała do czwartej klasy szkoły podstawowej. To Klaudia! To naprawdę ona jest morderczynią!

Klaudia wybuchnęła śmiechem.

– Właśnie dlatego tak cię lubię! Masz fenomenalne poczucie humoru!

– Dzięki. Ale jak się domyślam, to nie będzie okolicznością łagodzącą?

– Niestety. Na to już za późno.

– Dlaczego? – Zojka oparła stopę o łopatę i spojrzała na siedzącą kobietę.

– Tak, jak mówiłam. Miłość. – Klaudia rozłożyła ręce w geście bezradności.

Nawet nie zamierzała udawać, że nie rozumie, o co tak naprawdę pyta Zojka. – Zakochałam się na zabój. Zaręczyliśmy się, mieliśmy tyle wspólnych planów! Wybraliśmy imiona dla naszych dzieci, wiedzieliśmy nawet, dokąd wyjedziemy w podróż poślubną. Ślub... planowałam ślub jak z bajki. I nagle bach! – Klaudia zamachała maczetą w powietrzu, a przerażona Zojka zrobiła krok do tyłu. Rudowłosa posłała jej pełne bólu spojrzenie. – Wszystko przysło jak bańka mydlana! Zostawił mnie.

– Zdradził cię?

– Och, nie przeszkadzałoby mi, gdyby mnie zdradzał. Pewnie to robił, ale nie w tym rzecz. – W oczach dziennikarki pojawiły się groźne błyski. – Powiedział, że do siebie nie pasujemy. A potem wyjechał.

– Wyjechał – powtórzyła jak echo. I dodała domyślnie: – Niech zgadnę... do Wadowic?

– Jesteś taka inteligentna! – zaśmiała się Klaudia. – Zrobiłabyś wielką karierę w „Kronice Wadowickiej”. Wielka szkoda...

– Ruszamy. – Chochołek wcisnął na czoło czapkę i szarpnięciem uchylił drzwiczki samochodu. – Gdzie pan się gramoli, redaktorze?

– Jadę z wami. Chodzi o moją pracownicę. Dwie, ściślej mówiąc.

– Jedną – warknął aspirant. – Sam pan powiedział, że Tuszyńska...

– Ach dajże pan spokój! – zdenerwował się Kordecki. – Mnie się to nadal w głowie nie mieści...

– A mnie ma się mieścić? Mam mniejszą głowę od pana!

– No, wie pan!

– I że niby chodzi o faceta? – mruknął Chochołek. – To się kupy nie trzyma!

– Pan to powiedział – zaśmiał się Kordecki.

– Odchorowałam tę miłość – zwierzała się Klaudia. – On wyjechał, a ja

wylałam z rozpacz, nie jadłam, nie spałam. A potem zrozumiałam, co muszę zrobić.

– Wymordować pół Małopolski? – ironizowała Zojka.

Dziennikarka zachichotała.

– Nie, głuptasie. Odzyskać mojego misia. Tylko tyle i aż tyle.

– No, wydaje się proste... – zauważyła Zojka, rozgarniając ziemię czubkiem ostrza i główkując, kim mógł być tajemniczy ukochany rudowłosej.

– Ale takie nie było! – wrzasnęła nagle kobieta, kopiąc w kierunku Zojki kawałek żółtawego kamienia. Odłamek skały uderzył Zojkę boleśnie w kostkę. Dziewczyna syknęła. Klaudia nie zwróciła na to uwagi i kontynuowała swoją opowieść: – Nie chciał mnie, musiałam zrobić wszystko, by to się zmieniło. Przyjechałam za nim i obserwowałam. Czekałam na sprzyjający moment.

– I co się wydarzyło?

– Pewnego dnia spotkałam go na ulicy. Szedł w towarzystwie szczupłej, rudowłosej dziewczyny. Zrozumiałam, że muszę przejść przemianę, by znów mnie pokochał. Schudłam piętnaście kilo, zafarbowałam włosy na rudo, zaczęłam chodzić na wysokich obcasach, choć sam ich widok przyprawiał mnie o zawroty głowy...

– Wszystko na nic? – spytała współczująco Zojka.

– Mylisz się. Zaaranżowałam to w taki sposób, żebyśmy na siebie wpadli. Nie mógł uwierzyć, że to ja! To była cudowna noc... – ciągnęła rozmarzona.

Zojka miała nadzieję, że Klaudia oszczędzi jej szczegółów tego upojnego spotkania. Przysunęła się nieznacznie w kierunku mówiącej. Dziennikarka nagle posmutniała. To zaskakujące, jak szybko zmieniają się jej nastroje, pomyślała z niepokojem Tuszyńska.

– Spotkaliśmy się kilka razy i było wspaniale, a potem zaczął mnie unikać. Zrozumiałam, że kogoś ma i że trzeba pozbyć się rywalki.

– I zabiłaś tę biedną dziewczynę tylko dlatego, że związał się z nią twój były? Na dodatek zdradliwy bubek? – wykrzyknęła wstrząśnięta Zojka.

Dziennikarka posłała jej ostrzegawcze spojrzenie.

– Hej, nie pozwalaj sobie! Mówisz o moim misiu! Musiałam ją zabić, nie rozumiesz? Powiedziałam ci kiedyś, że wszystko robię na sto procent. Chciała mi go odebrać, a ja nie mogłam na to pozwolić.

– Zaciachałaś ją maczetą? – Zojka spojrzała ze zgrozą na trzymane przez rudowłosą narzędzie.

– Nie. Potrąciłam ją samochodem. Tak lekko, żeby tylko straciła przytomność. Chciałam, by wiedziała, za co spotyka ją kara, ale złośliwa franca nie odzyskała przytomności. Zabrałam ją do opuszczonego garażu pod miastem i... – Znacząco poruszyła szyją. Zojka poczuła napływające mdłości. – Problemem było pozbycie się zwłok, ale gdy ma się dobre ostrze, wszystko staje się łatwiejsze... Zdecydowałam, że porzucę jej szczątki w różnych miejscach, by policja już nigdy

nie złożyła jej do kupy.

– Więc jej... tu nie ma? – Zojka zerknęła na okoliczne drzewa i skrzywiła się z niesmakiem.

– Oczywiście, że jest, przecież sama ją wyczułaś. Tyle że nie cała. Musiałam zachować ostrożność. Garaż podpaliłam, a wiesz, co jest w tym najśmieszniejsze? Kordecki kazał mi opisać ten pożar!!! Ha, ha, ha!

– Jesteś...

– Psychiczna? – Klaudia uśmiechnęła się figlarnie.

– Sprytna – mruknięła Zojka. – I co było potem?

– Potem, moja droga, troszkę się zdenerwowałam. Bo widzisz, okazało się, że to wcale nie biedna Edyta miała zostać żoną mojego misia. Ona była tylko kochanką, nie stanowiła prawdziwego zagrożenia. – Klaudia pokiwała głową z żalobną miną. – W paradę weszła mi Zofia Tuszyńska.

– Czy to daleko? – denerwował się redaktor.

– Według informacji jakieś trzy kilometry stąd. Podjedziemy bez sygnałów dźwiękowych i świateł, żeby jej nie spłoszyć.

– Musimy się pospieszyć, inaczej ona ją rozszarpie...

– Zojka da sobie radę, jest sprytna i ma w sobie taki ogień... – perorował aspirant.

– No, właśnie o niej mówię – mruknął Kordecki.

– Ja? Ja nikomu w paradę nie wchodziłam! – oburzyła się Zojka, opierając ciężar ciała na łopacie i wykopując kolejną grudę czarnej ziemi.

– Wtedy o tym nie wiedziałam – przyznała Klaudia z krzywym uśmiechem. – Musisz jednak zrozumieć, zasygnalizowano mi, że chcesz zająć moje miejsce. Najpierw w jego życiu, a potem w redakcji. Musiałam cię wyeliminować. Nie było zmiłuj. Nadal nie ma.

– Przecież wszystko można odwrócić. – Zojka spojrzała na koleżankę z nadzieją. – Wrócimy do miasta i...

– I co? Ty wrócisz do przytulnego domu, a ja powędruję prosto na komisariat, tak? Wyobraź sobie, że ta opcja nie bardzo mi odpowiada! Poza tym nie jesteś taka do końca niewinna. Swoje za uszami masz, prawda? Kop dalej.

– Ale jaki sens ma kopanie odpadów, skoro i tak masz zamiar mnie zamordować? – warknęła Zojka, zagłębiając ostrze łopaty w ziemi. Klaudia parsknęła śmiechem, a Tuszyńska posłała jej podejrzliwe spojrzenie. – Nie kopujemy żadnych odpadów, prawda? Więc co?

Klaudia pokręciła głową, jakby naiwność Zojki była dla niej osobistą obrazą.

– Zgadnij!

– Nadal nie rozumiem wielu rzeczy – biadolił aspirant. – Czemu ta wariatka uwzięła się właśnie na Zojkę? Najpierw podrzucona dłoń, potem ten zegarek i jeszcze pogróżki...

– Mam wrażenie, że jest w tym sporo mojej winy. Zasugerowałem jej coś i zakodowała sobie to w głowie. Zojka stanowiła dla niej zagrożenie. Może początkowo nie zamierzała jej wyeliminować, a jedynie przestraszyć, ale dzisiaj Klaudia została zwolniona z redakcji.

– A Zojka została – domyślnie stwierdził policjant.

– A Zojka została – potwierdził redaktor z ciężkim westchnięciem.

– Nie zamierzam kopać grobu dla samej siebie! – Oburzona Zojka cisnęła łopatą. – Pocałuj mnie w pępek!

– Spróbuję – zaśmiała się Klaudia. – O ile coś z niego zostanie – dodała złowrogo.

– Nic ci nie zrobiłam!

– Nie? A jednak to właśnie ja wyleciałam z redakcji, gdy tymczasem ty zostałam. Ciebie Kordecki nie odrzucił jak zużytą piłeczkę pingpongową!

Zojka poczuła ogarniającą ją rozpacz. Wiedziała od samego początku, że farsa z pracą w „Kronice Wadowickiej” jest kiepskim pomysłem. Chochołek i te jego durne pomysły! Teraz ona miała zapłacić za nie własną głową. I pępkiem.

– Czy moja sytuacja ulegnie zmianie, jeśli powiem, że od jutra nie będzie mnie w redakcji? – wyszeptała. – Bo przecież...

– Twojej sytuacji nic już nie zmieni. – Rudowłosa bezlitośnie zdeptała jej złudzenia. – Myślisz, że przyjechałyśmy tu na piknik? Ostrzegałam cię, a ty...

– Tym liścikiem? Przypominam, że wcześniej nafaszerowałaś moją torebkę częściami... – przełknęła głośno ślinę – ...Edyty!

– Oj, głupia jesteś, Zojka! To właśnie było moje ostrzeżenie! Kiedy zobaczyłam cię w jego samochodzie, kiedy zobaczyłam, jak się nad tobą nachyla, by porozmawiać na ulicy z redaktorem, jak na ciebie patrzy... zrozumiałam, że muszę się ciebie pozbyć! I to szybko! W pierwszej chwili pomyślałam, że tak szybko pocieszył się po tamtej, że jesteś nową zabaweczką, ale gdy Kordecki odpowiedział mi twoje nazwisko, pojęłam, że od początku chodziło o ciebie. Dzień wcześniej zajrzałam do kościoła. Ujrzałam czarno na białym zapowiedzi, na własne oczy! Zofia Tuszyńska i Mikołaj Maliszewski. Mój Mikołaj. Mój ukochany! Nie mógł ożenić się z inną. Nie mogłam do tego dopuścić! Zamierzałam poczekać na sprzyjający moment i... – Klaudia uśmiechnęła się przepaszająco, a włoski na karku Zojki stanęły dęba. – Tamtego popołudnia sądziłam, że los chce mi pomóc i specjalnie postawił cię na mojej drodze. Musiałam to wykorzystać, czyż nie? Pożegnałam się z Kordeckim i ruszyłam za tobą. W kawiarni siedziałam przy stoliku obok, w cukierni stałam za tobą w kolejce, a kiedy korzystałaś z łazienki, kupowałam pierogi przy barze. Myślisz, że kogoś zdziwiło, gdy sięgnęłam do twojej torebki? Szczęśliwym zbiegiem okoliczności miałam przy sobie eee, kawałek Edyty. – Zaśmiała się makabrycznie. – Pierwotnie zamierzałam wsiąść do tego samego pociągu i wyrzucić go do Skawy, a potem pójść za tobą i poczekać na

sprzyjający moment. Może przydarzyłby ci się malutki wypadek? Ale gdy przez okno dostrzegłam nadchodzącego Kordeckiego, zrozumiałam, że to byłby kiepski pomysł. Postanowiłam więc upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Wcisnęłam rękę do paczki z ciastem i zaszyłam się w kacie. Wyświadczyłaś mi przysługę, gdy zostawiłaś przy stoliku torebkę. Bałam się trochę, że coś zwąchasz, i to dosłownie, Edyta fiołkami już nie pachniała. – Ponownie zaniósła się śmiechem. – Ale okazało się, że ty po prostu taka jesteś, rozkojarzona, głupiotka i naiwna. Patrzyłam, jak wracasz po torebkę, jak wsiadasz do pociągu i odjeżdżasz. Miałam nadzieję, że znajdziesz tę miłą niespodziankę, krojąc ciasto, i zejdziesz na zawał!

Zojka wpatrywała się w Klaudię z niedowierzaniem.

– Chodziło ci o sołtysa? – skrzywiła się. – O narzeczonego mojej kuzynki?

– Wtedy sądziłam, że o twojego. Skąd mogłam wiedzieć, że są dwie Zofie Tuszyńskie?

– I ta paczka...

– Wysłałam ci kolejne ostrzeżenie. Na adres „Kroniki”, bo podejrzewałam, że policja sprowadzi cię na miejsce, a chciałam zobaczyć twoją minę, gdy znajdziesz ten osobliwy podarunek. Zastanawiałam się, czy w końcu coś dotrze do tej twojej pustej główki. I co się wydarzyło? – Klaudia wyrzuciła ramiona w górę, jakby siedziała w wagoniku kolejki górskiej. Spojrzenie Zojki powędrowało ku pozostawionej na mchu maczecie. – Następnego dnia Zojka Tuszyńska rozpoczęła pracę w „Kronice”. Niech to szlag!

– Nic nie łączy mnie z Maliszewskim...

– Kiedy odkryłam, kim naprawdę jesteś, nawet tak pomyślałam. – Dziennikarka powoli pokiwała głową, ponownie łapiąc za ostrze. – Więcej: polubiłam cię! Jednak pewnego wieczoru śledziłam Mikołaja, gdy razem z kumplami wybierał się na przejażdżkę rowerową. Widziałam was, mijałam pod lasem. Stał tak blisko, uśmiechał się do ciebie, widziałam, jak patrzył. Na mnie też tak kiedyś patrzył.

– Potrafiłaś niewinnego człowieka! – wrzasnęła Zojka.

– Oj, tam. Zresztą to twoja wina. Ubrałaś się na ciemno, nie tak łatwo było w ciebie trafić. Edyta preferowała jaśniejsze kolory...

– Nic mnie nie łączy z narzeczoną mojej kuzynki – powtórzyła.

– Ciebie z nim nie, ale jego z tobą? Zjawił się w redakcji, przyniósł ci kwiaty. I podpisał na ciebie ostateczny wyrok. Podobnie jak policja, pobierając ode mnie odciski palców.

– Jesteś...

– Psychiczna, wiem. On też tak powtarzał, gdy nie pozwalałam mu odejść. A potem zaczął mnie ignorować. Nie odbierał telefonów. Na ulicy nie odpowiadał na pozdrowienia. W redakcji nie zaszczycił ani jednym spojrzeniem. Jakbym nie istniała i nie cierpiała z powodu tych cholernych słoneczników!

– Klaudia...

– Co?!

– To jego wina. My nie musimy cierpieć z jego powodu. Więcej: powinniśmy ostrzec Zosię, żeby za niego nie wychodziła, inaczej zmarnuje sobie życie! I lepiej będzie, jeśli ty pójdziesz z nią porozmawiać, ja z pewnych względów wolę zaczekać przed domem.

– Nie interesuje mnie twoja kuzynka. Albo inaczej: jeszcze mnie nie interesuje. Ale gdy skończę z tobą, oczywiście będę musiała się nią zająć...

Zojka myślała gorączkowo. Jaka była szansa, że ktokolwiek wpadnie na to, że sympatyczna rudowłosa dziennikarka jest szurniętą morderczynią, która zagraża nie tylko jej samej, ale także Zosi? Zojka rozejrzała się wokoło, postukując ostrzem łopaty o kopczyk ziemi. Zerknęła między drzewa. Nagle jej twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

– Klaudia, spójrz, kto przyszedł nam pomóc!

Chochołek przywołał do siebie policjantów.

– To tutaj! Ostrożnie, nie możemy jej spłoszyć! Jest uzbrojona, niebezpieczna i z pewnością zdesperowana. Ja pójde przodem. Tutaj – wskazał na mapie polanę – się rozdzielimy. My w prawo, wy w lewo. – Sprawnie podzielił grupę. – I czekacie na mój znak, żeby mi się żaden nie wyrwał do przodu. A redaktor zostaje w samochodzie – dodał, spoglądając znacząco na Kordeckiego. – To nie jest miejsce dla prasy.

Marcin Kordecki prychnął w odpowiedzi i odwrócił się do Chochołka plecami. Zaczął przechadzać się nerwowym krokiem wokół samochodu. Był wściekły. Na Zojkę, która wpakowała się wprost do paszczy lwa, na Klaudię, która przez długie miesiące była częścią jego zespołu, sprytnie ukrywając swoje prawdziwe oblicze, a przede wszystkim na siebie, ponieważ podejrzewał, że to jego własne słowa skierowały gniew rudowłosej dziennikarki na pannę Tuszyńską.

Pamiętał tamten dzień, gdy wyszli razem do miasta. On szła do lekarza, on zamierzał zjeść obiad. Na pasach dostrzegł samochód Mikołaja, sołtys również go zauważył i ostro zahamował. Dopiero wtedy Kordecki rozpoznał kobietę na siedzeniu pasażera. Zapamiętał ją z pociągu, znał także jej nazwisko, ponieważ widział jej zdjęcia w domu swojego przyjaciela, Janka. Wiedział, że jest dość oryginalną osobką i wbrew sobie poczuł do niej sympatię. A kiedy zobaczył, jak Mikołaj władcym gestem kładzie rękę na oparciu jej fotela, poczuł irracjonalną złość. Znał zagrywki Maliszewskiego i rozdrażnił go fakt, że ona może być z tym powiązana.

– Nowa zabawka Maliszewskiego – mruknął do siebie pod nosem.

Klaudia zmaterializowała się u jego boku.

– Kto to? – Zerknęła obojętnie za odjeżdżającym suvem.

– Nazywa się Zofia Tuszyńska, a tak poza tym jej nie znam.

Skąd mógł wiedzieć, że Klaudia również jest ofiarą tego casanovy z tabliczką „sołtys” na piersi? Że jest w nim zakochana do szaleństwa i w przeciwieństwie do innych uwiedzionych dziewcząt nie szlocha w poduszkę, ale poleruje ostrze, planując zemstę? Kordecki wyrzucał sobie, że nie dał Maliszewskiemu po pysku, kiedy była ku temu najlepsza sposobność. Kumplowali się, to fakt, ale ta znajomość nie była warta bezpieczeństwa Zojki. Czy innej naiwnej dziewczyny wpatrzonej z uwielbieniem w oblicze sołtysa.

A tak właśnie reagowały na Maliszewskiego kobiety. Najlepszym przykładem była kuzynka Zojki, która choć ostrzegana przez własnego brata, nie tylko nie zakończyła znajomości z brodatym przyjemniaczkiem, ale raz dwa się z nim zaręczyła. Zupełnie jakby chciała zaobrączkować amanta, zanim na horyzoncie pojawi się inna kandydatka. Na przykład Zojka. Kordecki znał historię wcześniejszego narzeczeństwa Zosi i zupełnie nie rozumiał jej nastawienia. Powinna dmuchać na zimne, a ona z premedytacją pakowała się w kolejny rogaty związek. Nie od dziś wiadomo było, że Maliszewski lubił flirtować. O jego podbojach wśród kumpli krążyły legendy. Miał nawet rzekomo miłosne gniazdko gdzieś w Wadowicach, gdzie sprowadzał przygruchane ślicznotki i konsumował dokonane podboje. Jeden z tych podbojów miał im się teraz odbić czkawką.

Kordecki pomyślał, że dłużej nie wytrzyma, drepcząc w jednym miejscu i nie wiedząc, czy Zojka jest bezpieczna. Rozglądając się na boki, zanurkował w gęste zarośla i zaczął wspinać się zalesionym wzgórzem. Nikt go nie zauważył, nikt go nie powstrzymał. Pokonując wzniesienie, wyraźnie słyszał głosy rozpierchniętych po lesie policjantów i kręcił głową. Klaudia musiałaby być głucha, by nie zwrócić na nie uwagi.

Przywołał w pamięci obraz mapy, którą kilka chwil wcześniej na masce samochodu rozłożył Chochołek, zatrzymał się i rozejrzał wokoło. Oszacował położenie i ruszył w lewo. Przeciął leśną drogę i zagłębił się w kępę brzoź. Miał wrażenie, że w jednym miejscu las wyraźnie się przerzedza. To musiała być polana, którą dostrzegł na mapie. Wskoczył do głębokiego parowu i ruszył w tamtą stronę.

Nagle drgnął. Usłyszał przytłumione głosy i rozpoznał Zojkę. Jego serce przyspieszyło. Podkraść się jeszcze bliżej. Zobaczył, że stoi w płytkim grobie, opierając się na łopacie i rozglądając wokoło. Klaudii w pierwszej chwili nie dostrzegł, ale gdy wychylił się nieco w prawo, zauważył jej nogi wyciągnięte na poszyciu z liści. Siedziała pod drzewem i tłumaczyła coś swojej towarzyszce z gardłowym śmiechem.

Zojka podniosła wzrok i ich spojrzenia spotkały się. Widział, jak delikatnie drgnął mięsień na jej policzku. Nagle usłyszał trzask łamanych gałęzi. Pojął, że nie ma ani sekundy do stracenia. Lada chwila Klaudia zauważy, że las zamienił się w pułapkę i zaatakuje. Zojka również to rozumiała, jej twarz rozjaśnił uśmiech.

Wskazała wprost na niego i powiedziała:

– Klaudia, spójrz, kto przyszedł nam pomóc!

A kiedy rudowłosa dziennikarka obejrzała się we wskazanym kierunku, uniosła łopatę i uderzyła...

• Rozdział szesnasty •

– I ukatrupiłaś babę łopata? – dopytywała babunia Łyczakowa, podpierając dłonią zaczerwieniony z emocji policzek.

– Nie ukatrupiłam. Przecież ona żyje. Wstrząsu mózgu tylko doznała – tłumaczyła cierpliwie Zojka.

– Siekiera byłaby skuteczniejsza... – Starsza pani wpadła w zadumę, ale natychmiast poderwała głowę i uspokajająco uśmiechnęła się do Chochołka. – Nie żebym wiedziała z doświadczenia, po prostu co siekiera to siekiera. Pan władza napije się jeszcze herbatki?

Pan władza pomasaował się po żołądku, jęknął cichutko i wyraził nadzieję, że zmieści jeszcze jedną szklaneczkę. Co dziwne, podobnych obiekcji nie wyrażał, sięgając po kawałek drożdżowego ciasta z kruszonką. Wpychając słodki przysmak do ust, tłumaczył babuni, że Klaudia Szczypczyk została aresztowana po tym, jak Zojka zdzieliła ją łopata, a redaktor Kordecki obezwładnił za pomocą szelek od sportowej torby.

– Bo co poniektórzy to polecenia stróżów prawa mają za nic! – dodał znacząco, przelękając ciasto i popatrując ponuro na Kordeckiego.

– Miałem tam czekać, aż ją spłoszycie? – zdenerwował się dotychczas milczący mężczyzna. – Słoń w składzie porcelany jest cichszy niż pańscy ludzie. Trzeba było od razu włączyć syreny alarmowe, może jakiś dzik w panicznej ucieczce uniósłby ją na grzbiecie i podtopił w zbiorniku!

– Czułam, że coś się dzisiaj wydarzy. – Starsza pani zdecydowała się przerwać słowne utarczki pomiędzy mężczyznami. – Było coś takiego w powietrzu, że pomyślałam: Zośka, zarabiaj ciasto i kruszonkę, bo Zojka wróci dzisiaj w podłym nastroju. I co? Miałam rację!

– Ciekawe, kto by zjadł to ciasto, gdyby mnie tam zaszlachtowała... – mruknęła dziewczyna.

– Och, nic się nie martw. Akurat na drożdżowe z kruszonką chętny zawsze się znajdzie...

– No – potwierdził Chochołek, sięgając po ostatni kawałek leżący na talerzyku.

Kordecki i Zojka wymienili spojrzenia i jak na komendę wstali zza stołu. Chochołek spojrział na nich zdziwiony, ale babunia jedynie uśmiechnęła się pod nosem i czym prędzej podsunęła mu szklanekę w metalowym koszyczku.

– Niechże pan je, komendancie...

– Aspirancie.

– Aspirancie. To od aspiruje? Ładnie! Niechże pan je i mówi, jak to było. Więc zaczęło się od narzeczonego mojej wnuczki, tak?

– Tak, tak, ale nie tej, tylko tamtej. A to było tak...

Zojka i Kordecki zawędrowali na peron i usiedli na odrapanej ławce. Milczeli całą drogę, pogrążeni we własnych myślach. Ona zastanawiała się, kiedy powinna wrócić do Krakowa, on bił się z myślami, czy powinien powiedzieć to, co miał na końcu języka. W końcu uporczywą ciszę przerwało żalosne miauknięcie. Rudy kocur usiadł przed nimi na peronie i potoczył zielonym spojrzeniem od niej do niego i z powrotem.

Żadne nie trzymało w ręku miski.

Żadne nie szeleściło foliowym woreczkiem.

Ich kieszenie nie wydzielały przyjemnego aromatu wędzonych wędlin.

Okicieli?

Zojka wyciągnęła do niego rękę. Prychnął i zademonstrował, że ma ich pod ogonem.

– No, to chyba koniec tarapatów – powiedział z uśmiechem Kordecki.

– Uhm. Na to wychodzi – zgodziła się.

– I pewnie wracasz do Krakowa?

– Pewnie tak.

– Babunia będzie zawiedziona.

– Możliwe.

– Na pewno będzie.

– Ale ona rozumie, że tam są lepsze perspektywy. Z szukaniem pracy i w ogóle...

– Racja.

– Więc muszę jechać. Bo co tu będę robić? Jeszcze się do mnie przyklei następna afera kryminalna. No i nie wiem, czy mnie nie obciążą winą za kolejne zerwane zaręczyny Zosi...

– Nie rozstaną się. – Kordecki potrząsnął głową. – Niektóre kobiety są ślepe.

– No tak.

– Bo gdybyś jednak chciała zostać, to może znalazłoby się coś w „Kronice”. Na pół etatu. Iga jest w ciąży i wkrótce zwolni się miejsce...

– Oooo! – zaskoczona Zojka spojrzała na Kordeckiego. – Dziękuję. Ale to chyba nie dla mnie. Na mnie czeka...

– Wielki świat! – zaśmiał się domyślnie.

– No właśnie.

– To powodzenia.

– Tobie również. I nie zapomnij karmić Filipa.

– Kogo?

– Kota. Nazwałam go Filipem.

– Nazwałam mojego kota?

– Nie jest twój. Jest bezdomny. Czyli wspólny.

- Dokarmiam go, więc poniekąd należy do mnie!
- Ja też go dokarmiam!
- Ale jedziesz sobie w diabły! Nie nazywaj mojego kota Filipem.
- Masz lepszą propozycję?
- Jeszcze nie, ale na pewno coś wymyślę.
- Z tobą się nie da kulturalnie rozmawiać. Całe szczęście, że wracam do

Krakowa.

- Jestem przeschęśliwy, że nie przyjęłaś mojej propozycji.
- I dobrze!
- Bardzo dobrze!

Wzburzona Zojka wspięła się wąwozem na podwórko babuni i plackiem położyła w wilgotnej trawie. Głos starszej pani natychmiast poniósł się po ogrodzie, odbijając się od omszałych pni drzew owocowych.

- Wstawaj z ziemi, bo wilk ci wejdzie w dupsko!

– Nie wejdzie! – odkrzyknęła. – Nie można sobie w spokoju na trawie poleżeć?

– Ależ można! – zakpiła staruszka. – Tylko żebyś potem nie liczyła na współczucie, gdy ci będę zastrzyki wbijać.

- Babuniu... – zawahała się Zojka. – Ty wiesz, co ja dziś przeżyłam?

– No, ja nawet nie chcę wiedzieć. – Głos starszej pani nieznacznie się załamał.

- Całe życie stanęło mi przed oczami.

Zojka wyciągnęła się w trawie, czując, jak wilgotne źdźbła przyklejają się jej do nóg i ramion. Poczowała też łaskotanie po plecach i szyi, i miała nadzieję, że nie było to związane z wędrownkami, jakie po jej ciele podjęły podstępne owady.

- Babuniu...

- Hmm?

- A Zosia to mnie chyba oskalpuje.

- Nie martw się. Pochowałam wszystkie noże.

- Bardzo śmieszne. Babuniu...

– Czego, rany boskie? Przy tobie człowiek nawet Zdrowaś Mario nie odmówi, bo pytlujesz i pytlujesz...

- Ale nudno by ci było beze mnie, co?

- No, może troszkę ckliwo...

– Bo tak sobie myślę... może bym na razie nie wracała do tego Krakowa? Zostałabym, powiedzmy, do końca wakacji? Co?

Zojka uniosła się na łokciu i spojrzała w miejsce, gdzie według jej szacunków powinna znajdować się głowa babuni. Starsza pani uśmiechnęła się w ciemnościach i sięgnęła do kieszonki na boku w poszukiwaniu chusteczki higienicznej.

- Mogłabyś zostać... – mruknęła.
- I pomogłabym ci bronić majątku przed zakusami rodziny.
- Mam wrażenie, że się dogadamy. Jesteś do mnie trochę podobna.
- No, to ja idę pościelić łóżko. I wodę na herbatę wstawię, co?
- No, idź, idź. Choć nie wiem, czy została nam choć łyżeczka cukru. Władza jest taka łakoma!

Kilkadziesiąt minut później Zojka zasnęła wtulona w pościel haftowaną w różyczki i śniła o utarczkach słownych, które planowała stoczyć w nowym miejscu pracy. Na stoliku nocnym postawiła gorzką herbatę w wyszczerbionym kubku z motylkiem, a pod poduszkę wsunęła zaznaczoną wyciętym z gazety artykułem powieść Joanny Chmielewskiej.

Przez uchylone okno do pokoju wpadł lekki, nocny wietrzyk, wydymając śnieżnobiałe firanki i chłodząc rozpalone policzki śpiącej kobiety. Pchnięta rama okienna stuknęła o ścianę. Na parapecie pojawił się ciemniejszy kształt. Rudy kocurek zwinnym susem pokonał odległość między oknem a łóżkiem. Delikatnie wskoczył na kołdrę i zwinął się w rogalik u boku pogrążonej we śnie Zojki, mrużąc z zadowoleniem.

Koniec części pierwszej

• Posłowie •

Kochany czytelniku!

Witam Cię w Lipówce, niewielkiej wsi, którą stworzyłam tylko po to, by moja nowa bohaterka miała gdzie wpadać w tarapaty. Nie znajdziesz jej na żadnej mapie powiatu wadowickiego – a przynajmniej ja nic o tym nie wiem – ale mam nadzieję, że poczujesz jej niezwykły klimat i zechcesz tu wrócić. Pociągi na linii Kraków – Bielsko-Biała Główna kursują regularnie, więc w każdej chwili możesz wysiąść na malutkim przystanku kolejowym położonym u stóp zalesionego wzgórza i skierować kroki ku drodze ukrytej w wąwozie. Na szczycie wzniesienia czeka nieduży domek z zielonymi okiennicami i drewnianym ganeczkiem. Na trawniku z pewnością wyleguje się kudłate psisko, ale nie obawiaj się, Burek tylko tak groźnie wygląda, cmoknij serdecznie, a z pewnością powita Cię wesołym merdaniem ogona. Ruszaj ku gościnnym drzwiom domku, gdzie babunia oczekuje Cię z drożdżowym ciastem. Pewnie nie ma na nim kruszonki, ale i tak będzie pyszne.

Zapraszam Cię również do Wadowic, to urocze miasteczko, w którym zachwycić się można nie tylko kremówkami. Przejdź jego uliczkami, posiedź na ławeczce przy fontannie i poczekaj. Może obok Ciebie przysiądzie zarumieniona z emocji dziewczyna, która właśnie wpłatała się w aferę kryminalną, choć wcale tego nie chciała? Cóż zrobić, taki jej urok, kłopoty ją kochają. Jeszcze o tym nie wie, ale złośliwa autorka szykuje dla niej kolejną niebezpieczną przygodę. W ramach pocieszenia zaprosz ją na kawę albo może lepiej herbatę... Nie obawiaj się asortymentu miejscowych cukierni, Zojka, Kordecki i Chochołek zrobili porządek i można zajadać bez obaw. Pysznie jest! Jeśli przed powrotem do domu zaburczy Ci w brzuchu, idź do baru przy dworcu na pyszne pierogi. Chochołek poleca. Tylko pamiętaj, torebkę trzymaj przy sobie...

• Podziękowania i usprawiedliwienia •

Ta powieść nie powstałaby, gdyby czytelnicy nie przyjęli tak ciepło moich poprzednich książek. Dziękuję, dzięki Wam robię to, co kocham! *Kłopoty mnie kochają* starałam się napisać najlepiej, jak umiałam, więc wybaczcie mi wszelkie potknięcia i potraktujcie treść z przymrużeniem oka. Wiem, że lubicie charakterne bohaterki, specjalnie dla Was powołałam do życia Zojkę i babunię Łyczakową. Mam nadzieję, że przyjmiecie je równie serdecznie co Kalinę.

Ogromne podziękowania należą się mojej rodzinie: Milenka, Grzegorz, Sanczo, Cynamon i każda inna osoba zasługuje na gorące uściski za cierpliwość, pomoc, znoszenie moich humorów i wsparcie. Łączenie roli mamy, żony i autorki nie jest łatwe, ale dzięki Wam jakoś to się udaje. Dom stoi na miejscu, dziecko wygląda na szczęśliwe i nikt nie chce odebrać nam zwierząt. Więc chyba jest dobrze :)

Dziękuję wspaniałym osobom z wydawnictwa Czwarta Strona za pomoc i zaangażowanie przy wydaniu tej i wcześniejszych powieści. Dziękuję Kindze za sprawną redakcję. Blogerom, portalom internetowym, patronom medialnym, zaprzyjaźnionej prasie, bibliotekom w Kalwarii Zebrzydowskiej i Wadowicach – serdecznie dziękuję za pomoc przy promocji i rozsyłaniu w świat wieści o mojej twórczości. Dziękuję Magdzie Majcher za nieocenione wsparcie i dyskusje. Dla Justyny Ch. ślę gorące uściski w podziękowaniu za wspaniałą oprawę graficzną strony na Facebooku i grupy fanowskiej.

Dziękuję członkom wspomnianej grupy za codzienne pogawędki przy wirtualnej kawie. Pamiętajcie, że czekam tam na Was! Szczególne podziękowania należą się Monice, Marcie i Joli, które zawsze są na posterunku, by przeczytać, ocenić, podpowiedzieć. Serdeczne pozdrowienia dla pracowników kolei obsługujących linię Kraków – Bielsko-Biała Główna, dziękuję za sympatyczne rozmowy i obiecuję nic nie przewozić we własnej torebce ;)

Jeśli kogoś pominęłam, a pewnie pominęłam, bo taka ze mnie gapa (a Sanczo mnie ponagla, bo chce iść na spacer) – to w tym miejscu pozostawiam ogromne i serdeczne dziękuję :)

Na potrzeby powieści stworzyłam zupełnie nową miejscowość, przebudowałam linię PKP, zaadaptowałam dla redakcji charakterystyczny budynek na ulicy Barskiej. Więcej grzechów nie pamiętam, ale jeśli coś było, to na pewno specjalnie. Na kartach powieści znajdują się także miejsca: ulice i miejscowości, które naprawdę istnieją. Lubię Wadowice, są inspirujące. Wszystkie wydarzenia opisane w książce powstały w wyobraźni autorki i nigdy nie miały miejsca. Ale mogłyby mieć.